cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #210 02/2024

Piotr Lisiewicz
OD MITYNGU W PARYŻU DO KATYNIA. ZAMILCZANA POLSKA GWIAZDA

Hanna Shen
TAJWAN POSTAWIŁ NA KONTYNUACJĘ I OBRONĘ SUWERENNOŚCI

Małgorzata Matuszak
AI – REWOLUCJA TECHNOLOGICZNA, JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO?

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Laureat Nagrody
im. Grzegorza I Wielkiego
za rok 2023

Profesor Andrzej Nowak

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

eprasa.pl 9476ad31f3

NASZ LAUREAT ▼ 4–11



Wielka misja narodów / 4

IDEE ▼ 12–19



AI – rewolucja technologiczna, jakiej jeszcze nie było? / 12

HISTORIA ▼ 20–51



Od mityngu w Paryżu do Katynia. Zamilczana polska gwiazda / 20

KULTURA ▼ 52–60



Filiżanka herbaty, fajeczka opium / 52

ŚWIAT ▼ 66–96



Tajwan postawił na kontynuację i obronę suwerenności / 66

Spis treści

NASZ LAUREAT

Z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawiają Magdalena i Tomasz Łysiakowie
Wielka misja narodów /4

Ryszard Czarnecki
Tak czy owak: Andrzej Nowak /11

IDEE

Małgorzata Matuszak
AI – rewolucja technologiczna, jakiej jeszcze nie było? /12

Józef Wieczorek
Kopia zapasowa historii naturalnej polskiego naukowca /16

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Od mityngu w Paryżu do Katynia. Zamilczana polska gwiazda /20

Jakub A. Maciejewski
Co trzeba robić w czasach bez prawdziwego państwa? /26

Agnieszka Kowalczyk
Niezłomne kobiety gór /30

Dariusz Jarosiński
Julian Tuwim. Poeta z diabelskim piętnem /36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Biłgoraj 1989. Fragment większej całości /42

Maria Brzeska
Powszedni dzień terroru /48

Stanisław Zatorski
Kolonizacja niemiecka /49

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Filiżanka herbaty, fajeczka opium /52

Krzysztof Karnkowski
Triumfalny powrót Godzilli /58

Magdalena Nowak
„Ukraina, gdzie to jest? Dziennik roku wojny” /60

ŚWIAT

Hanna Shen
Tajwan postawił na kontynuację i obronę suwerenności /66

Tomasz Gromadka
Wyprawa do nieistniejącej krainy /70

Antoni Rybczyński
Wojna na Morzu Czerwonym /76

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /82

Stefan Czerniecki
O jadowitym wężu, który nawrócił Indian /84

Antoni Rybczyński
Wojna Rosji z Ukrainą. Prognozy (nie tylko) na 2024 rok /92

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Władza chce zabetonować swoją władzę
NA POCZĄTEK 3



Marek Kalinowski
Sprawdzone przyjemności, mroczna historia
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 57



Małgorzata Matuszak
Czym jest... wyobraźnia
KATECHIZM INTELIGENTA 61



Krzysztof Wołodźko
To bogaci i biedni. Londyn w czasach Dickensa
DZIENNIK LEKTUR 62



Ryszard Czarnecki
Jedna wyspa – dwie planety
CZARNECKO TO WIDZĘ 75



Marcin Wolski
Historia jest mężczyzną?
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Kapitalizm z ludzką twarzą
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 9476ad3113



Katarzyna Gójska

Władza chce zabetonować swoją władzę

Cała patologia III RP odżyła ze zdwojoną siłą. Z porażki z 2015 roku, z dwóch kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy wyciągnięto wnioski – postkomunistyczny deep state i jego następcy jeśli mają utrzymać władzę, muszą uszczelnić system. Nie licząc się z kosztami, posługując się przemocą, brutalnością i bezprawiem.

Wiele lat temu profesor Krzysztof Szczerski określił system sprzed 2015 roku mianem kratokracji, czyli władzy władzy. Dziś ta władza umacnia i okopuje swą władzę w każdej strategicznej dziedzinie życia państwa – od urzędniczych szczytów poprzez instytucje mogące stosować wobec obywateli przemoc i sankcje aż po media. Działania są znacznie bardziej agresywne i pozbawione kamuflażu, bo oceniono, iż ten układ ma ostatnią szansę na okopanie swoich wpływów. Wielką naiwnością jest wiara w nawiązanie z nim dialogu, jakiś rodzaj porozumienia nakierowany na interes Rzeczypospolitej. Nie da się bowiem stworzyć konstruktywnej współpracy z ludźmi, dla których nie ma granic, nie tylko prawnych, lecz także etycznych. Zdawać by się mogło, iż będąca przez osiem lat w opozycji prawica dokonała precyzyjnej diagnozy sytuacji i dokładnie rozpoznała politycznego rywala. Ale po wygranych wyborach nie potrafiła wcielić głębokich działań naprawczych najważniejszych instytucji państwa. Wszyscy zapewne pamiętają weto prezydenta Andrzeja Dudy wobec najważniejszych elementów reformy wymiaru sprawiedliwości. Wówczas środowisko prezydenta wyrażało przekonanie, iż zmiany idą za daleko, a ówczesna koalicja rządząca zbyt krótkowzrocznie postrzega proces reformowania państwa, nie przewidując, że w przyszłości władza trafi w ręce innych opcji politycznych. Sęk w tym, iż środowisko polityczne Donalda Tuska nie zadaje sobie trudu, by działać zgodnie z prawem. Prowadzi wprost nielegalną aktywność i dziś można ocenić, że to otoczeniu głowy państwa zabrakło wówczas wyobraźni umożliwiającej celną ocenę prawdziwych zamiarów tzw. totalnej opozycji. Ale nie tylko pan prezydent popełnił błąd. Rząd i większość sejmowa nie zdobyły się na wysiłek dokładnego odnalezienia i upublicznienia rosyjskich wpływów w RP. Niezwykle cenne działania Komisji prof. Sławomira Cenckiewicza nastąpiły pod koniec drugiej kadencji. A przecież oczywiste było, iż to eksperckie ciało winno powstać równocześnie z powołaniem pierwszego rządu Zjednoczonej Prawicy. To dlatego ludzie i polityka resetu wracają dziś w najbardziej bezczelny sposób – przedstawiana opinii publicznej jako element racjonalności władzy i troski o interes państwa. Trudno nie odnieść wrażenia, że stawiając diagnozę, obóz patriotyczny właściwie wskazuje patologię niszczącą Polskę, ale gdy przychodzi do konkretnych działań – cofa się przed tym, co sam wcześniej postulował. Ta niekonsekwencja dziś przerodziła się w rodzaj bezradności. Nie ma skutecznej odpowiedzi wobec dokonywanego w biały dzień bezprawia. Nie ma, bo nie było na nie kompletnie przygotowania, a być powinno.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika publikujemy wyjątkową rozmowę z naszym Laureatem, profesorem Andrzejem Nowakiem. Jesteśmy wielce zaszczyceni, iż wybitny historyk, wielki polski patriota zgodził się dołączyć do grona Laureatów Nagrody im. Świętego Grzegorza I Wielkiego. Zespół redakcyjny „Nowego Państwa" docenił tytaniczną pracę Pana Profesora nad opisaniem dziejów naszego państwa. Tomy „Dziejów Polski" to jednak coś więcej niż tylko genialna i porywająca pozycja historyczna. To niespotykana lekcja dumy z naszej przeszłości, skuteczna próba ukazania losów naszej wspólnoty bez kompleksów i w poczuciu znaczenia pracy wielu pokoleń Polaków, którzy mimo przeróżnych okoliczności dawno temu odkryli wartość własnego państwa. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Wielka misja narodów

Jeżeli wyrzucilibyśmy historię Polski, tradycję polską, to po prostu pozbawilibyśmy się czegoś niezwykle pięknego, wspaniałego, czegoś, co nas buduje – naszej kultury tworzonej przez pokolenia, wzbogacanej przez pokolenia i chronionej przez pokolenia przed próbami jej niszczenia zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz przez barbarzyńców wewnętrznych, których mieliśmy i mamy w ciągu naszej historii – mówi prof. Andrzej Nowak, Laureat Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego, przyznawanej przez nasz miesięcznik. Rozmawiają Magdalena i Tomasz Łysiakowie.



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA



prasa.pl 9476ad31f3

▶ Panie Profesorze, serdecznie gratulujemy wyróżnienia przez miesięcznik „Nowe Państwo", czyli Nagrody im. Św. Grzegorza I Wielkiego za rok 2023. Na początek chcieliśmy zapytać o sens i znaczenie tej nagrody dla Pana. Czego możemy się dowiedzieć, na co powinniśmy zwrócić uwagę, przyglądając się tej postaci sprzed tylu wieków? Czy także dziś są nam potrzebni Ojcowie Kościoła?

Otrzymawszy wiadomość o wielkim zaszczycie, jakim dla mnie jest nagroda „Nowego Państwa", zastanowiłem się od razu nad, nieoczywistym przecież, patronem tej nagrody. Co może nam mieć do powiedzenia papież sprzed ponad tysiąca czterystu lat, co może znaczyć patronując tej nagrodzie współczesnego miesięcznika poświęconego światu w XXI wieku? Sięgnąwszy dzięki tej refleksji i wyjątkowej okazji do postaci i do prac świętego Grzegorza Wielkiego, uświadomiłem sobie, jak wiecznie aktualne są zarówno jego życie, jak i jego dzieła. Dopiero zacząłem go poznawać, a przecież ten papież – żyjący między rokiem 540 a 604 – stworzył olbrzymi korpus tekstów. To, co zwróciło moją uwagę od razu, to po pierwsze coś, co ma znaczenie może bardziej partykularne dla mnie, bo lubię muzykę: od Grzegorza zaczyna się wielka przygoda muzyki europejskiej, czyli to, co nazywamy śpiewem czy chorałem gregoriańskim, z czego wyrasta wszystko, co znamy do dnia dzisiejszego – i Bach, i Mozart, i Chopin. Ale coś ważniejszego zapewne niż muzyka niesie ze sobą najprostsza lekcja życia tego papieża: to był człowiek niesłychanej odwagi i wyobraźni. Żył w czasach, kiedy Rzym był prowincjonalnym miastem, które Bizancjum, stolica ówczesnego świata, odbiło właśnie z rąk barbarzyńców. Żeby odbudować prestiż, znaczenie tej starożytnej stolicy, która stała się z wyboru Chrystusowego także stolicą chrześcijaństwa, siedzibą św. Piotra, Grzegorz występował na dworze w Konstantynopolu, czyli w odpowiedniku dzisiejszego Waszyngtonu, Brukseli czy Berlina, i śmiało bronił swoich racji, wygrywając spory o sprawy zasadnicze. Spór najbardziej istotny (z patriarchą Konstantynopola) dotyczył tego, czy wskrzeszenie z martwych będzie obejmowało nasze ciała, czy też będzie bezcielesne. I to właśnie Grzegorz swoją twardą postawą przekonał wszystkich do tak ważnej prawdy wiary: o zmartwychwstaniu ciał. Ale geopolitycznie czy też „geospirytualnie" ważna była też śmiałość, z jaką papież podjął na nowo ideę misji. To on posłał księży w stronę Anglii i Irlandii. Sto lat później to mnisi irlandzcy będą nawracali Europę, w tym prawdopodobnie także nasze ziemie (bo czas chrztu księcia Mieszka takie ślady irlandzkie w sobie nosi). Tak więc ta papieska odwaga w obronie prawdy wiary i śmiałość myśli, która sięgnęła z bardzo słabego wtedy punktu oparcia, jakim był politycznie Rzym, sięgnięcia po wizję całej Europy ogarniętej chrześcijańską misją, to są rzeczy, do których warto wracać, kiedy czujemy jakiś lęk przed naszymi czasami, i to może jest powód najprostszy, by sięgać po dzieła Grzegorza I. Streszcza je jedno jego zdanie (z rozważań o Ezechielu): „Nawet jeśli prawda może spowodować zgorszenie, lepiej dopuścić do zgorszenia niż wyrzec się prawdy". Nasze czasy nie są ani najgorsze, ani nie powinny wywoływać w nas odruchu beznadziejności, bo w każdym czasie można podjąć dzieło śmiałe i odważne, jeśli tylko starcza nam tej odwagi.

Co do Ojców Kościoła – nie jestem oczywiście teologiem, może należałoby spytać takie autorytety duchowe jak ojciec Jacek Salij. Ośmielę się tylko powiedzieć, że kiedy czytam te teksty, to uderza mnie ich niezwykła uroda i siła literacka. U Grzegorza Wielkiego zwłaszcza mam na myśli jego ogromne dzieło „Moralia, czyli wykład Księgi Hioba" – to praca wprowadzająca w centrum tego, nad czym i my się nieustannie zastanawiamy: jaki jest sens i czy w ogóle można odczytać sens zła, którego doświadczamy na tym świecie? Właśnie połączenie niezwykłej jakości tego słowa i głębokości przesłania niezakłóconego żadną nowomową czy modą intelektualną – to działa jak łyk źródlanej wody.

▶ Pośród wielu publikacji, które wychodzą spod Pana ręki, szczególną naszą uwagę przykuwają „Dzieje Polski" – na każdy ich kolejny tom czekamy z olbrzymią ciekawością. Nasza historia bywa jednak często zakłamywana czy też używana do tego, abyśmy jej nie szanowali lub nawet się jej mieli wstydzić. A mamy przecież powody do dumy. Z czego powinniśmy więc być szczególnie dumni?

Zanim ktoś rzuci anatemę na nasze dzieje, powinien spytać sam siebie, czy je poznał choćby odrobinę. Czy zastanowił się nad tym, co ma im do zawdzięczenia. Nawet ten, kto się dziejami Polski nie interesował, przez jeden element do tej wspólnoty polskiej należy. Takim powodem do wdzięczności jest nasz język. Niedługo będziemy obchodzili 500-lecie urodzin Jana Kochanowskiego, który uczynił z naszego języka narzędzie zdolne do tego, by wypowiedzieć wszystko w sposób doskonały. Ile razy mówimy po polsku i nie dusimy się z tego powodu, że nie potrafimy czegoś wypowiedzieć, to powinniśmy pomyśleć z wdzięcznością o tych pokoleniach, które ten język tworzyły i które obroniły go przed zniszczeniem zaplanowanym przez naszych sąsiadów. Agresywne imperia, niszcząc Polskę w wieku XVIII, XIX i XX, chciały przecież w pierw-

eprasa.pl 9476ad31f3

szej kolejności zniszczyć język. To, co najpiękniej można przeżyć, kiedy czyta się Kochanowskiego, Leśmiana, Mickiewicza i co wiemy, że w żadnym innym języku nie zostało w ten sposób wypowiedziane, jest częścią skarbca kultury światowej. Częścią, której bez Polski, bez trwania tej wspólnoty kulturowo-politycznej, po prostu by nie było. Kultura światowa byłaby uboższa. Jeżeli wyrzucilibyśmy historię Polski, tradycję polską, to po prostu pozbawilibyśmy się czegoś niezwykle pięknego, wspaniałego, czegoś, co nas buduje – naszej kultury tworzonej przez pokolenia, wzbogacanej przez pokolenia i chronionej przez pokolenia przed próbami jej niszczenia zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz – przez barbarzyńców wewnętrznych, których mieliśmy i mamy w ciągu naszej historii.

Drugą rzeczą, z której powinniśmy być szczególnie dumni, jest umiłowanie wolności, rozumianej na kilka różnych sposobów. To doświadczenie trudne, nieraz gorzkie, bo wolności można nadużywać. Ale przywiązanie do wolności, ten paradoks, nie może być powodem do wstydu. Słyszymy nieraz takie głosy, że my Polacy powinniśmy się wstydzić naszej historii, bo zawsze mieliśmy skłonność do anarchii, nie umieliśmy obronić naszego wielkiego imperium, spieraliśmy się tylko między sobą, a przecież można było stworzyć władzę taką jak we Francji albo taką jak w Niemczech, albo taką jak w Rosji… Tylko wtedy trzeba sobie postawić pytanie: czy chciałbym być poddanym cara rosyjskiego, czy chciałbym być poddanym takiego despoty jak Ludwik XIV lub Bismarck, czy to byłoby lepsze niż być wolnym, dumnym reprezentantem kultury wolności? Przypomnę tu zresztą, że jeden z poddanych Bismarcka – Fryderyk Nietzsche, wielki niemiecki filozof – widział polską kulturę jako pewnego rodzaju szczyt wolności, o którym marzył, ale którego nie mógł zrealizować w państwie Bismarcka. Stąd wymyślona przez niego genealogia, jakoby wywodził się z polskiej szlachty o nazwisku Nicki. Podobnie Fryderyk Schiller (w dramacie „Dymitr") podkreślał, że nie można być człowiekiem bardziej wolnym niż polski szlachcic. No dobrze… szlachta, a gdzie chłopi? Muszę stwierdzić, że współczesny trend, który pojawił się w opowieściach o strasznym ucisku chłopów, to marne popłuczyny marksistowskiego myślenia. Istotą tego trendu jest szukanie konfliktu za wszelką cenę, dla zaspokojenia własnej chęci, nienawistnego zniszczenia wroga, którym może być inna klasa, druga czy kolejne płcie, konflikt człowieka z naturą, natury z człowiekiem. Resentyment jest kwintesencją tego spojrzenia. Tymczasem wspólnotę buduje się inaczej, na zasadzie ograniczania, przezwyciężania konfliktów, łagodzenia niesprawiedliwości. Tak powinno się spojrzeć na historię Polski, w której chłopi niewątpliwie przez kilka wieków byli warstwą uciskaną społecznie, podobnie jednak było w całej Europie – i to jest drugi element, który warto podkreślić. Dlaczego na przykład w 1740 roku chłopi masowo uciekają z oświeconych Prus czy Rosji do I Rzeczypospolitej, gdzie trwa wszak najgorszy „sarmacki" czas? Nie chcę wykazywać teraz, że u innych było gorzej, zwracam tylko uwagę, że nie można wyrywać zjawisk z przeszłości Rzeczypospolitej z ich historycznego kontekstu. Sednem budowy polskiej wspólnoty były kolejne próby przezwyciężenia tej niesprawiedliwości i odgórnego poszerzania wspólnoty obywatelskiej. Oznacza to nie sprowadzanie szlachty do chłopstwa czy rzeź szlachty przez chłopów, lecz uszlachcenie wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej, czyli uczynienie wolnym każdego obywatela. Przybiera to kształt praktyczny w powstaniu kościuszkowskim, zyskuje wspaniałą oprawę ideową w twórczości Mickiewicza i innych romantyków, potem w kolejnych powstaniach, zwłaszcza w powstaniu styczniowym. Czyn irredenty wymusił ostatecznie taki, a nie inny, korzystny dla chłopów polskich, kształt reform uwłaszczeniowych.

Niejednokrotnie potrafiliśmy nadużywać wolności przeciwko własnemu państwu i wspólnocie. Ale jednocześnie wolność obywatelska, odpowiedzialna, republikańska jest wartością, która sprawia, że nigdy nie udało się całkowicie zniewolić tego społeczeństwa. Nie ma jednej głowy, którą można uciąć i w ten sposób pozbawić Polaków wolności. Nie rozumieją tego ci, którzy chcą być dyktatorami Polski.

eprasa.pl 9476ad31f3

Rzetelni badacze historii chłopów zwracają uwagę na to, że nie żyli tylko życiem uciskanym, ich życie nie było pasmem nieszczęść, było natomiast życiem zorganizowanych wspólnot, z samorządem, poczuciem indywidualnego honoru i wstydu. To nie byli ludzie nieszczęśliwi, myślący tylko o zemście klasowej. Co ciekawe, najczęściej o chłopach piszą neomarksistowskie książki ci, którzy nie mają pochodzenia chłopskiego, ale którzy szukają okazji w uproszczonym wystawianiu rachunku krzywd do wyłożenia swoich inteligenckich resentymentów.

Mam wrażenie, że dzisiaj wszystkich nas stara się przekształcić w wyobrażonych pańszczyźnianych chłopów, którzy będą znów mściwie myśleć o Polakach jako o obcych, którzy ich uciskają, więc muszą zrzucić z siebie te „kajdany polskości". Owszem, chłopi nie mieli szans „dorosnąć" do polskości w wiekach XVI, XVII, XVIII. Ale właśnie wskutek projektu budowania polskości poszerzonej na wszystkie stany, projektu, który stał się naszą historią, możemy powiedzieć, że stworzenie takiej wspólnoty się powiodło. I dziś ja, którego dziadkowie po kądzieli byli małopolskimi chłopami, z dumą odbieram to wszystko, co daje kultura polska, w dużym stopniu szlachecka, utożsamiam się z nią, z tym, co budowały przez pokolenia wielkie postaci i wielkie dzieła ludzi wolnych. Gdybym teraz skupił się na nienawiści klasowej – to pozbawiłbym się udziału w tym bogactwie i stałbym się człowiekiem mniejszym, gorszym, zakompleksionym. Ubolewam, że ludzie są wciąż namawiani do takiej redukcji własnej osobowości.

▶ Przychodzi nam obecnie rozmawiać w trudnej dla Polski chwili – działania nowej ekipy rządowej budzą najgorsze skojarzenia, z czasami, w których ograniczona była nie tylko wolność słowa, lecz także działanie w opozycji wobec władzy wiązało się z ryzykiem szykan i represji. Jak Pan ocenia to, co dzieje się w naszej ojczyźnie po wyborach?

Proponuję spojrzeć na to z kilku perspektyw. Jedna – ta najdalsza i potrzebna nam bardzo – to ta, od której zaczęliśmy naszą rozmowę, czyli perspektywa milenijna, kilku tysięcy lat, w których rozgrywa się historia Europy i chrześcijaństwa. To ciągła sinusoida od czasów spokojnych, łagodnych do straszliwie dramatycznych, w których wydawało się, że nie ma cienia nadziei. Z tego punktu widzenia nasza epoka czy nasze doświadczenia, jakkolwiek mogą się wydawać trudne, bledną przy doświadczeniach Rzymu w wieku VI, zrujnowanego przez najazdy, poddanego obcej okupacji. Takie czarne chwile zawsze zdarzały się w historii. Ważne jest, żeby nie poddać się beznadziei, ale z zaufaniem do Opatrzności odpowiedzieć na zagrożenie. Tak jak zareagowali święty Benedykt czy święty Grzegorz czy tak jak polscy patrioci w sejmie grodzieńskim, najbardziej haniebnym sejmem w dziejach, tym, który zaaprobował rozbiór i faktycznie koniec Rzeczypospolitej. Oni zareagowali walką o niepodległość. Nie zawsze udaje się od razu odmienić obraz tego świata, ale z Bożą pomocą i własnym działaniem można wyjść z beznadziejnej na pozór sytuacji. Drugi punkt widzenia określa perspektywa wyłącznie skupiona na historii Polski. W naszych dziejach także powtarzają się wspomniane sytuacje – m.in. w szóstym tomie „Dziejów Polski" opisałem powstanie „totalnej opozycji", która postanowiła za wszelką cenę obalać legalnie wybranych królów, najpierw Jana Kazimierza, potem Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Potem to samo dotknie lidera owej opozycji, Jana Sobieskiego, który już jako król będzie zmagał się z frakcją skierowaną przeciwko sobie, niszczącą wspólnotę polską i opierającą się na zagranicznych „sponsorach" – Habsburgach, Francuzach, Moskwie, Brandenburczykach. Dziś wiemy, że w rozgrywce tej bardzo ważni byli „wewnętrzni sponsorzy", podsycający konflikty niszczące od środka naszą wspólnotę. Ciągle więc powtarza się scenariusz, którego ważną częścią jest nieukaranie zdrajców. Sprawiedliwości umknęli wszyscy, którzy porzucili ojczyznę w czasach Potopu – a to skutkuje przygnębieniem i poczuciem niesprawiedliwości wśród obywateli. Ci najgorsi zdrajcy wtedy nie zostali ukarani – przy-

> To, co najpiękniej można przeżyć, kiedy czyta się Kochanowskiego, Leśmiana, Mickiewicza i co wiemy, że w żadnym innym języku nie zostało w ten sposób wypowiedziane, jest częścią skarbca kultury światowej. Częścią, której bez Polski, bez trwania tej wspólnoty kulturowo-politycznej, po prostu by nie było. Kultura światowa byłaby uboższa.

eprasa.pl 9476ad31f3

kładem choćby Radziejowski. Jeszcze gorzej – byli obsypywani nagrodami i zaszczytami publicznymi, a ci, którzy walczyli, krwawili w obronie Rzeczypospolitej i byli wierni jej do końca, zostali zepchnięci na margines życia publicznego. To nie jest więc, jak widać, doświadczenie tylko XXI wieku. Widzimy tego rodzaju prawidłowość w naszej tradycji. Powinniśmy głębiej ją przemyśleć i próbować walczyć z jej powtarzalnością także dzisiaj. Wczorajsza „opozycja totalna", a dziś „totalny rząd" nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo głęboko jest zakorzeniony w tej niedobrej polskiej tradycji. Muszę przyznać, że z gorzkim uśmiechem obserwowałem manifestacje KOD-u, ludzi „zawstydzonych Polską": tak bardzo widać w nich było arcypolską tradycję rokoszu.

Dochodzimy tu do perspektywy wyłącznie współczesnej – nieukarania zdrady, która nastąpiła 10 kwietnia 2010 roku. Nie wypowiadam się na temat przyczyn katastrofy smoleńskiej, ale tego, co stało się tuż po niej i w następnych dniach. Rząd, który za to odpowiada, premier, który za to odpowiada, kontynuując swoją nieświętą wojną z PiS-em, wszedł tak głęboko w objęcia Władimira Putina, że zdecydował się sprawę zasadniczą dla bezpieczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej oddać w łapy jego zbirów. Tusk i jego ekipa nie ponieśli za to żadnej odpowiedzialności. Chcę powiedzieć jasno, twardo i stanowczo, że odpowiedzialność za nieukaranie Tuska spada wyłącznie na Jarosława Kaczyńskiego i rządy PiS-u. Przez osiem lat nie zrobiono nic, żeby raz na zawsze zablokować skutecznie drogę do życia publicznego osobom, które dopuściły się zdrady. To jest straszna nasza wina. Ofiarą zdrady padła nie tylko Polska, lecz także Ukraina, Białoruś. Zaakceptowanie kłamstwa Anodiny i oddanie państwa polskiego w ręce prokuratorów Putina było pokazem bezsilności Polski, ważnym jako lekcja dla innych, słabszych państw naszego regionu, ale także dla Putina: można iść dalej, skoro Polska nie stawia żadnego oporu. Polityka, którą realizował minister Sikorski – buta w stosunku do naszych bezpośrednich wschodnich sąsiadów, jego pogardliwe wystąpienia w stronę Litwy, Ukrainy oraz lizanie butów moskiewskim funkcjonariuszom – to były rzeczy niezwykle szkodliwe.

▶ Historia Polski to dzieje Polaków, dla których Wolność stanowiła jedną z najważniejszych wartości, wokół których ogniskowało się życie naszej Wspólnoty. To wiązało się z pojęciem suwerenności – zarówno na planie bezpieczeństwa ojczyzny w sensie fundamentalnym (dotyczącym istnienia państwa polskiego), jak i możliwości podejmowania suwerennych, wolnych decyzji dotyczących spraw polskich, decyzji „wewnętrznych". Czego historia może nas uczyć w tym względzie, szczególnie wobec współczesnych wyzwań związanych z zachowaniem suwerenności?

Historia Polski uczy, że wolność nie jedno ma imię, można nawet sparafrazować poetę i zapytać: „Wolność? Ale jaka?". Niejednokrotnie potrafiliśmy nadużywać wolności przeciwko własnemu państwu i wspólnocie. Ale jednocześnie wolność obywatelska, odpowiedzialna, republikańska jest wartością, która sprawia, że nigdy nie udało się całkowicie zniewolić tego społeczeństwa. Nie ma jednej głowy, którą można uciąć i w ten sposób pozbawić Polaków wolności. Nie rozumieją tego ci, którzy chcą być dyktatorami Polski. Oczywiście w warunkach nadzwyczajnych tacy dyktatorzy byli potrzebni: jak w 1863 roku – Traugutt, w 1794 – Kościuszko czy może przez chwilę, ale krótką chwilę, Józef Piłsudski. Ale nadużywanie tej pozycji „monarchy" wytwarza mechanizmy zabójcze dla naszej wspólnoty wolności: mechanizmy partii, w której jest wódz i dwór wokół wodza, „otorbiający" go i izolujący od rzeczywistości, przytakujący jego każdej decyzji. Wódz, otoczony dworem, nie dowie się, jak fatalne mogą być skutki pewnych błędnych decyzji (przykład: żałosna „piątka dla zwierząt"). Wytwarza się niechęć do współpracy z innymi Polakami, funkcjonującymi poza partią, tymczasem patrioci są w różnych środowiskach, ale partia zamyka się na te tysiące potencjalnych

Jeden z poddanych Bismarcka – Fryderyk Nietzsche, wielki niemiecki filozof – widział polską kulturę jako pewnego rodzaju szczyt wolności, o którym marzył, ale którego nie mógł zrealizować w państwie Bismarcka. Stąd wymyślona przez niego genealogia, jakoby wywodził się z polskiej szlachty o nazwisku Nicki.

eprasa.pl 9476ad31f3

uczestników pracy nad odbudową i wzmocnieniem wolnej Polski. Partia jest zawsze zajęta własnymi interesami, myśli kategoriami partyjnymi. To dotyczy wszystkich partii bez wyjątku. Jeżeli nie zmieni się ten model, to nie uda się wzbudzić energii społecznej, która potrzebna jest obywatelom, żeby odsunąć od władzy ekipę całkowicie nastawioną na zniewolenie Polski. Jesteśmy teraz, powiedziałbym, na kolejnym zakręcie: albo partia zamknie się sama w sobie, uznając się za wartość najwyższą, albo zreformuje się radykalnie w duchu republikańskim, obywatelskim, otwartym na ludzi, którzy są poza partią, na inne środowiska, wreszcie na ludzi młodych.

cha", po raz pierwszy została zapisana nazwa naszego kraju: Polonia. Kryzys dotykający obecnie całej chrześcijańskiej Europy, wymaga zorganizowanej współpracy tych wszystkich, którzy chcą ratować tę wspólnotę, tę tradycję. Dlatego wydaje mi się, że bardzo ważnym zadaniem jest powrót do wizji, jaką reprezentował Grzegorz Wielki. Potrzebne jest odnowienie ducha misji. Misji, która powinna dotyczyć najpierw naszego najbliższego otoczenia, naszych dzieci, sąsiadów. Przekonywać, że warto nie tylko być Polakiem, lecz także że ważne jest, aby zachować tradycję, tożsamość i wiarę chrześcijańską, bo bez niej nie jesteśmy w pełni sobą. Po-

BARDZO WAŻNYM ZADANIEM JEST POWRÓT DO WIZJI, JAKĄ REPREZENTOWAŁ GRZEGORZ WIELKI. POTRZEBNE JEST ODNOWIENIE DUCHA MISJI. MISJI, KTÓRA POWINNA DOTYCZYĆ NAJPIERW NASZEGO NAJBLIŻSZEGO OTOCZENIA, NASZYCH DZIECI, SĄSIADÓW. PRZEKONYWAĆ, ŻE WARTO NIE TYLKO BYĆ POLAKIEM, LECZ TAKŻE ŻE WAŻNE JEST, ABY ZACHOWAĆ TRADYCJĘ, TOŻSAMOŚĆ I WIARĘ CHRZEŚCIJAŃSKĄ, BO BEZ NIEJ NIE JESTEŚMY W PEŁNI SOBĄ. POTEM MISJA MUSI ZOSTAĆ SKIEROWANA TAKŻE DALEJ, TAM GDZIE LUDZIE CZEKAJĄ NA NIĄ – W NIEMCZECH, WE FRANCJI, WE WŁOSZECH, NAWET W HOLANDII CZY W SZWECJI.

▶ Nasze położenie geopolityczne – między żywiołem niemieckimi a jednocześnie promieniującą cywilizacją łacińską, chrześcijańską i cywilizacjami Wschodu ze wszystkimi zagrożeniami, a jednocześnie wyzwaniami – kształtowało naszą myśl państwową już od zarania, od pierwszej decyzji Mieszka o wpisaniu swego państwa w krąg cywilizacji Zachodu. Jak patrzeć na tę przeszłość z perspektywy teraźniejszości? Jakie wyzwania stoją przed Polakami obecnie? I jakie zagrożenia (czy może korzyści) płyną z naszego położenia geopolitycznego obecnie?

Pewnego rodzaju pokusą, której być może bezrefleksyjnie wielu z nas ulega, jest myśl: „Uratujmy się sami, Europa już zgniła, powinniśmy się więc ochronić, nie patrząc na to, co się dzieje poza granicami Polski". To jest radykalnie błędne rozumowanie. Polska jest częścią Europy chrześcijańskiej i nigdy nie istniała poza nią od czasu, kiedy w Rzymie, na Awentynie, w „Żywocie świętego Wojciechu", po raz pierwszy została zapisana nazwa naszego kraju: Polonia. Kryzys dotykający obecnie całej chrześcijańskiej Europy, wymaga zorganizowanej współpracy tych wszystkich, którzy chcą ratować tę wspólnotę, tę tradycję. Dlatego wydaje mi się, że bardzo ważnym zadaniem jest powrót do wizji, jaką reprezentował Grzegorz Wielki. Potrzebne jest odnowienie ducha misji. Misji, która powinna dotyczyć najpierw naszego najbliższego otoczenia, naszych dzieci, sąsiadów. Przekonywać, że warto nie tylko być Polakiem, lecz także że ważne jest, aby zachować tradycję, tożsamość i wiarę chrześcijańską, bo bez niej nie jesteśmy w pełni sobą. Potem misja musi zostać skierowana także dalej, tam gdzie ludzie czekają na nią – w Niemczech, we Francji, we Włoszech, nawet w Holandii czy w Szwecji. Wiem, że to jest trudne, ale nie można przyjąć założenia, że wszyscy Niemcy albo Francuzi są naszymi wrogami. Wrogami są jedynie reżimy polityczne, które usiłują zniewolić nie tylko nas, lecz także swoich obywateli. Ten wyzysk peryferii, czyli Europy Środkowo-Wschodniej, przez centrum imperialne w Berlinie czy Paryżu, nie przyniesie satysfakcji zwykłym obywatelom europejskich państw. Oni sami czują często, że nie są już u siebie i to z nimi należy organizować kontakty, współpracę, by przeciwstawić się tej drugiej sieci współpracy, która chce zniszczyć narody. Jeżeli my nie będziemy w stanie się zjednoczyć z tymi, którzy chcą ocalić narody i tradycje tworzące Europę, to przegramy. Przegramy pojedynczo. Zostaniemy zlikwidowani tak, jak to dobrze ujmuje metafora „taktyki salami": zniszczą nas po plasterku, po kolei, naród za narodem. Dlatego powinniśmy zdać sobie sprawę z tej taktyki i odpowiedzieć na nią wielką, europejską, a nawet światową misją. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Ryszard Czarnecki

Tak czy owak: Andrzej Nowak

Laureat nagrody „Nowego Państwa" za rok 2023 – prof. Andrzej Nowak – to człowiek, którego warto słuchać i czytać.

To, co zrobił dla polskiej historiografii i promocji dziejów ojczystych, jest bezcenne. Czasem wypowiada się też na tematy polityczne. Tu nie musi mieć zawsze racji. Po przegranych wyborach udzielił wywiadu dla Radia WNET, w którym powiedział, że „PiS zmiotła zmiana cywilizacyjna". Teza efektowna, w jakiejś mierze racje Profesor ma, ale z drugiej strony można „gdybać". A więc gdyby inaczej ułożono listy wyborcze (prof. Andrzej Nowak nie ma czasu napisać książki o roli „baronów" partyjnych w różnych formacjach politycznych w III RP – może lepiej dla „baronów"…) albo bardziej efektywna byłaby kampania wyborcza, albo gdyby trafiono z przekazem do młodych itd. itp. Nie ma co gdybać, jednak gdybyśmy oparli się lub przynajmniej opóźnili efekt owej „cywilizacyjnej" miotły (postkulturowej?), czy wówczas nasz Profesor mówiłby, że naród polski znów okazał swój heroizm?

W różnych życiorysach Andrzeja Nowaka, które można przeczytać, nie ma nic albo są dwa słowa o tym, że był fantastycznym redaktorem naczelnym zjawiskowego periodyku o nazwie „Arkana". Miałem zaszczyt z nim na tej niwie współpracować, publikować tam i mieć poczucie, że biorę udział w czymś ważnym. Nowak-redaktor był człowiekiem, który przyciągał ludzi do pisma (środowiska) i skupił mnóstwo ciekawych postaci, także takich, które dzisiaj są w zupełnie innej galaktyce. Przecież swoje dzienniki publikował tam jeden z najwybitniejszych obecnie polskich pisarzy Szczepan Twardoch, który na pewno na PiS nie głosuje, choć nie dał się też zamknąć do roli bycia propagandystą „jedynie słusznej linii" establishmentu polityczno-gospodarczo-kulturalnego nad Wisłą i Odrą.

Profesor Nowak jest „dziwakiem", bo nie używa telefonu komórkowego, a ja to dziwactwo szanuję, podziwiam i zazdroszczę, że ma taki luksus. Może dlatego jest tak płodny, pisze tak dużo i dobrze – o czym ostatnio rozmawialiśmy z innym profesorem z Krakowa – i też Laureatem – Ryszardem Legutko.

Przed profesorem Nowakiem dziś zadanie być może trudniejsze niż opisywanie dziejów Polski. Od ośmiu lat jest bowiem w Radzie IPN, który dziś znalazł się pod wyjątkowo obrzydliwym ostrzałem politycznym. Tak jak niemiecka wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley mówiła, że trzeba „zagłodzić" Polskę i Węgry, tak dziś rządzący chcą „zagłodzić" IPN, obcinając jego budżet o prawie 70 mln. Przyjdzie pewnie profesorowi Nowakowi publicznie bronić IPN-u – tej reduty walki o prawdziwą historię ojczystą.

Profesor jest znakomitym historykiem, ale czy jest maniakiem – jak ja – dat i statystyk? Jeśli tak to wie, że w dniu, w którym się urodził –12 listopada – w różnych wiekach miały miejsce wydarzenia szczególnie dla Polski ważne. I tak król Kazimierz IV Jagiellończyk w tymże dniu w 1454 roku nadał, dzieląc się władzą w państwie ze szlachtą – bo to była Rzeczpospolita – drugi z tzw. przywilejów nieszawskich. Również 12 listopada, tylko 1596 roku, w mieście Pana Profesora – Krakowie – uroczyście żegnano zmarłą królową Polski Annę Jagiellonkę. Zaś 401 lat temu tłum prawosławnych zamordował w Witebsku abp. Jozafata Kuncewicza. Dzień ów był także dniem chwały polskiego oręża, bo w 1655 roku w trzydniowej bitwie wygraliśmy z Moskalami pod Jeziorną, a 19 lat później Turcy skapitulowali przed wojskiem Jana III Sobieskiego w oblężonym przez Polaków Barze.

W czasach już najnowszych, właśnie 12 listopada 1992 roku w warszawskiej Katedrze św. Jana została złożona, sprowadzona z Francji, urna z prochami generała Kazimierza Sosnkowskiego. Zaś po równo trzydziestu latach z kolei w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej pochowano szczątki prezydentów RP na Uchodźstwie: Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego.

Profesor Andrzej Nowak pisząc o historii Polski – przechodzi do historii Polski. Tak jak przeszli urodzeni w tym samym dniu – 12 listopada, tylko że 62 lata wcześniej – generał Leopold Okulicki, ostatni komendant główny AK zamordowany przez Sowietów, i bohaterski obrońca Westerplatte major Henryk Sucharski…

eprasa.pl 9476ad31f3

AI – REWOLUCJA TECHNOLOGICZNA, JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO?

W zestawieniu 25 najczęściej przeglądanych stron Wikipedii w 2023 roku pierwsze miejsce zajęła strona poświęcona ChatGPT, która zanotowała 49,4 mln odsłon. Zdaniem wielu, ChatGPT zrewolucjonizuje współczesny świat i będzie miał znaczący wpływ na naszą przyszłość. Nasuwa się w tym miejscu jednak pytanie – jaki to będzie wpływ?

Małgorzata Matuszak





FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 9476ad313

W lutym 2023 roku ChatGPT ustanowił rekord najszybciej rosnącej bazy użytkowników – liczba osób korzystających z tego narzędzia wyniosła 100 mln. Pokazuje to, jak wielkie zainteresowanie wzbudzają wśród ludzi na całym świecie innowacje w zakresie sztucznej inteligencji. Wielkie zainteresowanie i – równocześnie – wielki niepokój. Dlaczego ChatGPT budzi tyle kontrowersji? Czy rozwój sztucznej inteligencji może być zagrożeniem dla człowieka, czy wręcz przeciwnie – szansą na lepszą przyszłość społeczną i ekonomiczną ludzi na całym świecie?

Czym jest AI?

Badania nad sztuczną inteligencją prowadzone są już od dawna, od wielu lat również różne jej modele są dostępne na rynku. Ale to wraz z ukazaniem się w roku 2022 pierwszego rodzaju sztucznej inteligencji bazującej na zaawansowanych modelach językowych, który generuje odpowiedzi na zadane mu pytania, czyli wykazuje działanie zbliżone do aktywności umysłowej człowieka, czyli Chat-u GPT (ang. Generative Pre-trained Transformer), rozgorzała burzliwa debata na temat przyszłości człowieka w związku z rozwojem sztucznej inteligencji. Jest to jednak tylko jeden z przykładów technologii sztucznej inteligencji, nad którą namysł podejmowany jest już od kilku lat. Nazwa „sztuczna inteligencja" (ang. Artificial Intelligence, stąd skrót AI) została po raz pierwszy użyta prawdopodobnie w 1956 roku w College Darthmouth podczas jednej z organizowanych tam konferencji. Dokładne wyjaśnienie i zdefiniowanie AI jest niezwykle trudne, gdyż pojęcie to jest bardzo szerokie i obejmuje wiele obszarów IT. W ogólnym rozumieniu jest to wykorzystanie programu komputerowego do wykonywania czynności symulujących ludzkie działania umysłowe, z procesem uczenia się włącznie.

Komputery uważano przez jakiś czas jedynie za maszyny liczące, co było dużą redukcją ich możliwości. Z czasem zauważono bowiem, że oprócz dość przewidywalnych operacji na liczbach, komputery mogą również dokonywać operacji na symbolach, a te mogą reprezentować zarówno abstrakcyjne pojęcia, jak i obiekty świata realnego. Między innymi to odkrycie otworzyło drzwi do badań nad możliwością skonstruowania symulacji ludzkich działań umysłowych i wgrania w program wiedzy eksperckiej oraz budowania modeli sztucznych sieci neuronowych na wzór ludzkich i wykonujących procesy, które zachodzą w ludzkim mózgu. Ludzki mózg może przetwarzać informacje w dość ograniczonym tempie – 1 bita na sekundę, w przypadku komputerów mamy do czynienia z szybkością 1 terabita na sekundę przetwarzania pewnych informacji, co jest niewyobrażalnym wręcz przyspieszeniem. Marzenie o symulacji pracy ludzkiego mózgu w zwielokrotnionym tempie inspirowało badaczy zajmujących się sztuczną inteligencją.

Wiemy jednak, że na tej drodze może pojawić się wiele trudności. Po pierwsze, nasza wiedza o ludzkim mózgu i jego potencjale jest wciąż niepełna. Po drugie, nie znamy wszystkich, wytworzonych przez siebie, możliwości sztucznej inteligencji, gdyż mogąc się uczyć i mając częściową autonomię, nie podlega ona pełnej kontroli człowieka. Po trzecie, i wynikające z tych dwu pierwszych, czy projektowana i wciąż udoskonalana przez człowieka w różnych wersjach sztuczna inteligencja będzie symulowała tylko ludzkie działania umysłowe w jego uboższej formie, czy będzie to zupełnie inna od człowieka inteligencja, której ostatecznej formy jeszcze nie znamy i nie umiemy przewidzieć? Są to pytania już filozoficzne, na które w tym momencie nie znamy odpowiedzi. Również nasze przewidywania związane z AI, które w ostatnich latach rozwija się bardzo dynamicznie, są bardzo ograniczone poznawczo. Wiemy, że AI zmieni oblicze ludzkiego świata, ale nie wiemy dokładnie: jak? Można wymienić jednak komentowane przez badaczy zjawiska AI pewne zagrożenia i szansy z nią związane.

Szanse na poprawę ludzkiego życia

Jeśli ludzkość ma się rozwijać, musi nieustannie pracować nad poprawą i utrzymaniem własnych warunków egzystencji. Ludzkie życie mogłoby być trochę mniej wyczerpujące, gdyby sztuczna inteligencja i roboty mogły przejąć szczególnie te zadania, które są dla człowieka uciążliwe. Na przykład, co już się dzieje: procesy masowej produkcji, zadania usługowe czy biurowe. Ludzie, których zastąpiłaby maszyna, mogliby znaleźć nowe kwalifikacje i mogłyby powstać nowe zawody, które wykorzystywałyby specyficznie ludzkie potrzeby i umiejętności, gdzie człowiek byłby nie do zastąpienia.

Już teraz AI może pomóc również w rozwoju nauki. W genetyce, naukach medycznych. astronomii, przy analizie dużych baz danych, w finansach, a nawet w naukach takich jak archeologia, coraz częściej można wykorzystywać możliwości AI. W medycynie na przykład sztuczna inteligencja może być używana w diagnostyce chorób. Systemy AI wykorzystuje się w analizie obrazów – rentgenowskich czy tomografii komputerowej, pomagają także lekarzom w lepszej ocenie stanu pacjenta i przygotowywaniu planu terapeutycznego. Sztuczna inteligen-

eprasa.pl 9476ad31f3

cja pomaga w nowych odkryciach, w lepszym zrozumieniu chorób, produkcji leków, co daje ogromne szanse ludzkości na poprawę jakości zdrowia i wydłużenie życia ludzkiego. W finansach zaś sztuczna inteligencja pomaga ludziom lepiej inwestować i gospodarować swoimi finansami. Może być wykorzystywana do analizowania dużych danych finansowych, przewidywania trendów na rynkach akcji i walutowych, a także do automatyzacji procesów inwestycyjnych.

Oczywiście to tylko parę przykładów możliwości zastosowania AI, która może w przyszłości znaleźć nowe obszary wykorzystania, tym bardziej, że cały czas trwa jej rozwój.

Zagrożenia

Tak jak nie znamy wszystkich szans, które otwiera przed człowiekiem pojawienie się AI, tak i nie znamy wszystkich zagrożeń, które wynikają z jej istnienia. Mało prawdopodobny jest scenariusz pojawiający się często w mediach, że AI doprowadzi do zagłady ludzkości, gdyż maszyna zwróci się przeciwko człowiekowi. Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że mamy do czynienia z maszyną, a nie człowiekiem, i trudno przypisywać jej świadome intencje – tak samo dobre, jak i złe – wobec człowieka. Jest to inteligencja, ale jednak sztuczna, a nie prawdziwa, i mało prawdopodobne, aby była w stanie naśladować ludzką świadomość, tym bardziej, że nadal w pełni nie wiemy, na czym ona polega.

Realnym problemem może być natomiast potencjalne bezrobocie, pojawiające się jako efekt tej upowszechniającej się technologii. Jak podaje raport PRCN pt. „Polacy o sztucznej inteligencji – czyli jak sprawić, by pracownicy nie bali się AI", nasi rodacy coraz bardziej obawiają się o swoje miejsca pracy w związku z coraz większą obecnością AI. Dotyczy to przede wszystkim pracowników o niższych kwalifikacjach. I jak się okazuje, ich obawy są słuszne, zwolnienia podyktowane zmianami w firmach w tym zakresie są bowiem praktyką coraz częstszą. Około 26 proc. Polaków doświadczyło sytuacji, w której doszło do zwolnień wynikających z pojawienia się nowocześniejszych niż dotychczas technologii – sztucznej inteligencji, i to na przestrzeni ostatnich trzech lat. Osoby w przedziale wiekowym 25–34 i 35–49 lat były zdania, że AI będzie czynnikiem decydującym o zmianie pracy bądź przekwalifikowaniu się. Ale nie każdy będzie chciał albo miał możliwość przekwalifikowania się, dlatego ryzyko wzrostu bezrobocia w pewnych zawodach jest naprawdę realne. Z drugiej strony, według badań przeprowadzonych przez firmę CISCO, aż 61 proc. właścicieli firm globalnych wyraziło obawy, że jeśli w ciągu roku nie wdrożą strategii AI w swoich firmach, to odbije się to negatywnie na ich wynikach biznesowych. Nie ulega wątpliwości, że kraje rozwinięte i rozwijające się powinny już teraz zacząć myśleć nad rozwiązaniami, które w jakimś chociaż stopniu zniwelują skutki doświadczanego od wielu lat i wciąż przyspieszającego rozwoju technologicznego.

Innym problemem jest wykorzystanie AI w przemyśle militarnym do budowy całkowicie samodzielnych maszyn zdolnych do zabijania przeciwnika, które byłyby sterowane właśnie przez AI. Trzeba pamiętać, że wszystkie systemy komputerowe nie są w 100 proc. odporne na ataki hakerskie i istnieje duże ryzyko wykorzystania takiej broni w niekontrolowany sposób. Nie do końca do przewidzenia jest również, przemyśliwany przez odkrywców nowych technologii, pomysł podłączenia człowieka do zasobów AI. Połączenie człowieka z maszyną wydaje się odległe i raczej istniejące w świecie fantazji niż w rzeczywistości, ale już teraz w pewnym zakresie ten projekt się ziszcza – nowe technologie są używane do wspomagania ludzi niepełnosprawnych, w celu pomocy w ich codziennym życiu. Być może odkrycia na tym polu będą stosowane w przyszłości nie tylko w medycynie, lecz także w celu usprawnienia ludzkich funkcji umysłowych przy wsparciu maszyny, dzięki ich mechanicznemu połączeniu. Taki świat jednak na razie wydaje nam się niemożliwy do wyobrażenia.

I znów – człowiek

Biorąc pod uwagę dynamiczny rozwój sztucznej inteligencji, nie do końca można przewidzieć wpływ jej istnienia na ludzkie życie w przyszłości. Możemy mieć tylko nadzieję, że będzie to trend pozytywny, co w dużej mierze zależy od intencji i planów samego człowieka, bo przecież nie kto inny tylko on jest projektantem tego, co dziś nazywamy AI. Każda inteligencja może bowiem być użyta na dwa sposoby – dla dobra ludzkości i dla dobra konkretnej grupy ludzi. Jeśli sztuczna inteligencja stanie się niebezpieczna, oznacza to, że niebezpiecznymi są ludzie, którzy za nią stoją. Albo po prostu ludzki błąd, na przykład niedopatrzenie programisty, doprowadzi do brzemiennych w skutkach działań. Sztuczna inteligencja wzbudza strach, ale i nadzieję. Namysł etyczny nad wykorzystaniem możliwości sztucznej inteligencji jest konieczny, wszak to człowiek ponosi odpowiedzialność za to, co sam wytworzył. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Kopia zapasowa historii naturalnej polskiego naukowca



Józef Wieczorek

Gdy pasja badawcza dominuje nad pasją zarabiania, jest szansa na rozwój nauki, gdy motyw zarabiania dominuje nad pasją naukową, mamy uwiąd nauki. Jakoś nie porównuje się w domenie akademickiej dokonań pasjonatów nauki i pasjonatów pieniędzy. Bez takich porównań trudno reformować domenę we właściwym kierunku.

eprasa.pl 9476ad31f3

Piotr Sztompka – guru polskich socjologów – w książce „Kopia zapasowa" opowiada, jak z ucznia sam stał się mistrzem, robiąc kopię zapasową swojego życia. Argumentuje słusznie, że przecież nagle mogą być wymazane wszystkie wspomnienia, refleksje, sukcesy, porażki, bo w końcu przychodzi koniec i „Ciach i nie ma!". To właściwa postawa, szczególnie ważna w czasach rozszerzania się antykultury unieważniania (cancel culture), choć o tej antykulturze znany w świecie socjolog w swojej kopii jakoś nie wspomina i nie wiadomo, dlaczego. Przecież to zjawisko socjologiczne nie tylko naszych czasów, a nie wszyscy mogą przekazać potomnym w przestrzeni publicznej zapis swoich wspomnień, refleksji... Antykultura unieważniania może wymazać wszystko i wszystkich z jakiegoś powodu niewygodnych. Internet daje co prawda szansę zaistnienia wymazywanym z domeny akademickiej, ale i w internecie niewygodne treści są blokowane, kasowane i funkcjonuje zapis na autorów. Można nagrać czyjeś wspomnienia, ale w projektach zachowania pamięci się nie zmieszczą, nie zostaną upublicznione. I już. Upublicznić nieco można we własnej domenie, ale pozostając raczej na peryferiach świata akademickiego, stąd materiał do badań socjologicznych nad historią naturalną polskich naukowców nie jest zbyt bogaty. Profesor Sztompka zadbał o zrobienie swojej kopii zapasowej, ale nie wszyscy naukowcy mają takie szczęście, a uwarunkowania zaistnienia takiego szczęścia są raczej skomplikowane. Z kopii zapasowej o takich uwarunkowaniach nieco się dowiadujemy, ale z powodu braku innych kopii zapasowych wiedza w tej materii jest nader skromna.

▶ Historia i naturalna teraźniejszość polskiego naukowca

Przed laty napisania „Historii naturalnej polskiego naukowca" (1971) podjął się niemal dziś zapomniany wybitny cybernetyk Marian Mazur, ponadto autor książki „Cybernetyka i charakter", z której wynika, że charakter ma niemały wpływ na historię naturalną naukowców i nie zawsze da się to z biografii wymazać. Historia naturalna Mazura nie była usłana różami, zastosowanie jego koncepcji w życiu społecznym PRL było zbyt niewygodne i sam nie osiągnął szczytu kariery akademickiej. Nie został profesorem belwederskim, choć pracował w instytucjach naukowych i działał w naukowych komitetach. Duży rozgłos, nie tylko w domenie akademickiej, przyniosła mu „Historia naturalna...", w której zawarł wiele trafnych spostrzeżeń o życiu naukowym PRL. Już wówczas zauważył, że „mamy całe tysiące pracowników naukowych w statystyce, a nie ma kto robić badań".

Od tego czasu domena akademicka zanotowała statystyczny postęp, tak w zakresie statystycznej liczby akademików, jak i liczby studiujących, a w zakresie badań jakoś nie zauważono postępu, a wręcz regres. Doktoraty robiono dla doktoratu, tzn. uzyskanie doktoratu stanowiło cel działalności w instytucji akademickiej, a jego temat dobierano tak, aby był „doktoryzujący", choć nikt więcej poza doktorantem i jego promotorem go nie potrzebował. Te refleksje pisane przeszło 50 lat temu pozostały aktualne do dziś i nic nie potrzeba zmienić dla opisania teraźniejszości domeny akademickiej.

Mazur zauważył także „pasożytów nauki, tj karierowiczów, którzy nie mają kwalifikacji do uprawiania zawodu naukowca, a tytuły naukowe zdobyli dzięki względom pozanaukowym". Można zapytać, czemu w wyniku transformacji, licznych reform domeny akademickiej w tej materii tak naprawdę nic się nie zmieniło?

Patologie akademickie Marian Mazur zawarł w ponadczasowej analizie, pisząc, że „w nauce u nas obecne są »miernoty«, »feudałowie« starannie reżyserujący swoje wystąpienia w roli »wielkich uczonych«, dopisujący się jako »współautorzy« (oczywiście na pierwszym miejscu) do prac »wasali«, czyli swoich asystentów, a co najmniej oczekujący od nich uniżonych podziękowań w przedmowie, uważający za osobistą obrazę każdy sprzeciw w dyskusji, kumulujący w swojej dziedzinie wszelkie możliwe stanowiska kierownicze i prezydialne, otaczający się »cmokierami«, a tępiący zbyt dobrze zapowiadające się talenty".

Taki stan rzeczy umożliwiały panujące wówczas stosunki feudalne, wzmacniane przez przewodnią siłę narodu, ale mimo tzw. obalenia komunizmu i likwidacji KC i POP PZPR takie stosunki przetrwały do dziś. Zmiany przeprowadzono tak, aby to, co zasadnicze, pozostało po staremu. Kadry również.

Jakże ponadczasowy jest opis Mazura, „gdy niedawno jeden z takich »feudałów«, którego nazwisko figuruje na czele prawie każdej placówki, każdego komitetu, każdej komisji, każdej redakcji w jego dziedzinie, przechodził na emeryturę, okazało się, że nie było komu powierzyć po nim kierownictwa jego zakładu – tak dalece wytępił wszelkich potencjalnych następców".

Jeśli ktoś ma trudności ze zrozumieniem przyczyn niedowładu polskiej domeny akademickiej, winien przynajmniej się tego cytatu nauczyć na pamięć. Tak bowiem jest i nadal częściej celem „feudałów nauki" nie jest formowanie nowych, lepszych od siebie naukowców, lecz ich unieważnianie/tępienie.

To zdolność do pozytywnych działań, do rozwoju nowych kadr naukowych winna być pozytywnie oceniana w domenie akademickiej, a nie zdolność do eli-

FOT. ANTONI CHODOROWSKI

eprasa.pl 9476ad31f3

minowania lepszych od siebie, co u nas nadal jest aprobowane, a nawet przynosi uznanie. Iluż to naszych „doskonałych" akademików jest nosicielem takich negatywnych cech charakterologicznych prowadzących do degradacji wielu placówek naukowych.

Pasjonaci nauki a pasjonaci pieniędzy

I jeszcze uwagi Mazura o pasjonatach nauki, których zastępuje się pasjonatami pieniędzy, bez pozytywnych skutków naukowych: „[...] pasja badawcza nie jest czymś, co można zamówić, zaplanować lub nakazać. Jest ona stanem psychicznym, który nie opuszcza naukowca w żadnej godzinie z wyjątkiem snu (zresztą nie jest nawet wcale pewne, czy z wyjątkiem snu). Naukowiec nie odróżnia »normalnych« od »nienormalnych« godzin pracy ani nauki »służbowej« od »niesłużbowej«". Jest pewne, że „naukowiec, jak narkoman, jest gotów nawet dopłacać do przyjemności, jaką jest dla niego uprawianie twórczej działalności".

Niestety nadal u nas pasjonatów nauki nie gratyfikuje się jak należy, uważając, że i tak będą z pasji prowadzić badania, i to z przyjemnością. Finansuje się częściej pasjonatów pieniędzy, którzy i tak żadnej nauki nie zrobią, bo to ich mało interesuje. Gdy pasja badawcza dominuje nad pasją zarabiania, jest szansa na rozwój nauki, gdy motyw zarabiania dominuje nad pasją naukową, mamy uwiąd nauki. Jakoś nie porównuje się w domenie akademickiej dokonań pasjonatów nauki i pasjonatów pieniędzy. Bez takich porównań trudno reformować domenę we właściwym kierunku.

Zwiększanie nakładów księgowanych po stronie wydatków na naukę, rozdzielanych po równo według stopni i tytułów, nie rokuje poprawy wydajności domeny akademickiej. W końcu wielu utytułowanych wręcz szkodzi nauce, na co zwracał M. Mazur już ponad 50 lat temu, a w dzisiejszych zasadach finansowania etatowych akademików nie bierze się tego pod uwagę. Widocznie beneficjenci systemu mają w tym interes.

Trzeba mieć na uwadze, że bez pozytywnego powiązania pasji naukowej z należytym jej finansowaniem trudno liczyć na odgrywanie znaczącej roli w nauce światowej i w rozwoju innowacyjnej gospodarki.

Socjologiczny sukces

Znany socjolog prof. Sztompka, jak pisze w swej „Kopii zapasowej", nie wybrał drogi muzycznej i rzucił fortepian na rzecz dociekań socjologicznych, które doprowadziły go na szczyty hierarchii akademickich. Jednak nie bez problemów. Studiował prawo i socjologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, był pod wpływem dzieł Marksa, Baumana i nauczania Jerzego Wiatra, ale nie należąc do PZPR, nie został asystentem, co ujawnił w „Kopii zapasowej". Dzięki temu dostarczył dowodu na istnienie na UJ przewodniej siły narodu, która miała władzę nad wszystkim, a w szczególności nad doborem kadr akademickich, ale z „Dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego" ani z materiałów w archiwum UJ, to nie wynika! Tym samym podważa niejako oficjalną, niezrozumiałą najnowszą historię najstarszej polskiej uczelni, która różni się od historii rzeczywistej jak białe od czarnego. Tego zjawiska nie analizuje jednak ani historycznie, ani socjologicznie, choć z UJ związał się potem na lata, dotarł na pozycję profesora zwyczajnego, a nawet honorowego. Ciekawe, czy tak by wyglądała jego historia naturalna naukowca, jakby te bulwersujące rozbieżności zanalizował w domenie publicznej.

Co więcej ujawnia, że i w PAN, po zrobieniu doktoratu, mimo odpowiedniego przygotowania nie otrzymał stypendium Fulbrighta, z czego wyciągnął odpowiedni dla dalszej kariery wniosek i wstąpił w końcu do PZPR, co stanowiło trampolinę do przeniesienia się na terytorium amerykańskie, zwane wówczas „zgniłym Zachodem", i rozpoczęcie międzynarodowej kariery naukowej socjologa, co trzeba przyznać wykorzystał. Pisze jasno, że bez tego, bez względu na to, jaki miał talent, jakkolwiek dobrze by wykładał, nie wyjechałby do Ameryki i nie zrobił takiej kariery. Ci, którzy z takiej trampoliny za nic w świecie nie chcieli wówczas skorzystać, z domeny akademickiej byli eliminowani lub marginalizowani. Mogli co najwyżej osiągnąć pierwsze szczeble drabiny awansu akademickiego, kończąc mizernie swą naturalną historię naukowca. Były wyjątki, ale realia były na ogół właśnie takie.

Stan wojenny (którego też nie zidentyfikowano w dziejach UJ) zastał profesora w drodze powrotnej z pobytu naukowego we Włoszech, a mimo to zdecydował się na wjazd do opanowanej przez WRON-ę Polski, a nawet na oddanie legitymacji partyjnej. Aktywistą antysystemowym nie był, więc jakoś mu to nie zaszkodziło. Swych lewicowych poglądów nie zarzucił, choć przez lewicowych uczonych Zachodu uważany był za konserwatystę (sic!).

Do emerytury pracował w UJ, ale chyba nie przeprowadził badań nad socjologicznymi skutkami stanu wojennego ani nad skutkami fałszowania historii swojej etatowej uczelni. Szkoda.

Ulubioną liczbą profesora jest 10 i z umiłowaniem formułował różne dekalogi: dekalog sukcesu, obywatela, lustracji, patriotyzmu... a także ogłosił w dziesięciu punktach – rzec można – „ogólną teorię kryzysu uniwersytetu", z czym jednak podjąłem polemikę (Józef Wieczorek, „Kryzys uniwersytetu w ujęciu polemicznym z Prof. Piotrem Sztompką", dostępna w pdf

eprasa.pl 9476ad31f3

w: jubileusz650uj.wordpress.com), licząc z pozycji Dawida na merytoryczną krytykę/polemikę z autorem, akademickim Goliatem. Niestety bezskutecznie. Z reakcją się nie spotkałem. Wyliczyłem go do dziesięciu, a on ani głową, ani nogą nie ruszył. Czyli – po sportowemu – nokaut, który jednak mu nie zaszkodził w dalszej karierze akademickiej („Dawid wobec Goliata, czyli nokaut koryfeusza" – tekst opublikowany w „Kurierze" WNET w lutym 2019 roku).

Nie podjął także analizy socjologicznej wyznawców 11. przykazania („nie bądź obojętny" w ujęciu Mariana Turskiego) unieważniającego w praktyce Dekalog, mimo że opowiada się za Polską zanurzoną w etyce chrześcijańskiej.

W ramach jubileuszu UJ był organizatorem Kongresu kultury akademickiej (2014) który chyba sukcesem jednak nie był, bo pozostała po nim antykultura unieważniania, także na jego uczelni. Zajmując się fotografią tworzył socjologię wizualną, ale rzeczywistość przedstawia głównie z lewej strony.

Mimo że uznany za człowieka sukcesu, od czego profesorowie UJ dostają zawrotu głowy, a sam jest o tym przekonany, chyba w porównaniu z Marianem Mazurem, niemal wyklętym, unieważnionym, także na polu socjologii, nie pozostawił po sobie takich tez o historii naturalnej polskiego naukowca, które byłyby aktualne przez dziesiątki lat. Ale zasług dla „odkrycia" roli PZPR w funkcjonowaniu jego uczelni nikt mu nie odbierze. Szkoda tylko, że jego uczelnia tego odkrycia nie chce włączyć do swej historii.

Ku doskonałości?

Z „Historii naturalnej..." jak i z „Kopii zapasowej" wyłania się wysoce niedoskonały obraz nauki uprawianej w Polsce. Dużo wydajniej można ją uprawiać poza granicami, bo system zakonserwowany w polskiej domenie akademickiej z sukcesem blokuje zarówno wielu pasjonatów nauki, jak również poznanie rzeczywistych przyczyn jej mizerii.

Na straży awansu naukowego w Polsce stoi tzw. Rada Doskonałości Naukowej, sama jednak wysoce niedoskonała. Ma za zadanie podtrzymywać filary naszej nauki, tj. profesurę prezydencką (belwederską) i habilitację, które, jak widać po latach, w konfrontacji z nauką światową nie podtrzymują poziomu, lecz ciągną go w dół, bo filary są źle osadzone. W krajach o wysokim poziomie nauki system jest bardziej przyjazny dla młodych pasjonatów nauki, których wchłania, gdy u nas blokuje. Stąd Polscy naukowcy jak opuszczają Polskę, dają sobie radę w instytutach zagranicznych, gdy u nas w ramach negatywnej selekcji kadr nieraz przepadają. Zdobywanie kolejnych szczebli dr(h)abiny akademickiej, ze szczeblem habilitacyjnym podcinanym przez tych, którzy nie tolerują lepszych od siebie (co podnosił Marian Mazur), jest wpisane w historię naturalną polskiego naukowca. Nie jest to najlepsze rozwiązanie. Lepiej młodych rekrutować w ramach rzeczywistych, merytorycznych konkursów i awansować w ramach ich oceny przez międzynarodowe gremia naukowe, co jest praktykowane w krajach przodujących w nauce. U nas na etaty rekrutuje się swoich, w ustawianych na nich „konkursach", a doktorów/profesorów to mogą oceniać tylko ci, którzy są profesorami, choćby nawet nie byli zdolni do formowania dobrych magistrów.

NA STRAŻY AWANSU NAUKOWEGO W POLSCE STOI TZW. RADA DOSKONAŁOŚCI NAUKOWEJ, SAMA JEDNAK WYSOCE NIEDOSKONAŁA. MA ZA ZADANIE PODTRZYMYWAĆ FILARY NASZEJ NAUKI, TJ. PROFESURĘ PREZYDENCKĄ (BELWEDERSKĄ) I HABILITACJĘ, KTÓRE, JAK WIDAĆ PO LATACH, W KONFRONTACJI Z NAUKĄ ŚWIATOWĄ NIE PODTRZYMUJĄ POZIOMU, LECZ CIĄGNĄ GO W DÓŁ, BO FILARY SĄ ŹLE OSADZONE.

Ku doskonałości naukowej to nie prowadzi.

Publikacje naukowe po biurokratycznie podwyższanej punktacji nie stają się lepsze. „Chów wsobny" (częste kariery od studenta do rektora na tej samej uczelni) zapewnia kariery naukowe swoim, uległym wobec feudałów, a nie zapewnia poziomu w nauce światowej, nie zapewnia innowacyjności nauki ani tworzenia elit, na których deficyt ciągle narzekamy, a utrzymujemy system, który taki stan rzeczy utrwala. Czy zasadne jest mówienie o obaleniu komunizmu, skoro ujawnione patologie degradujące naukę w czasach PRL nadal mają się dobrze? Najwyższy czas zmienić system na bardziej przyjazny dla uprawiania nauki i jej wykorzystania w gospodarce opartej o rzetelną – a nie tylko deklarowaną, tytularną – wiedzę. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Piotr Lisiewicz



Od mityngu w Paryżu do Katynia. Zamilczana polska gwiazda

2 lipca 1925 roku na paryskim stadionie Colombes Julian Gruner posłał oszczep na odległość 57,56 metra. To było pierwsze w historii zwycięstwo Polaka w zagranicznym mityngu lekkoatletycznym, z udziałem gwiazd z całego świata. „Jako dziecko amputowałam go z pamięci… Nie wolno było o nim mówić, tylko ukrywać jak zbrodniarza. Nawet mama nie chciała mi o nim opowiadać, obawiając się, że się »wygadam«… Zaczęłam zbierać o nim informacje. Przeglądałam dokumenty, zdjęcia, czytałam artykuły sprzed wojny, słuchałam opowiadań rodziny i znajomych. I nagle odkryłam, że jego życie było niezwykłe, bohaterskie” – wspominała czasy komunizmu córka wielkiego sportowca zamordowanego w Charkowie, Ewa Gruner-Żarnoch.

FOT. ZE ZBIORÓW RODZINNYCH



Na paryskim stadionie Colombes, wśród gwiazd światowej sławy, pojawił się nieoczekiwanie. Był 12 lipca 1925 r. Student medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, ciemnowłosy, z charakterystycznym wąsikiem, nadzwyczaj wysoki – Julian Gruner nie mógł pozostać niezauważony. Od młodzieńczych lat miłośnik lekkoatletyki, otrzymał od AZS propozycję udziału w międzynarodowych mistrzostwach Francji. Depesza dotarła do niego w Brukseli, dwa dni przed zawodami w Paryżu. Wiedział, że nie ma nic do stracenia, toteż wpadł w bojowy nastrój. Za chwilę miał odnieść zwycięstwo na zagranicznym mityngu – jako pierwszy Polak w historii" – piszą Aleksandra Wójcik i Magdalena Stokłosa, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

Niewyobrażalny sukces Polaka, który nie miał noclegu

Jak opisują, w czasie zawodów pierwsi zmierzyli się ze sobą oszczepnicy klubów z Francji – Stade Français Paris – oraz Szwajcarii – Cercle des Sports Lausanne, po czym przyszła kolej na pojedynek między Julianem Grunerem a faworytem Emmanuelem Deglandem, mistrzem i rekordzistą Francji (1923 rok – 54,28 m). Każdy miał po sześć rzutów. Za pierwszym razem Francuz uzyskał 52,00 m, a Polak – 49,90 m. „W drugiej kolejce Degland rzucił ok. 50 m, natomiast Gruner… Publiczność oniemiała z wrażenia, bo podniebny lot oszczepu zakończył się w granicach 60. metra. To było niesłychane! Francuską publiczność ogarnęła euforia, bo była pewna, że to… Degland. Tymczasem fenomenalny rzut należał do Grunera. Osiągając 57,56 m, pobił on jednocześnie oficjalny rekord Polski (55,06 m)" . W efekcie Gruner zdeklasował konkurentów, pokonał mistrza Francji i zwyciężył. Drugi był Degland (54,52 m), a daleko w tyle pozostali Paul Diringer (49,91 m) oraz Léon Courtejaire (48,12 m).

Skalę niewyobrażalnego sukcesu Polaka opisuje relacja na stronie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, z której wynika, że Gruner nie był traktowany przed mityngiem jako liczący się zawodnik: „Podróżującego po stadionach Europy Zachodniej oszczepnika władze AZS Warszawa skierowały do Paryża depeszą otrzymaną przez Grünera w Brukseli w piątek przed zawodami. Po przyjeździe do Paryża przez 2 godziny szukał miejsca, gdzie mógłby zamieszkać. Do stadionu Colombes, w owym czasie pod Paryżem, Polak dojechał pociągiem, nikt go nie zabrał samochodem, nikt go nie witał. Nie znając drogi do stadionu, przebył ją na skróty, dołączywszy do grupy francuskiej młodzieży".

Krzyż walecznych za bicie komunistów

Julian Gruner urodził się 13 października 1898 roku w Wisztyńcu w powiecie wyłkowyskim na Suwalszczyźnie. Był synem Lucjana i Stefanii z Nowickich. Wisztynic był zamieszkany głównie przez Polaków, którzy w 1918 roku domagali się od rządu polskiego przyłączenia do tworzącego się państwa. Ale Gruner już wtedy w Wisztyńcu nie mieszkał. W 1917 roku ukończył gimnazjum klasyczne w Marianpolu. Później zdał maturę w Jarosławiu i został na kilka miesięcy wcielony do 9. Syberyjskiego Batalionu Pontonów. Po rewolucji październikowej w grudniu 1917 roku został zdemobilizowany. Rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Kazaniu. Przerwał je w styczniu 1919 roku, by powrócić do Polski i bronić jej niepodległości.

Zgłosił się jako ochotnik do 3 Szwadronu 10 Pułku Ułanów Litewskich, gdzie służył w Zwiadzie Konnym. Został awansowany do stopnia podporucznika ze starszeństwem z dniem 1 czerwca 1919 roku. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W lipcu 1920 roku, już jako podchorąży, został przydzielony do szefostwa sanitarnego IV Armii. Za udany atak na gniazdo karabinów maszynowych odznaczony został Krzyżem Walecznych. Wyróżniono go też wieloma rozkazami pochwalnymi i odznaczeniami. W 1921 roku został przeniesiony do rezerwy. Był od tego czasu przydzielony do kadry zapasowej Szpitala Okręgowego nr 7 w Poznaniu. Później mianowany został podporucznikiem rezerwy służby zdrowia.

W trakcie szkoleń wojskowych, przełożeni chwalili go za „wybitne zdolności kierownicze, które go czynią zdolnym do każdego samodzielnego stanowiska fachowego" oraz „wybitne wyniki pod każdym względem na stanowisku zastępującym naczelnego lekarza pułku". We wniosku o awans na porucznika czytamy: „wybitny, ambitny, sumienny oficer, pod względem ideowym bardzo dobrze wyrobiony, bardzo dobrze wyszkolony oficer, na trudy fizyczne wytrzymały. Prezentuje się bardzo dobrze. Oddany zagadnieniom wychowania fizycznego".

Pionier polskiego hokeja

Co charakterystyczne dla sportowców z tamtego czasu, mierzący ponad 190 centymetrów wzrostu Gruner był zawodnikiem niezwykle wszechstronnym, co dziś, w sporcie zawodowym, oczywiście byłoby niemożliwe. Brał udział w biegach przez płotki, skokach wzwyż i o tyczce. Pływał, wiosłował, jeździł na nartach, grał w koszykówkę. Jak piszą Stokłosa i Wójcik, był też pionierem polskiego hokeja: „Zaopatrzony w kij, łyżwy i ochraniacze ruszał

eprasa.pl 9476ad31f3

na lodowisko jako jeden z pionierów hokeja w II RP. Już od 1922 r. reprezentował w tej dyscyplinie Akademicki Związek Sportowy, stworzył też własną drużynę hokejową w Kaliszu i zorganizował pierwszy w historii tego miasta mecz na lodzie".

Lista jego sukcesów sportowych jest imponująca. W 1924 roku wywalczył w Warszawie dwa srebrne medale (w skoku wzwyż z wynikiem 1,70 m oraz w rzucie oszczepem z rezultatem 51,69 m) podczas Letnich Mistrzostw Świata Studentów. Zdobył dziesięć medali Mistrzostw Polski seniorów – trzy złote (skok wzwyż – 1922 rok; rzut oszczepem – 1925 i 1926 rok), pięć srebrnych (skok wzwyż – 1923 i 1924 rok; rzut oszczepem – 1922, 1923 oraz 1927 rok) oraz dwa brązowe (skok wzwyż – 1925 rok; rzut oszczepem – 1924 rok). 15 lipca 1922 roku wynikiem 1,76 m ustanowił rekord Polski w skoku wzwyż. Gdy chodzi o skok wzwyż: „W okresie II Rzeczypospolitej był zarazem uznawany za jednego z najlepszych zawodników w skoku wzwyż i za pierwszego, który zastosował styl nożycowy".

▶ Nagością gorszył synów Albionu

„Pierwsze zwycięstwo polskiego lekkoatlety na Zachodzie" – informował „Stadjon" w 1925 roku, po tym jak Gruner tryumfował w Paryżu. „Po pannie Konopackiej z kolei Gruner z AZS zwycięża za granicą rekordowym rzutem oszczepem… Gruner, który po szeregu lat rywalizacji ze swym kolegą klubowym z AZS Szydłowskim, po niezwykle mozolnej i systematycznej pracy doszedł do znakomitej formy, osiągając wyniki, których nie śmiałby się spodziewać największy optymista. Zawodnik, który w najlepszym razie przekraczał 52 metry… rzuca najspokojniej w świecie 57,56!" – czytamy.

Po Paryżu w 1925 roku były też inne sukcesy międzynarodowe. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", w trakcie międzynarodowych mistrzostw Anglii (1925) rywalizacja wśród lekkoatletów była naprawdę ostra, a to za sprawą kilkunastu Amerykanów, Węgrów, Francuzów i Brytyjczyków. „Serce rosło, gdy przez 5 rzutów Gruner prowadził z wynikiem 51,13 m". Ostatecznie wygrał jednak Węgier Béla Szepes. Gruner zdobył srebrny medal z herbem Zjednoczonego Królestwa. Jego występowi towarzyszył skandal obyczajowy. Jak piszą Stokłosa i Wójcik, „podczas zawodów nie pozwolono mu startować… w koszulce bez rękawów, by »nie gorszyć skromnych oczu synów Albionu«. A gdy próbował zdjąć sweter, dwóch sędziów nagle schwyciło go za ręce, tłumacząc na migi, że musi sprostać zasadom międzynarodowej obyczajowości".

W 1926 roku pojechał do Brukseli, gdzie wziął udział w międzynarodowych mistrzostwach Belgii. „Na boisku piłkarsko-lekkoatletycznym Racing Clubu panowały ekstremalne warunki, bo nie dość, że lało jak z cebra, to jeszcze zielona murawa naszpikowana była setkami kamieni ubitych ciężarem walców. Już w trakcie treningu Gruner złamał na nich oszczep" – relacjonują autorki. Jak pisało pismo „Stadjon", „dr Gruner rzuca jako jeden z pierwszych, dzięki czemu ma jeszcze względnie pewny grunt. Mimo to w momencie wyrzutu trafia kolcami na kamień, razem z nim poślizguje się na glinianej papce i pada, boleśnie się rozbijając. Zdołał jeszcze oszczep wyrzucić, chociaż czuł, że trzasł on w ręku i wyleciał nieprawidłowo… A jednak… Przeleciał on równe 51 metrów i pęknięty od środka aż do końca utknął w ziemi na odległości, która zdawała się nie być w tym dniu osiągnięta". W czasie kolejnych rzutów Gruner czuł coraz silniejszy ból w nadwyrężonej nodze, która coraz szybciej puchła. W efekcie zdobył „tylko" srebrny medal, a jego rywal Nauman ustanowił rekord Belgii. Zakwalifikował się na igrzyska olimpijskie w Amsterdamie w 1928 roku, ale nie wziął w nich udziału z powodu kontuzji.

▶ „Człowiek urodził się nie dla siebie, lecz dla Ojczyzny"

„Homo non sibi natus, sed Patriae", czyli „Człowiek urodził się nie dla siebie, lecz dla Ojczyzny" – tak brzmiała dewiza Polskiej Korporacji Akademickiej Patria, do której należał Jerzy Giedroyć, a członkiem honorowym był Ignacy Jan Paderewski. W czasie studiów Juliusz Gruner był wiceprezesem Patrii. W latach 1921–1925 kontynuował on bowiem rozpoczęte w Kazaniu studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Działał też w Kole Medyków UW i Kole Akademickim Kresów Wschodnich, jak również w towarzystwie Bratnia Pomoc, wspierającym mniej zamożnych kolegów. 14 września 1925 roku uzyskał dyplom na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego.

Po studiach pracował w Warszawie na oddziale chirurgii dziecięcej, w stacji szczepień i w kolejowej służbie zdrowia. W 1931 roku trafił do Kalisza, jako pediatra w kasie chorych. Od 1936 roku pracował w Ubezpieczalni Społecznej. Był założycielem i pierwszym ordynatorem oddziału pediatrycznego. Publikował naukowe prace, m.in. „Zatrucia u dzieci" czy „Rola szpitala w walce z chorobami zakaźnymi". „W grodzie nad Prosną stworzył drużynę hokejową i zorganizował pierwszy w historii mecz w tej dyscyplinie" – pisze Mariusz Kurzajczyk na portalu Kalisz Nasze Miasto.

eprasa.pl 9476ad31f3

Mezalians i porwanie córki bogatego ojca

W Kaliszu Gruner się ożenił. Kurzajczyk relacjonuje: „25 lipca 1931 roku w kaliskiej bazylice ożenił się z Marią Mittelstaedt, młodszą o 10 lat ewangeliczką, najmłodszą córką ziemianina Alfreda Mittelstaedta i Pauliny z domu Fritsche. Co ciekawe, Paulina po rozwodzie wyszła po raz drugi za mąż za Pawła Deutschmana, który od Rephanów kupił podkaliski majątek Biernatki. Dzieci Deutschmanów to przyrodnie rodzeństwo Marii Gruner".

Zdaniem córki Grunera był to po trosze mezalians. W książce „Wyklęte życiorysy" Jolanty Drużyńskiej i Stanisława Marii Jankowskiego czytamy jej relację: „Mama pochodziła z bogatej ziemiańskiej rodziny Mittelstaedtów… Spotkali się najprawdopodobniej na jakimś balu czy raucie. Był jednak problem, bo rodzice chcieli mamę wydać za bogatego kupca z Łodzi. Podczas przyjęcia zaręczynowego ojciec przyjechał na motorze i porwał mamę, oczywiście za jej zgodą. Rodzice nie mieli wyjścia i zezwolili córce na ślub z »szalonym« lekarzem".

19 kwietnia 1934 roku na świat przyszła córka Juliana i Marii – Ewa Maria. „Ponoć ojciec z początku nie był zadowolony, bo marzył o synku, który poszedłby w jego ślady. Żal szybko minął, skoro przez płot i okno na piętrze dostał się do sali szpitalnej, aby wręczyć żonie ogromny bukiet kwiatów. Ostatecznie córka poszła w jego ślady, bo została lekarzem" – pisze kaliski dziennikarz.

„Tęsknię tylko bezgranicznie za Wami"

We wrześniu 1939 roku Julian Gruner poszedł znowu, po niemal 20 latach, na front. Pięcioletnia córka widziała go wtedy po raz ostatni. Został przydzielony do 2 batalionu sanitarnego. Po agresji Związku Sowieckiego na Polskę z 17 września 1939 roku został ranny, a 19 września aresztowany w Stanisławowie. W jakich okolicznościach? Autorki „Sportowców dla Niepodległej" piszą: „Sprawował pieczę nad szpitalem wojskowym w Stanisławowie. Dwa dni później, po opanowaniu miasta przez Armię Czerwoną, przed szpitalem rozegrały się dantejskie sceny. Sowiecki czołg zaczął tratować leżących przed budynkiem rannych i chorych żołnierzy. Kiedy doktor Gruner rzucił się im na ratunek, otrzymał cios w głowę kolbą karabinu".

Trafił do obozu w Starobielsku. „Zimą do Kalisza dotarł jego jedyny list, w którym prosił żonę Marię o przysłanie ciepłych rzeczy" – pisze Kurzajczyk. Julian napisał do Marii i małej Ewy: „Jestem zdrów, tęsknię tylko bezgranicznie za Wami, gdyż od 1.IX.39 nic o Was nie wiem… Wytrwajcie. Kocham Was, coraz mocniej i głębiej".

„O fakcie jego uwięzienia rodzina dowiedziała się z rzadko nadchodzącej korespondencji. Ślad po Grunerze, jak i tysiącach innych polskich oficerów uwięzionych w sowieckich obozach, urwał się wiosną 1940 r., kiedy listy ostatecznie przestały nadchodzić" – pisze historyk IPN Tomasz Dźwigał na portalu Przystanek Historia.

Mógł uciec z transportu. Ale był lekarzem…

Jak dowiedziała się córka Ewa Gruner-Żarnoch, jej ojciec miał szansę się uratować w drodze do Starobielska. „W trakcie transportu dwóch jego podkomendnych wyrwało deski z podłogi wagonu, do którego ich załadowano. Był bardzo sprawny, mógł wyskoczyć i uciec, ale podobno powiedział, że jest lekarzem, wiezie rannych i nie zostawi ich. Mógł wreszcie przyznać się do swoich niemieckich korzeni i przeżyć. Ale pewnie wiedział, że to byłaby zdrada, i został" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

„Przez długie lata Ewa Gruner miała nadzieję, że jej tata przeżył, że może znalazł się gdzieś na syberyjskiej zsyłce. Szukała go więc na terenie Związku Radzieckiego. Omal nie skończyło się to jej aresztowaniem" – czytamy na stronie Przystanku Historia.

Nigdy nie zrezygnowała z walki o prawdę i pamięć o ojcu. Dopiero w 1990 roku na listach przekazanych Jaruzelskiemu przez Gorbaczowa, pod numerem 627 odnalazła nazwisko Juliana Grunera – więźnia Starobielska, zamordowanego przez NKWD w Charkowie i wrzuconego do dołu śmierci w Piatichatkach. W czasie ekshumacji, w których brała udział, znaleziono przedmioty należące do ojca – sygnet z monogramem „JG" oraz zegarek.

5 października 2007 roku minister obrony narodowej awansował Grunera pośmiertnie do stopnia porucznika. Awans został ogłoszony 9 listopada 2007 roku w Warszawie, w trakcie uroczystości „Katyń Pamiętamy – Uczcijmy Pamięć Bohaterów". W ramach akcji „Katyń… pamiętamy"/ Katyń… Ocalić od zapomnienia" w stolicy Szwajcarii, Bernie, został zasadzony Dąb Pamięci honorujący Juliana Grunera.

Zamilczany w Kaliszu

Ale jak stwierdza Mariusz Kurzajczyk, wokół postaci Grunera panuje w Kaliszu dziwna zmowa milczenia: „Mimo tak wspaniałego życiorysu, Julian Gruner doczekał się zaledwie kilku kartek w książkach poświęconych wybitnym sportowcom oraz wspomnienia w wydawnictwie Kaliskiego Towarzystwa Lekarskiego. Jego nazwiska nie znają nie tylko zwykli kali-

eprasa.pl 9476ad31f3

szanie, ale wiele osób badających dzieje grodu nad Prosną". Jak to możliwe? „W dziwny sposób zatarte zostały nieliczne po nim ślady. W szpitalu próżno szukać wiszącego tam przez lata portretu założyciela oddziału dziecięcego. Tablica pamiątkowa jest natomiast na pediatrii" – czytamy na portalu Kalisz Nasze Miasto. Znikła też tablica ufundowana przez rodzinę w katedrze.

Pozostały pamiątki ukrywane przez córkę. „Zgromadziła imponujący zbiór pamiątek, fotografii, dokumentów i książek o tematyce katyńskiej. Ważną część tego zbioru stanowią dokumenty i fotografie ojca, znalezione niegdyś w walizce schowanej w piwnicy domu. Ukryła ją tam matka pani Ewy, która żyjąc w realiach komunistycznej Polski, w trosce o los córki ukrywała przed nią wspomnienia i pamiątki po ojcu. W 2017 roku pani Gruner-Żarnoch wyraziła wolę przekazania części zgromadzonych przez siebie zbiorów do zasobu archiwalnego szczecińskiego Oddziału IPN" – pisze Tomasz Dźwigał z IPN.

Uczniowie szkoły imienia Grunera

Córka kontynuowała dzieło ojca. „Ratowała życie ofiarom Szczecińskiego Grudnia '70. W tamtym czasie pomoc ofiarom polegała nie tylko na opiece medycznej, ale na ukrywaniu tożsamości aktywnych uczestników zajść. We wspomnieniach młodszych kolegów zapisała się w pamięci nie tylko jako znakomity lekarz, ale wielka patriotka. Mając pełną świadomość konsekwencji, jakie mogły ją w tamtym czasie spotkać, prócz wiedzy zawodowej przekazywała młodym lekarzom wiedzę historyczną dotyczącą najnowszej historii Polski, zwłaszcza zbrodni katyńskiej i osobistych doświadczeń jej wielkiego mistrza prof. Edwarda Dreschera, powstańca warszawskiego" – pisze Krzysztof Męciński z IPN.

Gdy w 1995 roku rozpoczęły się prace ekshumacyjne, w obecności władz polskich i rosyjskich, Ewa Gruner-Żarnoch powiedziała: „My, Polacy, jesteśmy narodem szczerym, serdecznym i romantycznym. Cenimy odwagę i honor oraz dotrzymywanie obietnic. Umiemy też wybaczać krzywdy. Natomiast nienawidzimy przemocy i nigdy jej się nie poddajemy. Wzmacnia ona jedynie naszego ducha. Dowodem tego jest właśnie ponadpółwieczna pamięć o zamordowanych, która przetrwała zsyłki, więzienia, łagry i prześladowania i wciąż jest w nas bardzo bolesna i żywa. Mamy głębokie przekonanie, że trwałej więzi wzajemnego szacunku czy przyjaźni nie można zbudować na fałszu i nielojalności. Przychodzi bowiem czas i budowla ta przewraca się jak domek z kart. Natomiast najboleśniejsza nawet prawda może okazać się podstawą przyszłej więzi między naszymi narodami".

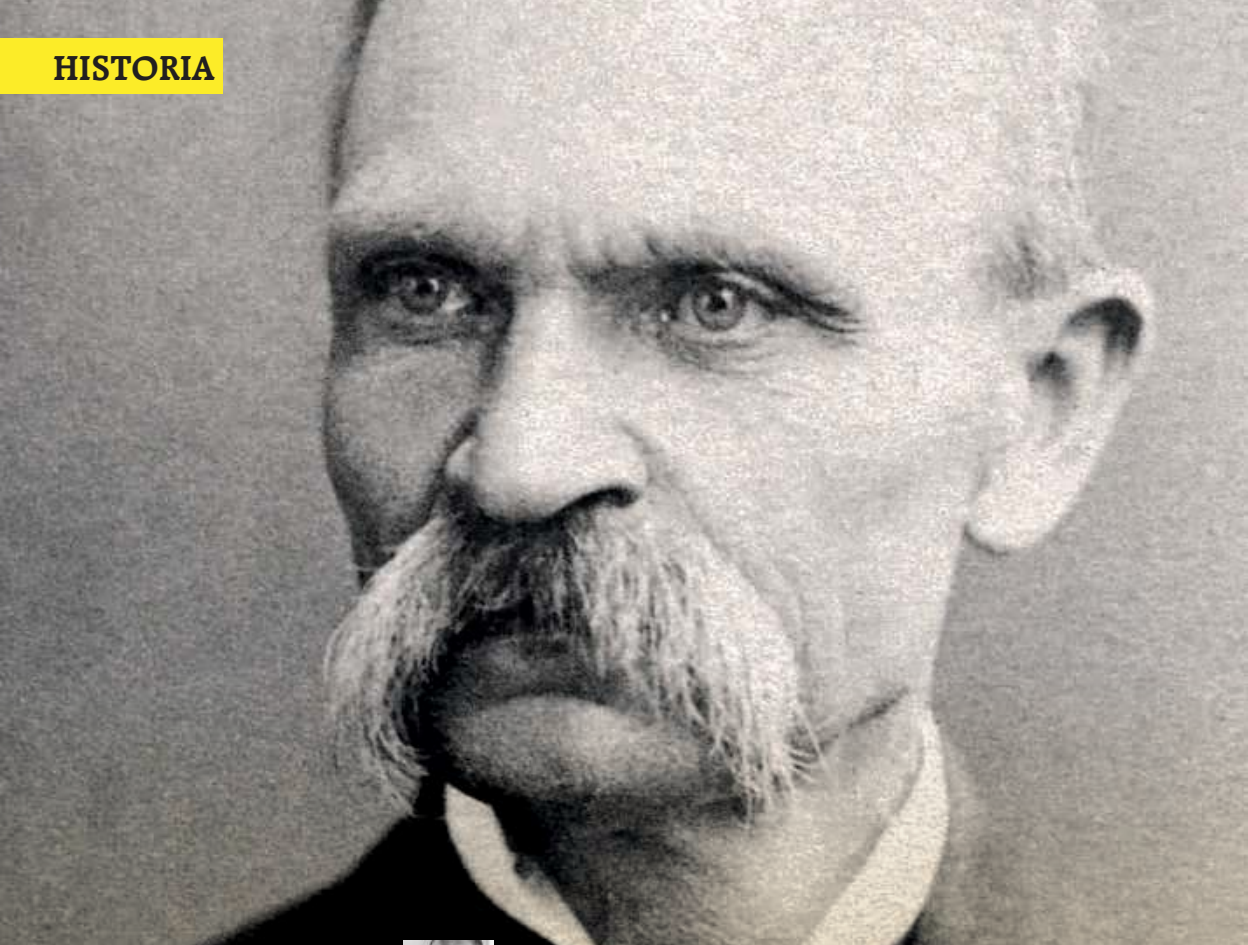
Jak pisze bloger Godziemba, przemówienie córki porucznika Grunera został w całości opublikowane jedynie w „Biuletynie Katyńskim". W wyniku interwencji kancelarii prezydenta Wałęsy z relacji telewizyjnej „wycięto" przemówienie pani dr Gruner. W 2013 roku przemawiała: „Dalej wiedza o Katyniu jest w Polsce najmniejsza wśród wszystkich państw ościennych. We wszystkich krajach budują pomniki, robią pokazy. Poziom wiedzy na ten temat w Polsce jest żenujący".

Gdy w gmachu Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie zawisła tablica upamiętniająca Juliana Grunera, Jolanta Turlińska-Kępys, ówczesna prezes Stowarzyszenia Katyń, mówiła o swojej poprzedniczce Ewie Gruner-Żarnoch: „Był rok 1957. Mury tej uczelni opuszcza z dyplomem lekarza młodziutka Ewa. Poszła w ślady swojego ukochanego taty, lekarza, Juliana Grunera. W tej uczelni zrobiła dwie specjalizacje i doktorat. Przez całe dorosłe życie z ogromną determinacją szukała prawdy o swoim ojcu i wielu tysiącach Polaków, którzy zginęli w zbrodni katyńskiej. Powtarzała: jestem to im i ojcu winna. Ileż trzeba było determinacji, hartu ducha, siły woli, ale i profesjonalizmu, żeby dwukrotnie, w roku 1995 i w 1996, stanąć w lesie charkowskim nad mogiłami tych, których dzieci bezskutecznie poszukiwały. Ewa Gruner-Żarnoch po tych ekshumacjach już wiedziała, gdzie zginął jej ojciec i tysiące Polaków".

„Pierwsze zwycięstwo polskiego lekkoatlety na Zachodzie" – informował „Stadjon" w 1925 roku, po tym jak Gruner tryumfował w Paryżu.

Imię Juliana Grunera nosi szkoła podstawowa w Świerznie. 15 kwietnia 2018 roku z inicjatywy szczecińskiego Oddziału IPN oraz Stowarzyszenia Kultury Fizycznej Biomaszyna odbyła się pierwsza edycja biegu „Memoriał Juliana Grunera – Bukołaz 12 K BIATHLON". W ramach tej imprezy odbył się również bieg dla najmłodszych „Mały Julek RUN 300M/600M". Impreza miała na celu upowszechnienie wiedzy na temat niezwykłej historii Juliana Grunera. ■

eprasa.pl 9476ad31f3



Jakub Maciejewski



Co trzeba robić w czasach bez prawdziwego państwa?

Chyba trudno znaleźć w dziejach polskiej polityki działacza, który potrafiłby działać w tak ekstremalnych warunkach jak Zygmunt Miłkowski. Patriotyzm pchnął go i do powstania styczniowego, do którego ruszył na czele oddziału z Turcji, i do pracy u podstaw, tajnych misji, pracy organizacyjnej, finansowej, a nawet literackiej. Zostawił po sobie ideę „obrony czynnej", czyli poradnik, jak walczyć o Polskę, nawet gdy nie ma państwa.

Z pochodzenia, z wychowania, a nawet z wyglądu był po prostu polskim szlachcicem. Jego rodzinny dworek w Saracei nad Dniestrem stoi do dziś – w rosyjskim Naddniestrzu w Mołdawii – choć pobielone ściany pamiętają bardziej komunistyczną młodzieżówkę, która od lat 30. prowadziła tam swoje obozy, niż ród Miłkowskich, który był lokalną elitą, pracującą nad modernizacją okolicy. Zygmunt Fortunat Miłkowski wychowywał się w rodzinie, która prowadziła stateczne ziemiańskie życie, jednak pełne technologicznego i organizacyjnego nowinkarstwa – sprowadzali do swojego gospodarstwa i maszyny, i nowe techniki siewu, zaś wieczorami czy w dni wolne od pracy dom zamieniał się w oazę gawęd i opowieści z przeszłości. Dworek w Saracei odwiedzał czasami jeden z najciekawszych magnatów epoki – Wacław Rzewuski, ekscentryk, podróżnik i pamiętnikarz, którego opowieści ze świata wzbogacały wyobraźnię Zygmunta Fortunata.

Szlachta wokół Saracei pełniła swoje zobowiązania włościańskie, ale do pańszczyzny miała niestereotypowy stosunek. „Wuj Jan pańszczyzny nie wymagał i pańszczyzna de facto w Saracei ustała" – wspominał po latach Miłkowski. Dodawał nawet, że miejscowa szlachta poprzez wydawanie dokumentów pomagała zbiegłym chłopom uciec poza Rosję, co nie było trudne, zważywszy że mieszkali wszyscy nad Dniestrem graniczącym wówczas z podległą Imperium Osmańskiemu Mołdawią. „Paszporty tego rodzaju wydawał nie tylko poddanym saracejskim. Udzielał je każdemu, kto się do niego zgłosił, dopuszczając się w ten sposób przewidzianego kodeksem występku, który pociągał za sobą karę pieniężną, zwaną »sztrafem«. Sztrafy się posypały i obarczały majątek długiem skarbowym, a dług ów wciąż narastający, w połączeniu z wynikającemi ze złego gospodarowania niedoborami, urabiał stan interesów opłakany. Nie martwiło go to zgoła, pomimo że o tem wiedział. Swoje robił" – relacjonuje pisarz. W tej historii krzyżowały się wszystkie ważniejsze wady i zalety narodowe – romantyczna szlachetność z trwonieniem dóbr, wrażliwość społeczna z krótkowzrocznością. Ale też ta pomoc dla chłopów miała wymiar nie tylko społeczny, „klasowy", lecz także narodowy – Miłkowscy wszak nie szanowali władzy carskiej, więc pomoc zbiegom miała też wydźwięk patriotyczny. Wszystko to zaowocuje w dalszym życiu Miłkowskiego politycznymi wnioskami.

Brawurowy życiorys

Miłkowski szedł edukacyjnym szlakiem kresowej szlachty, ucząc się najpierw w Odessie, a następnie na uniwersytecie w Kijowie, który wówczas pobrzmiewał powszechnie językiem polskim. Rok 1848 przerwał jego naukę, rozpoczynając nowe, awanturnicze życie, pełne pisarskich dzieł, bitew i tajnych misji niepodległościowych. Walczył z Austriakami w Wiośnie Ludów, potem działał jako demokrata na emigracji w Anglii, spiskował w całej Francji, organizując Polaków na obczyźnie, dalej przedostał się na ziemie ukraińskie, tworząc siatkę konspiracyjną. Wreszcie w latach 50. XIX wieku osiadł w północno-wschodniej Rumunii, która była krajem względnie suwerennym, za to bliskim jego rodzinnym ziemiom, stąd też słał listy, depesze i artykuły, pobudzając do życia nowe pokolenie niepodległościowo nastawionych Polaków.

W Rumuni przyszło mu stoczyć najdziwniejszą bitwę powstania styczniowego. Zebrawszy w Turcji oddział polski, ruszył na północ, by dołączyć do walk, ale musiał wraz z wojskiem przemierzyć ziemie rumuńskie. Pod naciskiem obcych mocarstw Bukareszt wysłał swoich żołnierzy, by zatrzymali Polaków, i tak odbyła się w 1863 roku bitwa pod Constangalią, w której żadna ze stron nie chciała walczyć i uczynić krzywdy drugiej. Oddziały Miłkowskiego okazały się lepsze w walce, ale nie mogły iść dalej na północ – za bardzo uwikłałyby się w walkę z Rumunami, więc powstańcy ostatecznie zawrócili do Turcji.

Miłkowski udał się znowu na emigrację, będąc w Serbii, Szwajcarii, Turcji, Belgii i wszędzie tam, gdzie można było angażować się wydawniczo i finansowo na rzecz ruchu niepodległościowego. Wtedy dopiero rozpisał się na dobre jako autor powieści wydający kolejne książki pod pseudonimem Tomasz Teodor Jeż. Pisał głównie książki historyczne, dydaktyczne, oparte na źródłach, podobne stylem do Józefa Ignacego Kraszewskiego, choć częściej opowiadające o Bałkanach czy o dalekim średniowieczu. Był wówczas popularnym autorem, aktywnym działaczem politycznym, doświadczonym żołnierzem i organizatorem. Z tych wszystkich przeżyć, rozmów, spotkań i studiów zrodziła się potrzeba stworzenia nowego stylu politycznej aktywności. Skoro zawiodły powstania, skoro konspiracja nie udźwignęła naporu zaborców i zawieruchy rewolucyjne też nie przyniosły wolności, należało znaleźć nową formułę. Miłkowski nazwał ją „obroną czynną", której jednym z narzędzi miał być „skarb narodowy".

Jak się bronić przed zaborcą?

Zatem pisarz i publicysta z jednej strony oraz żołnierz i konspiracyjny działacz polityczny z drugiej, nakreślił plan działania dla Polaków na trudne czasy. Najpierw nakreślił diagnozę narodowego

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 9476ad31f3

dramatu. „Po upadku powstania r. 1863 naród nasz upadł na duchu. Stan podobny opanował społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, skutkiem zawodu w nadziejach, rozbudzonych klęskami, jakie na państwo spadły, wykazując wadliwość przestarzałego ustroju onego i potrzebę usunięcia przyczyn, czyniących carat ustawicznie nad ludzkością [...] podniesionym biczem bożym". Ogólna konkluzja literata pasuje do wielu momentów naszej historii, także do roku 2024: „niepowodzenia polityczne [...] wywierają na umysły na moralność narodów wpływ przygnębiający". Autor znał to przygnębienie i widział, jak dalekosiężnie niesie skutki. Jego zdaniem nieprzepracowane klęski po prostu zmieniały mentalność społeczną, w polskim przypadku grożąc sytuacją akceptacji roli niewolnika. Niczym psychoterapeuta z późniejszych czasów, Miłkowski brał polski naród na kozetkę i uważnie omawiał stan psychiczny. „Apatya jest rodzajem choroby umysłowej, bardzo niebezpiecznej, będąc bowiem przedsionkiem zwątpienia o słuszności sprawy, której się służyło, dla której się pracowało i poświęcało, prowadzi do opuszczenia rąk, przywykania do niewoli i zatruwania charakteru narodowego jadem, zmieniającym chemicznie obronę wszelaką na ucieczkę tchórzliwą, nadzianą wybiegami, osłaniającemi przed zsyłką, katorgą czy szubienicą" – pisał. Autor „Obrony czynnej" nakreślił też, czym jest „obrona bierna", bo tak nazwał reakcję polskich elit na ucisk zaborców z końca XIX wieku. Jego zdaniem polskie elity się właściwie poddały – działały w obrębie tego, na co pozwalał zaborca. Co najwyżej starano się zachowywać polskość w warunkach podyktowanych przez mocarstwa – jeśli dawano godzinę języka polskiego po lekcjach, wysyłano dziecko na tę jedną godzinę, jeśli w prasie lokalnej można było używać ojczystego, to używano go starannie, jeśli wolno było modlić się za Mickiewicza na niedzielnej mszy – to za niego taką mszę zamawiano. I tyle. Dla Miłkowskiego był to eskapizm, rezygnacja z wielopłaszczyznowej aktywności, nie tyle powstania, ile też konspiracji, działalności wydawniczej, tajnych kompletów, organizowania struktur. Tak konstatował szlachecki polityk: „Skoro się Polacy na tępienie sami oddają – czemuż ich nie tępić? Oddają się i zarazem w sposób insynuacyjny błagają o pozostawienie im tylko języka i wiary, to znaczy: o niedobijanie ich do reszty – do tej reszty, w której tlą iskry, zdolne przy okazyi zdarzonej w ognisko rozgorzeć".

Po przegranym powstaniu to słabość i bierność Polaków wytworzyła społeczną próżnię, w którą wchodzili urzędnicy Petersburga, Wiednia i Berlina. „We wszystkich trzech zaborach przerabianie Polaków na to czem nie są i czem być nie mogą, na szeroką odbywa się skalę. Moskwa i Prusy czynią to brutalnie. Austrya ku temuż celowi podąża drogą łagodności względnej, w następstwach swoich nie mniej niż brutalność szkodliwej". Nie pierwszy raz zawiodły polskie elity, zaś w XIX wieku były one pierwsze w kolejce do kolaboracji z wrogiem. I słabość narodowa Polaków była dla Miłkowskiego widoczna, a bierność – wszechobecna: „Dzieje się to nie pomimo, ale z powodu trzymania się przez sfery inteligentne w Polsce obrony biernej".

Pisarz tak streszczał postawę, którą sam nazwał „obroną bierną": „Jak się obrona bierna wyrazić może? – czy nie inaczej, jak rezygnacją milczącą, powolną, ostrożną wobec podejrzeń, posądzeń i wymóg policyjnych coraz się zwiększających i coraz to bardziej natarczywych, doprowadzających rezygnacyę do granicy, po której przestąpieniu zmienią się z konieczności rzeczy na renegacyę?". Zatem nie tylko samą zdradę potępiał Miłkowski, lecz także patriotyzm minimalistyczny. I zalecał postawę o wiele mocniejszą i bardziej aktywną.

Czyli obrona czynna

Porównywał on sytuację rozebranego narodu do oblężonej twierdzy, która musi się bronić także przez atak: „Warownia oblegana, bez otaczania się szyldwachami, odpierania ataków wycieczkami, burzenia przykopów, odpowiadania na podkopy podkopami, jest obrazem obrony biernej, liczącej na wspaniałomyślność, na litość nieprzyjaciela, na wypadek wreszcie" – pisał i nazywał taką bierność „lękliwą i nierozumną".

Obrona czynna więc była rozpisana na wszystkich płaszczyznach życia społecznego, była osobną formacją patriotyczną, planem samorozwoju dla wywalczenia niepodległej Polski. Nie oznaczała powstania, ale nie wyrzekała się go. „Zarzekają się powstań niepoczytalni ludzie" – zaznaczał Miłkowski, rozumując, że w odpowiednich okolicznościach będzie trzeba chwycić i za broń. Najmniejszą obroną czynną, ale dobrą „na początek", było przeciwdziałanie zepsuciu. Zaborcy bowiem na ziemiach polskich prowadzili politykę rozpijania społeczeństwa.

„Narzucają się przede wszystkiem dwa monopole, wódczany i tytuniowy, z których rząd ogromne ciągnie dochody. Czy nie od nas ograniczenie dochodów tych w części znacznej zależy? Włosi w czasie swoim do rozpaczy Austryę przyprowadzali powstrzymywaniem się od palenia tytoniu". Czyli walka ekonomiczna i bojkot konsumpcyjny nie zostały wynalezione wraz z bezczelnością sieci sklepów

eprasa.pl 9476ad31f3

IKEA, która chciała wycofać swoje reklamy z Telewizji Republika – te odgórne metody socjotechniki powinny znajdować odpór właśnie w bojkocie niektórych towarów lub marek. Miłkowski zachęcał – jak się da gdzieś usunąć rusyfikatorskiego urzędnika, trzeba próbować, jak można utrącić zaborczą gazetę – nie należy marnować okazji i w ogóle okazji trzeba wyszukiwać. „[...] »intrygujmy«, wypatrując tu, tam, ówdzie, wszędzie tych furtek, dziś tajemniczych i zagadkowych, przez które nie dziś, to jutro, to później kiedyś, przy okolicznościach sprzyjających wyprowadzić się sprawa polska w znaczeniu sprzymierzeńczym przeciwników nieprzyjaciół naszych da. Tym ostatnim płaćmy z grubym procentem pięknem za nadobne. Prześladowcom naszym szkodźmy, jak oni szkodzą nam – nie wierząc im, jak oni nam nie wierzą. Uzbrajajmy sprawę polską od stóp do głowy i na cel ten gromadźmy środki doniosłe".

jął ją Roman Dmowski i przebudował na Ligę Narodową, rozwijając konkretny program polityczny i wchodząc w konfrontacje polityczne z socjalistami czy konserwatystami. Jednak cała myśl Miłkowskiego była dla „eNDeków" inspiracją, bo z jednej strony porzucała bierność, ale nie pchała bezpośrednio do czynów zbrojnych – jak chcieli socjaliści. Zresztą – choć Dmowski pozbawił Miłkowskiego przywództwa w Lidze Polskiej – on sam uznawał, że działalność Ligi Narodowej jest zgodna z jego postulatami. Tutaj ciekawe było powołanie do życia określenia „wszechpolak". Obroną bierną bowiem było uznawanie, że Polacy to ci, którzy zamieszkują ziemie Królestwa Polskiego (zabór rosyjski), zaś Galicja czy Wielkopolska to już ziemie właściwie niemieckie i austriackie. Dlatego też Liga Narodowa w swojej polityce zaczęła używać pojęcia „WszechPolaków", co oznaczało po

Pisarz i publicysta z jednej strony oraz żołnierz i konspiracyjny działacz polityczny z drugiej, nakreślił plan działania dla Polaków na trudne czasy.

Tu pisarz przechodzi do największego konkretu spośród swoich propozycji – utworzenia czegoś na wzór „emigracyjnego skarbu państwa", polskiego budżetu. Miłkowski nazwał to „Skarbem narodowym" i faktycznie zbierał środki z dobrowolnego opodatkowania swoich zwolenników. W chwili gdy wydanie „Rzeczy o obronie czynnej" ukazało się drukiem (1887 rok), „Skarb narodowy" zebrał już 300 tys. franków szwajcarskich, co było kwotą rzędu kilku milionów złotych – zebranych tylko ze składek będących pod zaborami Polaków! Częściowo ten majątek był też ufundowany przez bogaczy z emigracji, jednak Miłkowski dbał, by poszerzać bazę wpłacających, bo w ten sposób – jak wierzył – inicjował większe zaangażowanie Polaków. Pieniądze szły na druk prasy podziemnej, na podróże emisariuszy i wspieranie poszkodowanych przez reżimy zaborców. Więcej działaczy miało odwagę sprzeciwiać się bezprawiu władzy, jeśli wiedzieli, że w razie utraty pracy patriotyczne zaplecze nie da im zginąć.

Dziedzictwo pokolenia rozbiorów

Tu jednak trzeba podkreślić, że sama organizacja Zygmunta Miłkowskiego – Liga Polska – nie poszła po jego myśli. Dość szybko po założeniu przeprostu Polaka jako reprezentanta narodu ze wszystkich trzech zaborów. To właśnie była obrona czynna – przekroczenie obszaru działalności, na który pozwalały władze.

Jako że nasz kraj nieraz znikał z powierzchni mapy lub tracił suwerenność, te metody „obrony czynnej" były wykorzystywane wiele razy. Przecież w czasie niemiecko-sowieckiej okupacji Polacy robili więcej, niż pozwalali im wrogowie – od tajnych kompletów przez druki propagandowe, sabotaże i dywersje, Polskie Państwo Podziemne stworzyło wielki mechanizm „obrony czynnej". Również w PRL mieliśmy do czynienia z obroną bierną i czynną. Ta pierwsza to potulna działalność niektórych środowisk katolickich, które niby to zasiadały w sejmie czy miały swoje wydawnictwa, ale nie wyraziły sprzeciwu wobec zbrodni władzy, a wręcz pomagały psuć wiernych poparciem dla „księży patriotów" czy innych manipulacji komunistów. Ale oprócz tego istniała obrona czynna – od Żołnierzy Wyklętych przez Komitet Obrony Robotników i inne ruchy demokratyczne po Solidarność i jej podziemne kontynuacje. Robić więcej niż władza pozwala! Czyż nie dzieje się to i teraz, gdy ekipa Tuska próbuje nam narzucić swoje standardy? ■

eprasa.pl 9476ad31f3



Agnieszka Kowalczyk

Niezłomne kobiety gór



Swoją podziemną działalność po wielokroć okupowały więzieniami i ciężkimi przesłuchaniami – w piwnicach zakopiańskiej willi Palace, na Montelupich w Krakowie czy w katowniach Tarnowa. Wiele z nich cierpiało w niemieckich obozach zagłady w Auschwitz-Birkenau albo w Ravensbrück, a po wojnie było prześladowanych przez władze komunistyczne. Książka Agaty Puścikowskiej „Waleczne z gór" jest hołdem złożonym tym właśnie kobietom, które nosiły w sercu Polskę i o nią walczyły.

FOT. NAC

Niezwykłe, a dotąd prawie zupełnie nieznane historie polskich góralek – Jadwigi Apostoł, Katarzyny Filipek, Heleny Błażusiak, Józefy Machay-Mikowej, Genowefy Kroczek, Antoniny Tatar i wielu innych mieszkanek Podhala, Gorców, Beskidów, Spisza i Orawy – odkrywa współczesna dziennikarka i reportażystka Agata Puścikowska w swojej książce „Waleczne z gór" (2021). W związku z tym, że o wojennych losach jej bohaterek wiedzę posiadają zwykle tylko członkowie rodzin i lokalna społeczność, autorka publikacji próbuje nawiązać kontakt z dziećmi i wnukami tych niezłomnych kobiet. Wysłuchuje ich opowieści, zagłębia się w dokumenty archiwalne i zapiski wspomnieniowe, by po latach zapomnienia mogła usłyszeć o nich cała Polska. „Wybuch wojny na terenach górskich […] – pisze Agata Puścikowska – był dla nich osobistym dramatem, sytuacją ekstremalnie trudną, bolesną. […] Stawały do walki z Niemcami, ale i – ku rozpaczy wielu – z polskimi kolaborantami, zdrajcami, którymi często okazywali się dawni współpracownicy czy przyjaciele rodziny […]. Wiedziały, że jako kobiety ryzykują, prócz utraty życia, również utratę godności – gwałty, tortury w czasie przesłuchań. Mimo to postawiły wszystko na jedną kartę: walkę o Polskę, obronę góralskiego honoru".

Nieugięta z katowni Palace

Helena Błażusiak, zaprzysiężona żołnierka akowskiego podziemia o pseudonimie „Lena", miała osiemnaście lat, gdy 25 września 1944 roku dostała się w ręce Niemców. W wyniku donosu dopadli ją w schronisku na Lubaniu, gdzie swoją kryjówkę mieli partyzanci zagrożeni aresztowaniem po wybuchu powstania szczawnickiego, podczas którego zabitych zostało kilku Niemców. W związku z tym, że w sąsiednich miejscowościach w zasadzie nie podjęto walki powstańczej, osamotnieni szczawniczanie, nie chcąc dopuścić do pacyfikacji swojej miejscowości, zmuszeni byli przerwać akcję zbrojną i schronić się w pobliskich lasach. Była wśród nich cała rodzina Błażusiaków, w tym i zaangażowana w działania konspiracyjne Helena. Pojmana w obławie szła teraz pod zbrojną eskortą, a za jej plecami płonęło podpalone przez Niemców schronisko.

Doprowadzono ją do willi pani Kozickiej w Czorsztynie i tam przesłuchano, po czym postawiono pod murem z zamiarem rozstrzelania. Strzał jednak nie padł… Niemcy darowali jej życie, gotując jednak nie mniej okrutny los. Helenę przewieziono do zakopiańskiego hotelu Palace, który już we wrześniu 1939 roku przekształcony został w komisariat gestapo, zyskując miano największej „katowni Podhala". Zamordowano

76ad31f3

w niej setki ludzi, a torturom poddano co najmniej cztery tysiące. Miejsce to napawało grozą. Ci, którzy je poznali, mówili, że „tam nawet ściany płakały". Dla Heleny Błażusiak „już od pierwszego dnia zaczęła się gehenna przesłuchania, bicia, wieszania na drzwiach". Wtedy też wybito jej zęby. Więziona i katowana przez siedem długich tygodni nikogo nie wydała. Wybitym przez Niemców zębem wyryła na ścianie swej celi słowa wiersza-modlitwy, będącego niezwykłym świadectwem cierpienia, ale i nieugiętości:

Mamo, nie płacz, nie.
Niebios Przeczysta Królowo,
Ty zawsze wspieraj mnie. Zdrowaś Mario, Łaskiś Pełna
Zakopane Palace, cela nr 3, ściana nr 3. Błażusiakówna Helena Wanda, lat 18, siedzi od 25 września 44.

W tych najmroczniejszych dniach myślami była pewnie przy swej rodzinie – braciach Franciszku, Józefie i Michale, najmłodszej siostrze Jance, przy mamie Zofii i ojcu Stanisławie – mistrzu kowalstwa, który po wybuchu wojny wstąpił do konspiracji, działając w nowotarskim obwodzie ZWZ-AK pod pseudonimem „Pik". Był zaprzysiężonym przewodnikiem komórki Służby Zwycięstwu Polski w Szczawnicy, a dla Heleny – wielkim autorytetem. O niej zaś w konspiracyjnym środowisku mówiono nie inaczej jak „córka Pika" – bo była do ojca bardzo podobna – „powściągliwa, a przy tym odważna i dyskretna. Nieustępliwa i nastawiona na działanie. Stanowcza". Podobnie jak jej starszy brat pomagała uciekinierom pragnącym przedostać się przez Słowację na Węgry. Zaprzysiężona w lutym 1944 roku przez komendanta placówki ZWZ-AK „Sieć I" Szczawnica por. dr. Adama Czartoryskiego „Szpaka", była łączniczką na trasie Szczawnica–Schronisko na Lubaniu, gdzie partyzanci mieli swój punkt kontaktowy i instruktażowy, a także szpital polowy, w którym służyła jako sanitariuszka.

Któregoś listopadowego dnia 1944 roku niespodziewanie wyprowadzono ją z celi i pod eskortą przetransportowano wraz z grupą więźniów na stację kolejową, skąd wyruszyła pociągiem w nieznanym kierunku, być może do krakowskiego więzienia na Montelupich albo też do obozu zagłady. Nagle w trakcie jazdy rozległa się głośna strzelanina. Lokomotywa zwolniła, drzwi wagonu zostały wyłamane, a przed przerażonymi więźniami otwarła się nieoczekiwanie perspektywa wolności. To leśny oddział partyzancki odbił jadących z rąk wroga. Rzucili się więc do ucieczki. Przemarznięta do szpiku kości i wyczerpana wielotygodniowym śledztwem Helena, idąc pod osłoną nocy do Nowego Targu, zdecydowała się wejść do pierwszej napotkanej chaty. Była świadoma ryzyka, ale szczęśliwie trafiła na uczciwych ludzi, którzy udzielili jej pomocy. W darowanym wiejskim stroju wsiadła nazajutrz do ciężarówki wiozącej robotników do pracy przy kopaniu rowów w Dębnie. Dzięki temu, nie budząc podejrzeń, dostała się do domu dziadków w Szczawnicy. Wkrótce jednak ciężko się rozchorowała i trzeba było przewieźć ją do szpitala w Nowym Targu, gdzie w tajemnicy poddana leczeniu doczekała końca wojny.

Akowska przeszłość nie pozwoliła jej pozostać w rodzinnych stronach. W obawie przed represjami władz komunistycznych wyjechała do Wadowic. Ukończyła tam technikum ekonomiczne, podjęła pracę w Zakładach Mechanicznych KUM „Bumar" Łabędy i założyła rodzinę. Odtąd nazywała się Wanda Pawlik. Nowa tożsamość zatarła skutecznie związki z wojenną przeszłością i tylko nieliczni wiedzieli, że Wanda to Helena Błażusiak, cicha bohaterka wojenna, dawna więźniarka w katowni Palace. Została matką pięciorga dzieci. „Wobec nas była bardzo wymagająca, zasadnicza. Jednocześnie oddana, kochająca i opiekuńcza" – mówiła o niej najstarsza córka Bogna, podkreślając, że wychowywała ich „w duchu patriotycznym, ale o swojej walce nigdy nie opowiadała". Zawsze potrafiła się zachować jak należy. Tak było w 1980 roku, gdy wraz z koleżanką Teresą Siwiec-Cielebon, dawną działaczką konspiracyjną, zakładała w wadowickim „Bumerze" pierwszą „Solidarność" albo wtedy, gdy w czasie powodzi uratowała porwanego przez nurt wezbranej Skawy człowieka. „Wtedy Helena po prostu weszła do rzeki, rwącej i lodowatej, i wyciągnęła niedoszłego topielca. Gdy ludzie chwalili ją za odwagę i dziękowali; wzruszyła ramionami i stwierdziła, że Skawa to nie jest niebezpieczna rzeka. Niebezpieczny jest Dunajec, nad którym się przecież wychowała, to wie, jak sobie z wodą radzić".

„Muzyczna lamentacja"

Tymczasem mijały lata, a o niemieckich zbrodniach dokonywanych w Palace nie mówiło się zbyt wiele. Nie myślano też o upamiętnieniu ofiar tego przerażającego miejsca kaźni. Sytuację tę postanowił zmienić dopiero legendarny kurier tatrzański, więzień Palce, Auschwitz-Birkenau, Mauthausen-Gusen i Sachsenhausen – doktor Wincenty Galica, który w latach 70. niejednokrotnie schodził potajemnie do zbroczonych krwią podziemi Palace z myślą, by w przyszłości przekształcić ją w muzeum pamięci o zakatowanych Polakach. Podczas jednej z takich nielegalnych wizyt w dawnej katowni, którą po wojnie uczyniono sanatorium dla kombatantów, nawiedził swoją niegdysiejszą celę nr 3. Wtedy to ujrzał na ścianach wyryte napisy osadzonych, a wśród nich ten najbardziej poruszający autorstwa młodziutkiej Heleny.

eprasa.pl 9476ad31f3

Był to fragment „Ballady o Jurku Bitschanie", orlęciu lwowskim, której nauczyła się na pamięć jako młoda konspiratorka w partyzanckiej kryjówce na Lubaniu. Doktor Galica wstrząśnięty do głębi jej modlitwą-wyznaniem podzielił się swoim odkryciem z kompozytorem Henrykiem Mikołajem Góreckim, poddając mu pomysł stworzenia melodii do słów Błażusiakówny. W ten sposób zrodziła się „muzyczna lamentacja", stanowiąca część III Symfonii op. 36, zwanej „Symfonią pieśni żałosnych".

Po raz pierwszy utwór ten został publicznie wykonany przez polską sopranistkę Stefanię Woytowicz w kwietniu 1977 roku. Wtedy też za pośrednictwem zagranicznych rozgłośni radiowych świat usłyszał o Palace i cierpieniach polskich patriotów. Tymczasem doktor Galica, wbrew oporowi władz komunistycznych, nie ustawał w walce o stworzenie muzeum. Dopiero w latach 90., w piwnicach Palace rozbrzmiała muzyka Góreckiego, a dawne cele wypełniły się zdjęciami i pamiątkami po więźniach. Nie trwało to jednak długo, bo nowy właściciel budynku, przeprowadzając remont, kazał skuć i pomalować ściany piwnicy, niszcząc bezpowrotnie więzienne hieroglify – znaki męczeństwa i chwały przetrzymywanych tu ofiar. „Dla ojca był to cios. Ale był to i cios dla całej naszej historii. To było podeptanie pamięci ludzi, którzy w Palace oddali zdrowie, młodość, a często i życie za ojczyznę" – mówi jego córka i kontynuatorka dzieła doktor Lucyna Galica-Jurecka, przewodnicząca Stowarzyszenia Muzeum Walki i Męczeństwa „Palace" – Katownia Podhala. To dzięki ludziom takim jak ona trwa wciąż pamięć o tym miejscu przeistaczającym się w przestrzeń muzealną – Palace – filię Muzeum Tatrzańskiego im. Tytusa Chałubińskiego.

▶ „Królowa Orawy"

„5 marca 1920 roku. […] Oto moja cela na 5 kroków długa, a na 3 szeroka, a meble w niej to dwie rzeczy podobne do łóżek (na jednej z nich śni się słodkie sny o wolności) […]. Gdybym umiała płakać, pewnie bym gorzkie łzy lała nad losem moim, ale serce twarde jak skała, a głowa dźwiga się do góry i słyszę jakiś głos: »Cierp! To jest za grzech twoich praojców, za grzech Matki twojej, że ciebie Polką zrodziła i że nią jesteś«. Na ten głos uspokajam się i wszystkie cierpienia są mi słodkimi, bo to za Polskę". To słowa Józefy Machay – góralki urodzonej w Jabłonce na Orawie, która w momencie odzyskiwania przez Polskę niepodległości stała się wielką orędowniczką polskości w swych rodzinnych stronach i jedną z najaktywniejszych działaczek na rzecz przyłączenia Orawy do odradzającej się Rzeczypospolitej. Jej propolska działalność i zaangażowanie w organizację plebiscytu spowodowały, że aż czterokrotnie była internowana przez władze czechosłowackie. Za swe zasługi dla ojczyzny została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1924) oraz Krzyżem Niepodległości (1937).

Swe prawdziwe szczęście odnalazła w małżeństwie z Emilem Miką, kierownikiem szkoły powszechnej w Lipnicy Wielkiej, utalentowanym muzykiem przyswajającym polskiej kulturze ludowe pieśni orawskie. Dzieliła artystyczne pasje męża, tworząc własne sztuki teatralne oparte na miejscowym folklorze („Skubarki. Obrazek z życia ludu orawskiego" i „Orawski pochód weselny") i zakładając wraz z nim zespół regionalny Orawiacy. Dzięki ich wspólnym przedsięwzięciom życie w Lipnicy Wielkiej nabrało nowego wymiaru – doprowadzili do powstania orkiestry dętej, chóru, biblioteki, kółka teatralnego, straży pożarnej, koła Towarzystwa Szkół Ludowych, a nawet Wielkiego Domu Ludowego. Otwarta na problemy tutejszej ludności, spełniająca się w roli wędrującej od wsi do wsi akuszerki, udzielająca porad zdrowotnych i prawnych Józefa, nazwana została „królową Orawy".

Tuż przed wybuchem II wojny światowej przeszła w Zakopanem przeszkolenie bojowe, a nie mogąc wrócić do Lipnicy Wielkiej zajętej przez słowackich faszystów, postanowiła przedostać się do Krakowa. Przed niemieckim pościgiem uciekała w przebraniu, myląc psy tropiące rzucaną po drodze ostrą papryką. Gdy znalazła schronienie na salwatorskiej plebanii swego brata księdza Ferdynanda, od razu przystąpiła do pracy konspiracyjnej w Okręgowym Sztabie Tajnej Organizacji Wojskowej. Przyjąwszy pseudonim „Ryś", zaczęła działać jako szef łączności sztabu okręgu i oficer płatnik. „Przy swoich dwóch funkcjach pełniła i trzecią – opowiada Czesław Hakke. – Mianowicie w jej ręku skupiały się wszystkie nici działalności TOW, łącznie z kontaktami z Warszawą, jak i Budapesztem, znała osobiście wszystkich członków Sztabu Okręgu, przez nią przechodziły wszystkie rozkazy z Warszawy, znane jej były dane osobowe z terenu Komend Powiatowych TOW". Stworzona przez nią sieć łączności działała bez zarzutu. Jednocześnie niosła pomoc ofiarom wojny, działając w Caritasie i Polskim Czerwonym Krzyżu.

▶ „Trzeba rozpalić serce jak pochodnię"

Świat Józefy zachwiał się w posadach w maju 1941 roku, gdy pewnej feralnej nocy na plebanię wtargnęli Niemcy, zabierając ją wraz z mężem. Emil został wysłany do Auschwitz, a ona – poddana brutalnym przesłuchaniom w Krakowie, najpierw na Pomorskiej, a potem na Montelupich. Tortury i upokorzenia znosiła z godnością, paraliżując katów swym przenikliwym wzrokiem. Była

eprasa.pl 9476ad31f3

dzielna, gdy gestapowcy kazali jej stać długie godziny z podniesionymi do góry rękoma, gdy na wiele dni zamykali ją bez jedzenia i picia w ciemnej izolatce lub gdy zamiast wody dawali jej kwaśno-słony płyn, by wzmóc pragnienie. Po dwunastu dniach katuszy znoszonych w samotności została przeniesiona do dużej celi pełnej kobiet, która stanowiła niegdyś więzienną kaplicę.

Wewnętrzny spokój i pełna godności postawa Józefy sprawiły, że stała się niekwestionowanym autorytetem dla współtowarzyszek niedoli. Przewodniczyła więziennym modlitwom i nabożeństwom. „W niedzielę, koło godziny dziewiątej, czytano mszę świętą. Proboszczem była pani Mikowa, organistą Margola Tomandl. Po mszy śpiewano do południa pieśni religijne". Odmawiano też razem kojący dla wszystkich różaniec.

Na Montelupich Józefa przeżyła prawdziwy wstrząs psychiczny, gdy okazało się, że w tej samej celi przebywa kobieta, która ją wydała. Nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, pewnej nocy uklękła ona przy łóżku Mikowej i wyznała, że chcąc ratować brata, zdradziła Niemcom tylko jedno nazwisko, wybierając Józefę jako tę najbardziej niezłomną. I Józefa jej przebaczyła… Sama natomiast wiosną 1942 roku została przewieziona na śledztwo do osławionego Palace. Chcąc wydobyć od niej zeznania, Niemcy znów wzięli ją na męki: „Siedziała w piwnicy nago, na bardzo niskim stołeczku, przykuta do podłogi. Głodzono ją. Rozkuwano ją raz na dzień dla potrzeb fizjologicznych, poza tym wieszano ją w piwnicy za ręce wykręcone do tyłu na haku, który nieznacznie unoszono do góry tak, że wisząca zaledwie końcami palców dotykała ziemi. Ten rodzaj tortury, wyjątkowo okrutny i bolesny, powodował niejednokrotnie załamywanie więźniów. Ona wytrwała". Jeszcze większe cierpienie sprawiało jej to, gdy stawali przed nią ludzie dobrze jej znani, będący na usługach wroga, którzy przeistaczali się w katów, uczestnicząc w jej biciu, kopaniu i wieszaniu na haku.

Na słowa komendanta gestapo, który przekonywał ją, że wszelki sprzeciw jest bezsensowny, bo Polska i tak zginie, miała tylko jedną odpowiedź: „Polska jest w nas, a tej nie zwycięży niemiecki miecz, taki kruchy, taki słaby, choć ze stali". Gdy okazało się, że tortury nie przynoszą spodziewanych rezultatów, wrzucono zmaltretowaną Józefę na otwartą platformę ciężarówki i powieziono do Krakowa. Wyziębiona do granic dostała zapalenia płuc, które przeszło w zaawansowaną gruźlicę. W tej sytuacji jej przetransportowanie do obozu zagłady Auschwitz-Birkenau stało się niemożliwe. Umieszczoną na oddziale zakaźnym krakowskiego Szpitala Świętego Łazarza pilnowali ustawicznie granatowi policjanci. Jedynym pocieszeniem było to, że odwiedzali ją bracia – Karol i Ferdynand, którzy zamierzali zorganizować jej ucieczkę, lecz ona nie chciała nikogo narażać, wiedziała, że jej stan jest krytyczny. Nie zdążyli, bo niespodziewanie została zabrana znów do więzienia na Montelupich i tam skrytobójczo zamordowana przez Niemca w izolatce. Na krótko przed śmiercią rozmawiała z lekarką więzienną Janiną Kościuszkowską, która przeżywała wtedy chwile załamania. Józefa dodawała jej sił i mówiła, że „więzienie służy do tego, abyśmy wyrabiali w sobie hart, abyśmy się wewnętrznie odradzali i w cierpieniu spalali nasze winy. Trzeba rozpalić serce jak pochodnię. Musimy przetrwać. Dożyjemy wolności. Teraz trzeba gromadzić w sobie wszystko, co dobre, szlachetne, co zrodzone z prawdy i miłości, bo to budulec pod naszą przyszłość […]". Słowom tym pozostała wierna do końca.

Dusza Konfederacji Tatrzańskiej

Dom Apostołów, położony malowniczo wśród brzóz i świerków, otwierał się na Tatry, emanował rodzinnym ciepłem i stanowił swoiste centrum kultury w Nowym Targu. Jego gospodarzami byli pracowita i energiczna Magdalena oraz jej mąż Wincenty – organista i działacz ruchu ludowego. „Znał wielu słynnych ludzi, w tym artystów: Kasprowicza, Orkana – opowiada jego wnuk Stanisław. – W domu przewijali się wielcy tego świata. Gdy dziadek z nowotarskimi działaczami jechał do Krakowa, by dać koncert chórów ludowych, to mała Jadzia wręczała kwiaty Reymontowi". Jadwiga była najstarszym dzieckiem Apostołów (mieli jeszcze młodszą Stasię i syna Józefa). Odważna, trochę czupurna i zawsze uśmiechnięta, a do tego głodna wiedzy i obdarzona współczującym sercem, ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Nowym Targu. Pracę pedagogiczną rozpoczęła w szkole sióstr nazaretanek w dalekim Nowogródku. Stęskniona za Podhalem, podczas wakacji wracała w rodzinne Tatry, czerpiąc ogromną radość z włóczęgi po górach. „Napawała się pięknem szczytów i poczuciem bezpieczeństwa […]. Plecak, spodnie, kij. I w drogę. Im wyżej, tym lepiej". W tych wędrówkach towarzyszył jej serdeczny przyjaciel Augustyn Suski. Oboje uwielbiali góry i mieli wspólne marzenie, by otworzyć kiedyś w rodzinnych stronach uniwersytet ludowy. Niestety ich plany przekreślił wybuch wojny.

W czas wojennej zawieruchy dom Jadwigi przeistoczył się w ośrodek pracy konspiracyjnej i punkt przerzutowy Polaków, którzy zamierzali przedostać się przez Słowację i Węgry do Francji, gdzie formowało się wojsko polskie. „Przejście przez góry miało się stać przepustką do wolności", lecz aby przedrzeć się przez gniazdo wroga, trzeba było stworzyć świetnie działającą sieć kurierów, przewodników i łączników. Niezawodną komórką w tego rodzaju akcjach była rodzina Apostołów. Jadwiga jako pierwsza podjęła inicjatywę „popchnięcia dalej" poszukiwanego przez Niemców Jaśka z Gniezna. „Pobiegła więc do Zosi Bursy, swojej serdecznej koleżanki. Zosia była drobniutka, odważ-

eprasa.pl 9476ad31f3

na, pełna wdzięku, żyła ideą pomocy innym. U niej Jadwiga zastała jeszcze Władzię Podkanowicz, dziewczynę roztropną, doskonałą matematyczkę. Były koleżankami z klasy. Dziewczęta akurat radziły nad bratem Zosi Adamem […]. Niemcy deptali mu po piętach, więc trzeba go było ratować i przerzucić za granicę". Konspiratorki nawiązały kontakt z zaufanym przewodnikiem, uprzedziły Jaśka ukrytego na polanie i obu chłopców przeprowadziły w umówione miejsce, gdzie mieli zostać przejęci przez zaufanych ludzi. Akcja zakończyła się pomyślnie, a uciekinierzy dotarli szczęśliwie do Budapesztu!

Ten pierwszy sukces pociągnął za sobą kolejne. Rodzina Apostołów zaczęła specjalizować się w tajnym przerzucie ludzi, zapewniając im dach nad głową, posiłek, odzienie na drogę, a nawet obcą walutę, co oczywiście groziło śmiercią. Któregoś razu Jadwidze przypadło w udziale przygotowanie lotników z centralnej Polski do ciężkiej przeprawy przez góry. W wigilijny wieczór zarządziła wejście na Turbacz, co dla „trzech Budrysów" było nie lada wyzwaniem. Razem z matką uszyły dla nich ciepłą odzież i bieliznę, a na drogę wręczyły im czterysta z trudem zdobytych koron. Ku granicy wyruszyli w drugi dzień świąt. Aby uśpić czujność Niemców, córki Apostoła wzięły pod rękę „swych chłopców" i szły z nimi przez miasto, udając zakochane pary. Za nimi jechała matka Jadwigi z jej młodszym bratem, wioząc na saniach zapasy żywności. Akcja powiodła się i lotnicy przedostali się bezpiecznie na Węgry. „Od tej pełnej emocji wyprawy – opowiada Jadwiga – ktoś wciąż […] u nas mieszkał, ktoś wracał z zagranicy, komuś szyło się kapce i rękawice […]. Poza aparatem radiowym […] miałam na strychu ukrytą maszynę do pisania, na której znów na zmianę z siostrą przepisywałyśmy nocą przy świetle stajennej latarki co ciekawsze artykuły, żeby je w dzień targowy Tadeusz mógł rozesłać do kilku punktów jednocześnie".

Mimo iż niemiecki terror nasilał się z każdym dniem, Apostołowie nie zaprzestawali działalności konspiracyjnej, wręcz przeciwnie – nadali jej sformalizowany charakter. Stało się to z chwilą, gdy w maju 1941 roku powrócił z cieszyńskiego więzienia przyjaciel Jadwigi Augustyn Suski, który nazwał ich organizację Konfederacją Tatrzańską i został jej przywódcą. Jego zastępcą był Tadeusz Popek, a sekretarzem sztabu – Jadwiga, działająca pod pseudonimem „Barbara Spytkowska". Do Konfederacji należał także major Tadeusz Gött-Getyński, organizujący Dywizję Górską w Gorcach oraz porucznik Eugeniusz Iwanicki zarządzający wywiadem wojskowym. Członkowie Konfederacji, jak wyjaśnia Agata Puścikowska, „solidaryzowali się z walczącą ojczyzną, nazywali siebie żołnierzami polskimi. Niszczyli siły przeciwnika w każdy możliwy sposób. Pomagali rządowi Rzeczypospolitej w Londynie i Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych w kraju […]. Dążyli do zjednoczenia całości narodu pod hasłem walki o wolność, niepodległość i demokratyczną Rzeczpospolitą".

W wyniku działań pracującego dla Niemców szpiega Stanisława Wegnera-Romanowskiego Konfederacja Tatrzańska została rozbita, a jej członkowie aresztowani. Usilnie poszukiwaną przez gestapo Jadwigę ujęto w sierpniu 1942 roku. Niemcom nie udało się jej złamać w podziemiach Palace. Wzięta na męki nikogo nie zdradziła. Zgotowano jej więc los więźniarki obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, gdzie odnalazła swoją siostrę Stanisławę. Potem więziono ją jeszcze w Malchow niedaleko Ravensbrück. Wreszcie wraz ze Stasią udało się jej uciec z niemieckiego transportu do Lipska i w maju 1945 roku szczęśliwie powrócić do Nowego Targu.

Koniec wojny miał stać się dla niej początkiem nowego życia. Rozpoczęła pracę w bibliotece w Powiatowym Inspektoracie Oświaty i zaangażowała się w tworzenie Uniwersytetu Ludowego w Szaflarach, o czym zawsze marzyła. Jej świat zrujnowali jednak komuniści, uznając ją za wroga ludu i skazując na pięć lat pozbawienia wolności. Choć z więzienia wypuszczono ją po ogłoszonej amnestii, to zakazano pracy w szkole. Poddana inwigilacji wyjechała do Szczecina, gdzie nadal prześladowana przez ubeków podjęła pracę robotnicy budowlanej. Z czasem skończyła technikum budowalne i zdobyła wyższe stanowisko. W latach 60. została żoną urzędnika Ludwika Staniszewskiego. Próbowała swoich sił jako poetka i autorka tekstów publicystycznych pisanych gwarą góralską. Wydała też autobiograficzną książkę „Nim zbudził się dzień" (1979). Bardzo boleśnie przeżyła zburzenie przez komunistów swojego rodzinnego domu w Nowym Targu, w którego miejscu rzekomo miał stanąć hotel. Traumatyczne doświadczenia wojenne, a potem prześladowania ze strony władz komunistycznych Jadwigi jednak nie zmieniły. Zachowała swą młodzieńczą pogodę ducha, prostoduszność i wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka. „Była niezłomna, bezkompromisowa – mówi o niej bratanek Stanisław. – Niemcy nie zdołali jej złamać, komuniści również. Za bycie Polką i patriotką zemścili się więc inaczej: szerząc plotki i burząc jej dom. Chciałbym, żeby prawda o tej wyjątkowej kobiecie przetrwała. Jesteśmy jej to winni".

Podobnie jesteśmy winni ocalenia pamięci innych bohaterskich kobiet, o których przeczytać możemy w książce Agaty Puścikowskiej, a także tych, których losy nie zostały dotąd odkryte, choć zapewne żyją w pamięci ludzi gór i być może kiedyś jeszcze o nich usłyszymy. ■

Źródło: Agata Puścikowska, „Waleczne z gór. Nieznane historie bohaterskich kobiet", Kraków 2021.

eprasa.pl 9476ad31f3



Dariusz Jarosiński

Julian Tuwim
Poeta z diabelskim piętnem

Julian Tuwim miał szansę przejść do historii polskiej literatury jako jeden z największych naszych poetów, ale dał się sprowadzić do roli komunistycznego propagandysty, skończył jako jeden z największych zdrajców.

eprasa.pl

7 czerwca 1946 roku poeta Julian Tuwim powrócił do kraju. Jeszcze był na statku zmierzającym do polskiego portu, a już Krajowa Rada Narodowa odznaczyła go Orderem Odrodzenia Polski. Tak ważne wydarzenie nie mogło nie zostać zarejestrowane przez Polską Kronikę Filmową. Lektor kroniki, aktor Andrzej Łapicki, radosnym głosem informował: „Do brzegu przybija właśnie statek »Śląsk«, wiozący Juliana Tuwima. Po siedmiu latach poeta wrócił ze Stanów Zjednoczonych do kraju. Czule wita się z bliskimi. Otrzymuje naręcze kwiatów. Kwiatów polskich, o których marzył i pisał w Ameryce. Jest bardzo wzruszony. – Nie ma większego szczęścia od powrotu do kraju – to jego pierwsze słowa wypowiedziane na polskiej ziemi".

Dużo bardziej wymowne z tamtego wydarzenia w porcie jest zdjęcie powitania przez roześmianych, zadowolonych z siebie najważniejszych w państwie działaczy komunistycznych – Jerzego Borejszę (Goldberga), majora Armii Czerwonej, stalinowskiego zarządcę literatury i Jakuba Bermana, nadzorcę aparatu represji. Borejsza zdawał się mówić klepiąc po ramieniu nieco spłoszonego poetę: „Julku, jesteś nasz!". Stali niczym hycle, przyglądając się swojej ofierze, którą mieli zamiar umieścić w złotej klatce i pokazywać jako wielką zdobycz. Ofiara zresztą sama chętnie do tej klatki weszła.

„Brał, gdzie się dało, ale zawsze za mało"

Do budowania systemu sowieckiego, propagandy na rzecz komunizmu, potrzebni byli ludzie z nazwiskiem, a Tuwim to nazwisko miał. Potrzebna była nowa elita sowiecka. Tuwima nie trzeba było kusić, namawiać do wsparcia bolszewii, on już w roku 1941, po napaści Niemiec na ZSRS, opowiedział się po stronie Sowietów przeciwko niepodległej Polsce, poszedł na współpracę z agenturą bolszewicką. Nawet wiadomość o bezprecedensowej zbrodni dokonanej przez bolszewików na polskich oficerach w Katyniu nie powstrzymała go przed zdradą. Zerwał też wieloletnią przyjaźń z przyjaciółmi Skamandrytami, Janem Lechoniem, Kazimierzem Wierzyńskim oraz redaktorem Mieczysławem Grydzewskim, Marianem Hemarem, którym tak wiele zawdzięczał, a zawierzył sowieckim agentom wywiadu KGB, m.in. Bolesławowi Gebertowi ps. „Ataman", współzałożycielowi Komunistycznej Partii USA, a po wojnie peerelowskiemu dyplomacie i Oskarowi Langemu ps. „Friend". Organizowali oni poecie spotkania z czytelnikami, Polonią amerykańską, służące w gruncie rzeczy agitacji za Sowietami, za komunizmem. Tuwim za spotkania otrzymywał wynagrodzenie, mógł też znowu, jak przed wojną, poczuć się doceniony i dowartościowany – zaspokoić próżność.

Należał do najbardziej popularnych, ale też wszechstronnych poetów dwudziestolecia międzywojennego, uważany był za mistrza polskiej mowy. „Moją ojczyzną jest język polski" – pisał. Nie Polska, a polszczyzna. Jego twórczość była bardzo różnorodna: pisał wiersze dla dzieci („Lokomotywa", „Abecadło", „Rzepka", „Ptasie radio", „Słoń Trąbalski", „Zosia Samosia"), wiersze miłosne, wiersze polityczne, libretta operetkowe, wodewile, zarabiał krocie na tzw. literaturze użytkowej – pisaniu tekstów piosenek, skeczy do kabaretów. Jego teksty śpiewali najlepsi artyści. Na przykład „Miłość ci wszystko wybaczy" wykonywała Hanka Ordonówna, „Grande Valse Brillante", „Tomaszów" („A może byśmy tak najmilszy") – Ewa Demarczyk, „Wspomnienie" („Mimozami jesień się zaczyna") – Czesław Niemen, „Pomarańcze i mandarynki" – Marek Grechuta. Tuwim potrafił łączyć wysoką poetykę ze sztuką uliczną, popularną. W debiutanckim tomiku „Czyhanie na Boga" są wiersze poświęcone Chrystusowi; Chrystus był wówczas dla poety symbolem Polski, religii i etyki; „Kwiaty polskie" to poemat dygresyjny typowy dla poezji okresu romantyzmu, ale jest też autorem poematu satyrycznego „Bal w Operze" czy wiersza „Całujcie mnie wszyscy w dupę". Był jednym z najlepiej sytuowanych pisarzy dwudziestolecia. „Tuwim brał, gdzie się dało, ale zawsze za mało" – dowcipkował Marian Hemar, równie popularny jak Tuwim autor utworów kabaretowych, szopek noworocznych.

W okresie międzywojennym publicyści związani z endecją nie patrzyli życzliwie na rosnącą popularność Tuwima, który według nich był „obcy kulturowo dla Polski". Atakowali go m.in. za wiersz pacyfistyczny „Do prostego człowieka", nazywali „gudłajskim Mickiewiczem". Oskarżany był o wyuzdanie, rozpustę, deprawowanie młodzieży, pornografię. Poeta nie pozostawał jednak dłużny swoim adwersarzom, odwzajemniał się złośliwymi, a bywało że i wulgarnymi tekstami, choćby fraszką „Na pewnego endeka, co na mnie szczeka": „Próżnoś repliki się spodziewał,/ Nie dam ci prztyczka ani klapsa./ Nie powiem nawet pies cię j..ał,/ Bo to mezalians byłby dla psa".

Zbrodnia zdrady

Tuwim niewiele napisał po powrocie do kraju – kilka wierszy na zamówienie komunistycznej propagandy. Przed wojną poświęcił wiersze Józefowi Piłsudskiemu, na przykład piękny utwór „Aere Perennius", by po powrocie nazwać Komendanta w wierszu „Spotkanie w roku 1952" „legionerskim upiorem". Wychwalał za to Lenina, Stalina, sowieckiego agenta Bieruta. Zdaniem wielu publicystów Tuwim wierzył naiwnie, że dzięki Stalinowi, komunistom zniknie

FOT. NAC

eprasa.pl 9476ad31f3

w Polsce problem przedwojennego antysemityzmu, choć sam przed wojną był bardzo krytyczny wobec narodu żydowskiego, opowiadał się za konieczną asymilacją Żydów, jeżeli chcą żyć w Polsce. Żydzi uważali go za zdrajcę i grozili pobiciem.

Nic nie może usprawiedliwiać zdrady Tuwima – nawet przedwojenne ataki na niego endeckich publicystów. Tuwim był przewrażliwiony na swoim punkcie i źle znosił krytykę – ani jego, ani jego rodziny nie spotykały represje z powodu pochodzenia. Nie on jeden był pisarzem, poetą żydowskiego pochodzenia. Przedwojenną Polskę, której był beneficjentem, uznał po wojnie, a właściwie już w czasie wojny, za faszystowską. Jeszcze w Ameryce, kiedy trwała wojna, pisał, w jaki sposób należy rozprawić się z „polskimi faszystami", „wyznawcami Himmlera i Heydricha". Są to słowa haniebne. Zarażony potworną chorobą ludzkości, jaką jest ideologia komunistyczna, pisał: „Złamie im się stos pacierzowy, ukręci łby, wypruje bebechy, zmiażdży kości, ogniem tej wojny spali się ich na popiół, żeby już, gadziny, nie mogły się odrodzić i znowu płodzić". Uważał, że „faszyzm można pobić wyłącznie metodami faszystowskimi". Na nic zdały się tłumaczenia przyjaciół, na przykład Mieczysława Grydzewskiego, że „Przecież endecy giną tak samo jak inni w walce z Niemcami, przecież giną tak jak inni na polach bitew […] Czy to doprawdy nie ma żadnego znaczenia?".

Skandaliczny jest list Tuwima do Józefa Wittlina napisany już po zerwaniu przyjaźni z Janem Lechoniem i Kazimierzem Wierzyńskim, dwoma wybitnymi poetami, intelektualistami, a przede wszystkim polskimi patriotami, z którymi zaczynał swoją literacką drogę: „Czy widujesz przyjaciół – faszystów?" – pytał o Lechonia i Wierzyńskiego. „Z anielską pobłażliwością nazywasz tych ludzi »reakcjonistami« – a to są po prostu hitlerowcy, polscy hitlerowcy. (…) Piszesz mi, że w tych sferach miałem niegdyś przyjaciół. Owszem, miałem. Ale przyznasz, że w ogniu tej wojny niejedno mogło się spalić, przetopić, przemienić".

Tuwim, najdelikatniej mówiąc, nie należał do tytanów intelektu. Książek czytywał niewiele, a jeżeli już, to były to słowniki i encyklopedie dziwactw ludzkich, stąd zresztą jego fascynacja demonologią. Kazimierz Wierzyński miał kiedyś powiedzieć o autorze „Lokomotywy", że „Pan Bóg stworzył go lewą ręką", co miało znaczyć, że dał mu geniusz poetycki, ale zapomniał o reszcie, o rozumie. Nie on jeden zresztą miał takie zdanie o Tuwimie. Stefan Kisielewski przytoczył w „Abecadle" następującą historię: „O Tuwimie powiedziałbym to, co on sam powiedział o sobie w Pławowicach u Morstina [Ludwik Hieronim Morstin – redaktor, poeta, major Wojska Polskiego – przyp. D.J.]. Było tam sympozjum poetyckie i Tuwim powiedział do Morstina: »Panie hrabio, ja to mam taki talent, że mógłbym pisać wiersze jak Mickiewicz, jak Słowacki…Tylko bieda jest jedna: ja nie mam nic do powiedzenia«. Więc coś w tym jest. To był wirtuoz formy, a treść była właściwie minimalna. Ale czasem wiersze wspaniałe". Jeszcze przytoczmy oryginalną opinię o Poecie Józefa Wittlina: „Tuwim jest dowodem na to, że Bóg istnieje, że tak głupi człowiek może być tak wielkim poetą".

Zdaniem Mariana Hemara: „Julian Tuwim umarł w chwili kiedy wstąpił na statek wiozący go na bierutową służbę. Był umarły w chwili, kiedy w Gdyni witała go »radziecka czołówka artystów baletu«. Zbrodnia jego zdrady jest w tym, że po powrocie do Kraju nie napisał ani jednego wiersza dobrego, ani jednego wiersza, którego nie potrafiłby napisać byle kto, byle wierszokleta, byle sowiecki chałupnik. […] Geniusz Tuwima nie wrócił do kraju na służbę u wroga".

Diabelskie piętno

Julian Tuwim przyszedł na świat w 1894 roku w Łodzi, w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Poeta urodził się z wielką plamą na policzku, co w tamtych czasach nazywano znakiem, piętnem diabła. Jego matka, Adela Tuwimowa, uważała że Bóg ją pokarał, więc woziła syna do lekarzy, profesorów w Warszawie, w Berlinie, zielarek, wróżek, ale nie udało się „uzdrowić Julka od diabelskiego piętna". Tuwim zawsze pozował do fotografii bokiem, aby ukryć znamię. Myszka na policzku była źródłem kompleksów poety przez całe życie.

W roku 1916 wyjechał do Warszawy, gdzie studiował na uniwersytecie prawo i filozofię, ale studiów nie ukończył. W tym czasie wspólnie z Janem Lechoniem (Leszkiem Serafinowiczem) redagowali czasopismo akademickie „Pro Arte et Studio". Pierwsze wydane przez Tuwima tomiki poetyckie „Czyhanie na Boga" (1918) i „Sokrates tańczący" (1920) dowodziły nieprzeciętnego talentu poety, przyniosły mu niebywale duży sukces.

W roku 1918, na fali odzyskanej niepodległości, tęsknoty za polskim słowem, współpracownicy „Pro Arte" utworzyli grupę literacką pod nazwą Skamander. Jej członkami byli młodzi, debiutujący poeci: Jan Lechoń, Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Wierzyński i Antoni Słonimski. Grupa literacka zyskiwała rozgłos dzięki prowadzonemu przez nią kabaretowi literackiemu Pikador, który miał swoją siedzibę w kawiarni „Pod Picadorem". Szóstym skamandrytą był Mieczysław Grydzewski, redagujący najpierw miesięcznik „Skamander", a później od roku 1927, tygodnik „Wiadomości Literackie". Przy okazji warto wspomnieć, że w czasie wojny polsko-bolsze-

eprasa.pl 9476ad31f3

wickiej, w 1920 roku, Grydzewski, Lechoń i Tuwim pracowali w Biurze Prasowym Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. To dzięki tygodnikowi „Wiadomości Literackie" Skamandryci stali się najbardziej znaną i cenioną grupą literacką w Polsce.

Na miejsce codziennych spotkań upodobali sobie półpiętro kawiarni „Mała Ziemiańska" przy ulicy Mazowieckiej. Z czasem grupka poetów wyrosła na opiniotwórczą elitę, ustanawiającą hierarchię wartości, ważności w świecie literatury, zwaną złośliwie „lożą szyderców" lub „literacką mafią". Do towarzystwa Skamandrytów na pięterku dopuszczane były jedynie wyjątkowe osoby, choćby generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ułan, były adiutant Józefa Piłsudskiego, również poeta. Skamandryci brylowali na salonach, uczestniczyli w życiu publicznym, byli królami życia, dzierżyli „rząd dusz". Do Belwederu zapraszał ich sam marszałek Piłsudski.

Tuwim przed wojną nie utożsamiał się ani z tradycją polską, ani z żydowską, a bywało, że ujawniał krytycyzm wobec obu tych tradycji. W 1924 roku powiedział jednemu z dziennikarzy: „Dla antysemitów jestem Żydem i moja poezja jest żydowska. Dla żydowskich nacjonalistów jestem zdrajcą i renegatem. Trudno!". Poeta przez wiele lat nie czuł wspólnoty z narodem żydowskim, który żył w izolacji od społeczeństwa polskiego. W stosunku do swoich pobratymców używał obraźliwych określeń: „czarna hałastra chasydzka", „zbóje, łotry, szalbierze", „chytre arjożerce", „zwariowani fanatycy, opętani mściciele, ciemnota z wilgotnych piwnic". Żydzi nie mogli mu darować wiersza „Giełdziarze": „Gudłaje w drogich futrach, w jedwabnej bieliźnie,/ Wystrojone szajgece w eleganckich butach,/ Chamy, bydło spasione na własnej ojczyźnie,/ którą codziennie w obcych kupczycie walutach!".

Na początku lat 30. u Tuwima pojawiły się stany lękowe, które przerodziły się w agorafobię (lęk przed otwartą przestrzenią) tak skrajną, że całymi miesiącami poeta nie był w stanie wyjść z domu, leżał w pokoju za zasłoniętymi roletami. Cierpiał także na wrzody na dwunastnicy. Lekarze zabraniali mu pić alkohol, jednak nie stosował się do ich zaleceń. Być może były to jakieś rodzinne przypadłości – matka Tuwima, Adela, nie radziła sobie z emocjami, depresją – trafiła do szpitala psychiatrycznego w Otwocku, którego pacjentami byli tylko Żydzi. W roku 1942 w czasie likwidacji otwockiego getta Niemcy rozstrzelali też stu pacjentów szpitala, w tym matkę poety.

▶ Ślepa miłość do bolszewików

Jesienią 1939 roku Tuwim z żoną wyjechali przez Rumunię do Francji, gdzie zaopiekował się nimi Lechoń, przebywający w Paryżu od 1930 roku jako attaché kulturalny ambasady polskiej. Po upadku Francji Lechoń, Tuwim i Wierzyński udali się przez Portugalię do Brazylii. Tutaj Tuwim zaczął pisać „Kwiaty polskie".

W roku 1941 ujawniły się różnice ideowe, polityczne między Tuwimem a Lechoniem i Wierzyńskim. Tuwim związał się towarzysko i politycznie z sowieckimi agentami – Bolesławem Gebertem ps. „Ataman" i Oskarem Lange ps. „Friend" i podjął działalność w środowisku komunistycznego Stowarzyszenia „Polonia" oraz Międzynarodowego Związku Robotniczego. Gebert popierał sowiecką agresję na Polskę 17 września 1939 roku, apelował o uznanie skutków zawartego przez Związek Sowiecki i III Rzeszę paktu Ribbentrop–Mołotow. Autor „Lokomotywy" na wiecach Polonii amerykańskiej deklarował „nową, nieznaną mu dotychczas radość: żywy bezpośredni kontakt, a potem nierozerwalny związek z klasą robotniczą", przedstawiał się zebranym jako „łódzkie dziecko, z wielkiego fabrycznego miasta Łodzi". Brał udział w organizowanych przez Geberta, Langego i innych bolszewickich agentów manifestacjach przyjaźni polsko-sowieckiej; przemawiał do robotników na wielkich imprezach publicznych w Detroit, Chicago, Milwaukee. Nawiązał kontakty z prosowieckim „Głosem Ludowym" w Detroit, wysyłał hołdownicze depesze do „radzieckich działaczy kulturalnych" w Moskwie (27 listopada 1942 roku) i konsula Związku Sowieckiego w Nowym Jorku (z okazji 25-lecia Armii Czerwonej). Uległ fascynacji ideologią komunistyczną, choć przed wojną – jak twierdził Hemar – „komunizm go

Tuwim i jego żona Stefania mieli za co dziękować komunistom. Po powrocie do Polski otrzymali luksusowe mieszkanie w Warszawie przy Wiejskiej, wkrótce willę w Aninie. Komuniści zapewnili poecie służbową limuzynę z szoferem, sekretarkę, kucharkę.

eprasa.pl 9476ad31f3

mierził, przerażał chamstwem, barbarzyństwem, nadętą frazeologią, pustką myślową". Pod wpływem docierających do Ameryki wiadomości o zagładzie Żydów w Polsce napisał manifest „My, Żydzi polscy", w systemie komunistycznym dostrzegł dobrodziejstwo dla narodu żydowskiego. Popierał Polską Partię Robotniczą i Związek Patriotów Polskich – przybudówki Kremla.

Lechoń i Wierzyński widzieli w Sowietach śmiertelne zagrożenie dla Polski. Środowisko polskich emigrantów wojennych powołało do życia w Nowym Jorku, w USA, wiele instytucji, m.in.: Polski Instytut Narodowy, Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego poprzednika Kongresu Polonii Amerykańskiej, Koło Pisarzy z Polski, „Tygodnik Polski", Polski Teatr Artystów, Instytut im. Józefa Piłsudskiego. Zarówno Lechoń, jak i Wierzyński aktywnie uczestniczyli w pracach organizacji emigracyjnych, które opowiadały się za niepodległością Polski, byli bardzo krytyczni wobec działalności Tuwima.

Ostatecznie drogi Lechonia i Tuwima się rozeszły. Po odbytej 22 maja 1942 roku rozmowie telefonicznej Lechoń pisał w liście do Tuwima 29 maja m.in.: „Mój drogi! Ostatnia nasza rozmowa telefoniczna, dopełniając miary Twoich niezliczonych odezwań się pełnych ślepej miłości do bolszewików, katów i morderców narodu polskiego, przekonała mnie, że nie uda mi się dłużej oddzielać Twoich poglądów politycznych od Twojej osoby [...]. Robiłem dotąd, co można, aby zachować tę naszą tyloletnią pełną wspomnień przyjaźń i oddzielić mój głęboki niezmienny zachwyt dla Twojej poezji od najgłębszej niechęci i niesmaku, jakie budziło we mnie [...] Twoje postępowanie. [...] jeśli istnieją między Polakami różnice zdań co do polityki polsko-rosyjskiej [...] to nie ma Polaka [...], który by nie uważał, że bolszewicy postąpili wobec Polaków jak mordercy i zbrodniarze, godni swoich niedawnych sprzymierzeńców, zbójów hitlerowskich. Tylko ktoś bardzo złą wolą powodowany mógł urządzić się tak jak Ty, aby nie dowiedzieć się o tym, [...] że 2 miliony Polaków w Rosji poddane były katuszom moralnym i fizycznym, nie mniejszym tylko niezdarniej stosowanym niż te, którymi niszczą nas Niemcy [...]. Tylko prości ludzie [...] otumanieni przez propagandę sowiecką i tylko agenci bolszewiccy, mają ten stosunek do Sowietów, który Ty wyrażasz [...]. Co do mnie, to nieludzkość właśnie Twojego stosunku do bolszewickich nikczemności i spieniona nienawiść do tych, którzy brali rany za Polskę, gdyś Ty zarabiał ciężkie pieniądze, bawiąc świetnymi zresztą piosenkami »krwiopijców i wrogów ludu«, odbiera mi wszelki smak przyjaźni z Tobą [...]. Zechciej przyjąć zapewnienie mego żalu, że wbrew mej woli tak kończy się nasza wieloletnia przyjaźń". Jednak życzliwość Lechonia do Tuwima pozostała zawsze żywa. Najdobitniejszym tego dowodem są zapiski i wzmianki o nim rozsiane w „Dzienniku". Po śmierci Poety napisał, że „za sto lat będą darowane Tuwimowi adoracje Moskali, pozostaną zaś jego liczne utwory, które są arcydziełem języka i poezji".

Tuwim powoli zaczął przedkładać działalność polityczną nad uprawianie poezji – w końcu ostatecznie jako poeta zamilkł i nigdy nie skończył zaczętych w Brazylii „Kwiatów polskich".

Lechoń zajmował się wydawaniem podlegającego polskim władzom w Londynie „Tygodnika Polskiego". Na jego łamach Lechoń zdecydowanie zareagował na działalność komunistycznego agenta i agitatora Oskara Langego. Tekst pt. „Nowa Targowica" z początku 1944 roku poprzedzał list protestacyjny wystosowany przez 17 polskich profesorów, którzy wykładali na uczelniach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, przeciw Oskarowi Langemu. Pisząc na temat działalności Langego i jego politycznych towarzyszy, w tym także współpracującego z nimi Juliana Tuwima, Lechoń przyrównał ich do targowicy: „Ta zdrada nie jest szaleństwem, nie jest jakimś odosobnionym wybrykiem czy jakąś jednostkową degeneracją; jest to zdrada zorganizowana, czynna, karna, świadoma swych celów, ważąca każdy krok, raz układna, raz pełna niepojętej zbrodniczej buty; jej cel jest jasny, bo przecież otwarcie go głosi: oddanie polskiej ziemi wrogom. Nie boimy się o wpływ nowej Targowicy na naród polski, bo ludzie ci po prostu tego wpływu mieć nie mogą, jak nie może go mieć Julian Tuwim, tam, gdzie w szaleńczym zaślepieniu pychy chce stanąć w poprzek instynktowi całego męczeńskiego i bohaterskiego narodu [...]".

Jak nisko trzeba upaść?

Tuwim i jego żona Stefania mieli za co dziękować komunistom, a już w szczególności Borejszy i sowieckiemu agentowi NKWD Bolesławowi Bierutowi. Po powrocie do Polski otrzymali luksusowe mieszkanie w Warszawie przy Wiejskiej, a trzeba pamiętać, że Warszawa była wówczas morzem ruin, a wkrótce też willę w Aninie. Komuniści zapewnili również poecie służbową limuzynę z szoferem, sekretarkę, kucharkę, a po operacji wrzodów dwunastnicy, w 1949 roku, pielęgniarkę. Tuwim otrzymał też zapewnienie Jerzego Borejszy, że gazety będą drukować wszystko, co napisze. Na jego teksty czekały teatry. Miał żyć lepiej niż przed wojną. A oboje z żoną lubili żyć wygodnie – emigracyjna bieda nie odpowiada im zdecydowanie.

Tydzień po przybyciu do Warszawy przyjął Tuwima na dwugodzinnej audiencji prezydent Bierut, „towarzysz Tomasz", do którego służalcze orędzie wysłał

eprasa.pl 9476ad31f3

z Nowego Jorku. W roku 1947 poeta otrzymał stanowisko kierownika artystycznego jednego z warszawskich teatrów, które sprawował przez trzy lata. Sypały się zaszczyty, odznaczenia, nagrody państwowe – długo by można je było wymieniać. W setkach tysięcy egzemplarzy wznawiane były przedwojenne wiersze, przede wszystkim te dla dzieci, oczywiście w „Czytelniku", którym rządził przyjaciel, towarzysz Borejsza. W roku 1949 uniwersytet w Łodzi nadał mu tytuł doktora honoris causa. Trzy lata później został laureatem nagrody państwowej pierwszego stopnia.

Po powrocie do kraju Tuwimowie adoptowali dwuletnią dziewczynkę żydowskiego pochodzenia z Domu Dziecka. Ewa stała się oczkiem w głowie poety. To jej zadedykował wiersz „Do córki w Zakopanem": „Umiłuj lud sprawiedliwy, co Polskę zbudził./ A tam, kochanie, gdzie mieszkał Włodzimierz Lenin,/ Złóż kwiatek. To był przyjaciel tych prostych ludzi".

Za komunistyczne łaski Tuwim musiał płacić okropnymi wierszami, którymi przekreślał swój wcześniejszy dorobek. Spadł do roli komunistycznego propagandysty. Pisał kłamstwa o II Rzeczypospolitej, robił z siebie ofiarę „sanacyjnych pułkowników". Sławił „naród radziecki", wynosił go pod niebiosa, „Z Rewolucją, krasawicą wieczną,/ Z wiecznie żywym herosem Stalinem". O „chorążym pokoju" pisał w wierszu „Pieśń o Majakowskim": „Dzielnych żołnierzy ma i generałów/ Generalissmus Stalin:/ Zorza nie zorza, pożar nie pożar,/ Gdzie tylko płomień przewodni gorzał -/ Szturmem historię brali". Mój Boże, jak oni, bolszewicy, tę „historię brali"! Ciarki przechodzą po plecach…

Maria Dąbrowska odnotowała w „Dziennikach" (30 kwietnia 1948 roku) wizytę Tuwima w Moskwie: „Dziś w »Życiu Warszawy« opis tryumfalnego przyjęcia Tuwima w Moskwie, jako tego, »co protestował przeciwko Polsce przedwrześniowej, a w czasie wojny zagrzewał do walki z okupantem«. Jezus Maria! Ile słów, tyle łgarstw. Tuwim […] co przed wojną ściskał się z Wieniawą Długoszowskim i Nowaczyńskim i ani śniło mu się przeciw czemukolwiek protestować […] po co robić z niego bohatera? Wystarczy – że poeta".

Tuwim nie był w stanie pisać wierszy, tworzyć poezji, zajmował się tłumaczeniami. W liście do pułkownika Jacka Różańskiego (Józefa Goldberga, brata Borejszy), sadysty, kata polskich patriotów, pisał z wielką uniżonością: „Żeby ten list napisać, oderwałem się od pewnej pracy, która mnie od paru tygodni pochłania i jeszcze parę tygodni potrwa. Jest to przekład poematu Bezymieńskiego pt. »Feliks« – poematu o Dzierżyńskim. Nie tłumaczę tego utworu na niczyje zamówienie, nikt mnie o to, starego »liberała« wiadomego międzywojennego pokroju, nie prosił. Zgłosiłem się sam. A zgłosiłem się dlatego, że zacząłem tłumaczyć »Feliksa«…w roku 1938. Jak Panu dobrze wiadomo, w owym czasie w sfałszowanej, na hitlerowskim pasku trzymanej sanacyjnej Polsce, było rzeczą wykluczoną, aby płomienny pean sowieckiego poety na cześć wielkiego rewolucjonisty mógł być po polsku opublikowany". Jak trzeba nisko upaść, żeby pisać takie brednie?

W ostatnim okresie życia coraz częściej dopadały Tuwima ataki agorafobii, nie był w stanie wyjść ze swego pokoju. Pogrążał się w alkoholizmie. Zmarł dzień po Świętach Bożego Narodzenia 1953 roku w pensjonacie „Halama" w Zakopanem, gdzie wypoczywał z żoną i córką. Kilka miesięcy wcześniej zdążył jeszcze napisać pean na cześć zmarłego Stalina. Napisał go prozą.

Wyprawiono mu pogrzeb państwowy z pompą. Mowę pożegnalną wygłosił premier Józef Cyrankiewicz. Odznaczono pośmiertnie Orderem Wielkim Orderu Polonia Restituta z Wstęgą. Do trumny ustawiła się długa kolejka ludzi.

Wkrótce po śmierci Poety odebrano wdowie, Stefanii Tuwimowej, willę w Aninie. Zamieszkał tam towarzysz Piotr Jaroszewicz. Stefania Tuwimowa nie mogła jednak narzekać, bo miała luksusowe mieszkanie w Warszawie.

***

Julian Tuwim miał szansę przejść do historii polskiej literatury jako jeden z największych naszych poetów, ale dał się sprowadzić do roli komunistycznego propagandysty, skończył jako jeden z największych zdrajców. Wybrał wygodne życie na służbie bolszewii. Marian Hemar po śmierci Tuwima napisał w londyńskich „Wiadomościach": „Tuwim bał się wegetowania na uchodźstwie, gdzie dla poetów nie ma innych miejsc, prócz »honorowych«, to znaczy bezpłatnych. Londyński rząd emigracyjny nie mógł dać mu wiele, nic mu nie przyrzekał. Komitet lubelski dawał mu wszystko. Obskoczyły go prośby i błagania rodziny, naciski, pokusy i zachęty, aby wracał do Kraju, gdzie go powitają chlebem i solą, gdzie mu zamienią beznadziejność egzystencji i skąpy chleb wygnania na złote życie, gdzie mu dadzą ordery i własny teatr i pieniędzy w bród i wieniec laurowy, gdzie nikt mu Żydem w oczy nie zaświeci. Łatwo uwierzył samemu sobie, że zawsze był takim, jakim go chcą. Że zawsze kochał »Człowieka« i Stalina i nienawidził »legionerskiego upiora« i jego faszyzmu. Pogodził się z Katyniem. Nie zauważył, wśród kolegów-komunistów, byłych »oenerowców«, którzy go kiedyś antysemityzmem tak zrazili do polskiego faszyzmu. Geniusz Tuwima był bowiem niepomiernie większy, niż jego charakter". ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Ewa Polak-Pałkiewicz



BIŁGORAJ 1989
Fragment większej całości

Blokowiska z przełomu lat 60. i 70. zarasta beztrosko dzika zieleń. Dwa stare okazałe kościoły na dwóch przeciwległych krańcach miasta i mały kościół św. Jerzego – zwany tu kościółkiem – wyznaczają główne ośrodki życia miasta. Tak zwany duży kościół codziennie rano, przed ósmą, oblegany jest przez dzieci. Rzucają tornistry przed wejściem i na kwadrans, na dziesięć minut zanurzają w chłodną ciszę...



Przed wojną słynął z pięknych dziewcząt, sit i koni. Dzisiaj (w 1989 roku) trudno określić jego charakter. Biłgoraj nie wygląda na dwudziestotysięczne przemysłowe miasto. Raczej na osadę, brzydką, zaniedbaną. Ale za to jej środkiem płynie wesoła kręta rzeczka, letnimi wieczorami na głównej ulicy oszałamiająco pachną łąki, wokół szumią lasy.

Wyjazdy i powroty wyznaczają rytm życia miasta

Figura św. Jana Nepomucena, przy której za carskich czasów witano i żegnano wyjeżdżających w daleki świat sitarzy, stoi świeżo pobielona przy ulicy Zamojskiej. Rosja była wspaniałym rynkiem zbytu dla wytwórców sit. Żony zostawały przy warsztatach, mężowie ruszali w drogę. Węgrzynowie mieli Moskwę, Iwańczykowie Krym, Łazarewicze, Malawscy, Kłoskowie robili interesy na Ukrainie, Kaukazie i w Besarabii. Rynki dalekowschodnie z Japonią należały do Żydów, którzy do czasów ostatniej wojny stanowili sześćdziesiąt procent tutejszej społeczności. Za caratu działała tu tylko dwuklasowa szkoła i ci, którzy jeździli do Rosji, szybko zrozumieli, że muszą zabierać ze sobą dzieci, do szkół. Rodziny mające w swoim gronie lekarzy, księży, farmaceutów, odegrały ważną rolę w historii miasta, stworzyły tutejszą inteligencję. Przed wojną w siedmiotysięcznym Biłgoraju wydawano pięć gazet; znana z bohaterskich czynów tutejsza AK wywodziła się głównie z tego środowiska.

Dziś znów wyjazdy i powroty wyznaczają rytm życia miasta. Tak jak sto lat temu – a wyprawiano się wtedy licznie za chlebem do Ameryki. Dzisiejsze „bandochy" (emigracja zarobkowa) to głównie podróże młodych mężczyzn do niewielkiej fabryki w stanie Waszyngton; tutejsi znaleźli w niej żyłę złota. Biłgoraj wyparł stamtąd Łomżę.

Upowszechniany w kręgach miejscowego aparatu partyjnego pogląd, że „Biłgoraj jest najważniejszym ośrodkiem agentury CIA na wschodnią Polskę", pochodzi jednak z czasów nieco wcześniejszych. Działaczy „Solidarności Ziemi Biłgorajskiej", głównie robotników i nauczycieli, wyróżniały: energia, dynamizm i inicjatywa gospodarcza. Tuż przed grudniem `81 jeździli za Śląsk pertraktować w sprawie zamiany zboża na węgiel. Internowano spośród nich blisko czterdzieści osób. Przeszli przez więzienie w Krasnymstawie, potem przez słynny Kwidzyn. Tylko jedna z nich opuściła kraj. Nikt z internowanych nie mógł już wrócić do zawodu nauczyciela. Jest wśród nich katecheta, są robotnicy, są właściciele prywatnych warsztatów.

Janusz Różycki, trzydziestoletni założyciel biłgorajskiej „Solidarności", przyszedł tu jako inżynier po AGH. Pracuje jako katecheta („Uczenie religii to coś więcej niż zwykła praca" – podkreśla). Szukał miejsca, gdzie nie czułby presji materialnej rywalizacji („Oni nam dywan z Kuwejtu, my ich przebijemy bagażnikiem"), jaka mu doskwierała w rodzinnym Tarnowie. Przez te dziewięć lat Biłgoraj nie przestał mu się podobać. Nie osłabia jego optymizmu fakt, że jedyne kino spłonęło w zeszłym roku („kultura nam się spaliła"), ani fakt, że lekarz po studiach zarabia 12 tysięcy, a chłopak po zawodówce, przy kuciu łańcuchów, 35 tysięcy.

Po wyjściu z internowania zorganizował duszpasterstwo nauczycieli, zainicjował „Spotkania małżeńskie" – dla zaawansowanych w wierze, ale życiowo często bezradnych jak dzieci. Widzi w tym niewielkim mieście szansę na stworzenie jednolitego frontu wychowawczego: dom, Kościół, szkoła. Tę perspektywę uważa za porywającą.

Pisarze do piór!

Mecenas Markiewicz, najbardziej wzięty w mieście adwokat, ma w swoim dorobku trzystustronicową monografię Biłgoraja. Książka narobiła w mieście szumu. Do komitetu partii udała się delegacja kominiarzy z pretensjami, że mecenas źle napisał o kominiarzach. Kierowniczka przedszkola nie była tak obcesowa, poprosiła tylko pana Markiewicza, patrząc mu wymownie w oczy, by następną książkę zechciał poświęcić biłgorajskim przedszkolom. W sumie autor uważa, że wyszedł obronną ręką.

W „Tygodniku Zamojskim" Stefania Kwiecińska, przedwojenna nauczycielka, pisze o dawnym Biłgoraju i tutejszych Żydach. „Masz tu, Elżuniu" – powiedziała do swojej siostrzenicy, wręczając jej swoją pracę – „Poczytaj sobie, żebyś nie myślała, że twoja ciotka emerytka to zasuszony umysł, bigotka jakaś". Niedawno otrzymała list od Izaaka Singera; pisał, że jeśli przyjedzie do Polski, odwiedzi Biłgoraj, w którym mieszkał trzy lata, i chciałby się z nią zobaczyć. „Tylko pan Knap, komunista, był oburzony, że nic nie napisałam o przedwojennych komunistach".

Na całe dni znika w pokoju przy pracy nad autobiograficzną książką przedwojenny działacz spółdzielczości chłopskiej, partyzant BCh, pan Józef Malinowski. Za współpracę z Mikołajczykiem otrzymał wyrok śmierci. Wyszedł z Wronek w 1957 roku. Pisać prawdę? Ale jak przyjmą ją rodziny tych, którzy już nie żyją i nie mogą jej poświadczyć? I czy będą mogły ją znieść? – oto dylematy autora. Taki kraj, takie czasy.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 9476ad31f3

Przedwojenni

„Paweł Buczek – teletechnik" – głosi wizytówka na drzwiach. Urodzony w 1907 roku. Zaczyna dzień od Mszy św. Potem idzie na pocztę i o dziewiątej rano jest już w domu. W czasie wojny kierował działalnością wywiadu AK na poczcie, pseudonim „Brzęczek". Przed wojną i po wojnie organizował pocztę w Biłgoraju. Pogodny z usposobienia, zakochany w swoim zawodzie i w swoim mieście. Historię rodów sitarskich zna ze szczegółami.

– Zaraz po wojnie chcieli mnie stąd – z poczty i z miasta – wyrzucić. A ja miałem przecież tutaj dwie córki i kawałek ziemi. Odwoływałem się, ale resort nie pomógł. W końcu pan Kania, pocztowiec rodem z Łotwy, ostrzegł mnie: „Nikt nie będzie mógł pracować, jeśli do partii nie będzie należał". Zapisaliśmy się do PPS-u. On jakoś z partią zżył się prędzej. Kiedy było zjednoczenie, ja śpiewałem w chórze kościelnym (jestem tu od 1915 roku). Ale dopiero kiedy ksiądz zaangażował mnie do budowy organów i prowadzenia kasy, wymówienie mi dali. „Wypędzono go", mówiono, „bo jemu się za dobrze powodzi". Bogu dzięki, przetrzymałem to.

Stefania Kwiecińska jest także autorką pamiętnika przeznaczonego dla rodziny, który pisze od trzydziestu pięciu lat. Ku przestrodze. „Przeczytają sobie po mojej śmierci". W 1945 roku pani Stefania, absolwentka renomowanego seminarium nauczycielskiego w Zamościu, prymuska, nie mogła znaleźć zatrudnienia w Biłgoraju jako nauczycielka. Odmówiono pracy także jej sześciu koleżankom z przedwojennymi cenzusami. Wylądowały w administracji.

Tadeusz Iwanowski to znany w Biłgoraju „przedwojenny harcerz". Żyjący samotnie niewidomy – od paru lat – olbrzym z siwym wąsem i młodzieńczą czupryną, mieszka w ciasnocie, wśród książek. Pomiędzy tomami przyciąga wzrok wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Po wojnie pracował w administracji biłgorajskiego szpitala. Szpital do późnych lat 60. był prawdziwym azylem dla ludzi związanych z AK, miejscem spokojnej pracy. Idee konspiracji są w domu pana Iwanowskiego wciąż żywe, choć zastrzega, że z polityką nie miał nic wspólnego, był „turystą".

– Popełniłem nawet taki maleńki grzech – sięga wprawną rękę na najwyższą półkę regału – broszurkę „Spacer po historii powiatu biłgorajskiego".

O aresztowaniu akowców, gehennie wywózek i poprzedzającym je słynnym odbiciu więzienia w 1945 roku mówi jednym zdaniem. Język sztywnieje mu w ustach, nie potrafi wypowiadać się swobodnie. Po wyjściu z lasu znów zajął się harcerstwem. Został komendantem hufca, tak jak przed wojną i jak za konspiracji.

– W latach 1948–1949 doszło do spięć z władzami harcerskimi województwa. Dopiero w 1956 poproszono mnie, bym znowu poprowadził harcerstwo. Ale potem była prowokacja. Nie zorientowałem się w porę. Cóż, niech się gęsi babcine same pasą… Przez lata walczyłem o umieszczenie w dużym kościele tablicy poświęconej AK i tego jednego zdania: „Za śmierć dla jutra, za ten lot słoneczny, o Polsko, odmów odpoczynek wieczny". Jeden z księży dziekanów powiedział mi: „Na swoich świetlicach to wieszajcie". A ja mówię: „Nasze świetlice to jest Zamek lubelski i Rotunda zamojska. A nasze groby – Syberia i cmentarz unicki" – bo tam w Biłgoraju chowano akowców. Wtedy dopiero stanął, pomilczał i się zgodził.

Niebezpieczna kobieta

W papierach Bogusławy Adamczykowej, matematyczki z liceum, umieszczono adnotację: „Skrajny klerykalizm". Od stanu wojennego profesor Adamczykowa nie ma już wychowawstwa.

– Życie w szkole jest taką udręką, że kiedy przyjechał Ojciec Święty, chciałam wołać do niego: Ojcze, zabierz mnie ze sobą!

Mecenas Markiewicz, baczny obserwator biłgorajskiego życia, widzi profesor Adamczykową na czele pochodu, prowadzącą lud do ostatecznej walki. „Niebezpieczna kobieta, tylko dać jej krzyż do ręki". Władze szkolne były w latach 60. podobnego zdania, bo zakazano jej nosić krzyżyk na szyi.

Kiedy do Biłgoraja przybył Obraz Nawiedzenia, prowadziła większość modlitw w prywatnych domach. Dwa lata temu witała płomiennym przemówieniem biskupa Śrutwę. Działa w duszpasterstwie nauczycieli, śpiewa w kościele. Kiedy przed ostatnią wizytą Jana Pawła II lektor KW podczas szkolenia nauczycieli powiedział, że „na Okęciu będą witać Papieża pry-masi", wybuchnęła na cały głos: „Kto ściągnął tego ciemniaka do naszej szkoły! To jest upokorzenie dla nas, wierzących i wstyd dla partii!".

Jerzy Skakuj, jeden z pięciorga internowanych w stanie wojennym nauczycieli, dawny dyrektor wsławionej batalią o krzyże szkoły numer jeden, już nie pracuje. Został skierowany na przedwczesną emeryturę. Żal mu szkoły, chciałby jeszcze uczyć.

– Być nauczycielem, to widzieć przyszłość dziecka za dziesięć, dwadzieścia lat. Tutaj uczy się w ciemno. A gdyby nie mieli wzorców wychowawczych, ja nimi służę – z okupacji jeszcze.

Ojciec pana Jerzego, Wacław Skakuj, był przed wojną człowiekiem-instytucją. Wydawca jednej z tu-

eprasa.pl 9476ad31f3

tejszych gazet, działacz PPS-u, który po zjednoczeniu nie chciał, jak mówi, „zlać się".

Pasjonat pracy społecznej wyciągał setki ludzi z ciężkich opresji w czasie wojny i już po niej. Z biura pisania podań, które prowadził, wychodziły listy w sprawie bicia dzieci na UB. Jerzy Skakuj odziedziczył po ojcu społecznikowski temperament. Ale jego droga nie była prosta. Był w ZMP, w ZSL, potem w partii, z której wystąpił w 1979 roku. Zaprząta go dziś problem nienawiści. Skąd się bierze? Niedawno wracał wieczorem z kościółka. Zaczepił go dawny kolega z resortu oświaty. Zaczął go szarpać za klapę ze znaczkiem z Matką Boską. „Co ty z siebie robisz?" – krzyczał. Pan Jerzy jest zdania, że dzisiaj to nie drugi człowiek, ale ten jego irracjonalny krzyk najbardziej przeraża.

Dusił w sobie te zmartwienia

Dominik Brzyski – działacz gospodarczy. Był jedną z tych dwóch, trzech osób, które w ostatnim okresie życia Józefa Dechnika, I sekretarza partii w Biłgoraju, dotrzymywały mu towarzystwa. Było to po nieudanym samobójstwie Józefa Dechnika w 1976 roku. Wersja oficjalna głosi, że był to wypadek przy czyszczeniu broni.

Dominik Brzyski, przyjaciel Dechnika z lat przedwojennego komunizowania, żałuje, że Dechnik nigdy się nie zwierzał. „Dusił w sobie te zmartwienia".

– Ja jestem szczęśliwy, bo potrafię się wysłowić. On nie mógł. Na kilka godzin przed tym wypadkiem powiedziałem mu: „Józef, myśmy ten ustrój zmienili, tak jak się z nogi zdejmuje spoconą skarpetę – wywróciliśmy go. A teraz z wrogami trzeba nam się rozprawić! Musisz walczyć!" A on na to: „Gdybyż to byli wrogowie! Poradzilibyśmy". To był uczciwy, prostolinijny człowiek. Stwarzał atmosferę, która działała nawet na złych ludzi. Nawracali się na uczciwą drogę. Z nim chciało się pracować. Jak ci, którzy znali przyczynę jego targnięcia się na życie, mogli mu patrzeć w oczy!

Olbrzymia energia rozsadza drobną postać Dominika Brzyskiego, emeryta w wypłowiałej, paramilitarnej bluzie. Po latach walki, jak to określa, szuka dziś zapomnienia wśród pszczół. Jest ateistą, silnie akcentującym swój światopogląd:

– Dewotka, pardon, wierząca, idzie do spowiedzi. Ja też chodziłem – do Dechnika.

Spłacić dług

Henryk Wujec urodził się w podbiłgorajskiej wsi Podlesie, w Biłgoraju chodził do szkoły. Z tym miejscem jest związany szczególnymi uczuciami. Jest to ten rodzaj więzi – z ziemią, z ludźmi – która często nie pozwala znaleźć spokoju w świecie chłopskim dzieciom.

– Ciągle wydawało mi się, jakbym coś czy kogoś zdradzał. Chciałem wrócić na wieś, ale skończyłem fizykę i nie wiedziałem, co mógłbym tu robić. Po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie zaangażowałem się w akcję pomocy ofiarom tych zajść. Chodziłem po robotniczych i chłoporobotniczych domach i wreszcie czułem, że robię to, co powinienem. Nie mogłem spłacić moralnego długu tam, gdzie go zaciągnąłem, więc spłacałem w Ursusie.

Większość dowódców biłgorajskiego obwodu AK zginęła w bitwie pod Osuchami w czerwcu 1944 roku. Tych, którzy ocaleli, aresztowano zaraz po zakończeniu wojny i wywieziono na Majdanek.

Kiedy siedział, chłopcy z biłgorajskiej „Solidarności" opiekowali się jego matką. Widać, że także mieli potrzebę spłacenia długu.

Kiedy tylko mógł wyrwać się z Warszawy, przyjeżdżał w rodzinne strony. Sąsiad miał donosić, jak tylko zobaczył go w Podlesiu. Dzieci jego brata spostrzegły kiedyś skradającą się pod oknami kobietę, która pytała, czy wujek już przyjechał? (Od razu się wysypała, bo wiadomo, że to nie żaden wujek tylko stryjko). W Biłgoraju odwiedzał kolegów ze szkoły. Był u Romana Sokala, ważnej figury, dyrektora biłgorajskiego muzeum. Roman serdecznie go uściskał i szczelnie zaciągnął zasłony.

Mecenas Markiewicz przed rozmową o historii najnowszej miasta dłuższą chwilę milczy.

– Pani wie, że ja jestem członkiem partii? No ale jeśli papież spotkał się z Jaruzelskim, to pani ze mną też może.

Stary drewniany, kryty gontem dom mecenasa pachnie przedwojennym życiem. Na parapetach pelargonie, na ścianach fotografie pięknych dziewcząt w komunijnych welonach ze świecami.

eprasa.pl 9476ad31f3

– Zgryz miałem niesamowity, kiedy zacząłem pisać o współczesnymi Biłgoraju. Bo o kim pisać? Kogo pomijać? Kto jest pierwszym w mieście, to wiadomo, ale kto tym drugim? Oto problem, moja pani. Wszystko zaczyna się od ery Gomułki. Nie, nie ma tutaj ocen i nie może być. Ja tylko informuję. Bo przecież coś tutaj się zdarzyło po wojnie, coś urosło. Po wojnie stał na rynku tylko jeden ustęp „dwustrzałowy" i to wszystko…

Ale co takiego się wydarzyło? Skąd bierze się narastająca, jakby zbyt długo tłumiona skarga, kiedy zapytać o przeszłość? Głęboko ukryty, ale wciąż obecny lęk, gdy spytać o dzień dzisiejszy? Czy optymizm Janusza Różyckiego, inżyniera katechety, usprawiedliwia jedynie fakt, że urodził się trzydzieści lat temu i najgorszego nie zdążył przeżyć?

Większość dowódców biłgorajskiego obwodu AK zginęła w bitwie pod Osuchami w czerwcu 1944 roku. Tych, którzy ocaleli, aresztowano zaraz po zakończeniu wojny i wywieziono na Majdanek. Jeszcze leżały tam zwłoki niemieckich ofiar. Akowców zatrudniono przy rozbieraniu baraków, a potem partiami wywożono do Kobielska i Riazania. Część schroniła się w lesie i po rozwiązaniu AK uformowała się w oddziały Delegatury Sil Zbrojnych. Ci, którzy przeżyli stalinizm i polowanie na żołnierzy Podziemia, szybko wyjechali stąd na ziemie zachodnie.

Jeszcze w 1944 roku połowa Biłgoraja należała do AK, druga połowa do PPR. Część PPR-owców wywodziła się z oddziałów AL, których w tych stronach nie było, zostali sprowadzeni. Jerzy Skakuj pamięta przemarsz AK-owców przez Biłgoraj – szli obsypani kwiatami przez całą szerokość głównej ulicy. Niedługo potem odbył się na łące pod miastem wiec, na którym mieszkańców miano zapoznać z programem Delegatury Rządu na Kraj. Tego dnia wiec zorganizowała też PPR. Jerzy Skakuj widział, jak cywile uciekali z wiecu na łące.

Walczono z komunistami o Biłgoraj od stycznia do czerwca 1945 roku. Leśne oddziały odbiły sześćdziesięciu pięciu żołnierzy AK z biłgorajskiego więzienia. Nikt nie zginął. Stacjonujący tu batalion Wojska Polskiego pewnej nocy zdezerterował i zaatakował budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Po nieudanej akcji oddział wycofał się do lasu. Fakty te przypomniał mecenas Markiewicz.

Azyl u Pojaska

Tak jak za okupacji, ważnym miejscem stał się ponownie biłgorajski szpital, zwany sejmikowym. W czasie wojny często zdarzało się, że na jednej sali leżeli obok siebie: dogorywający partyzant z AK, ofiara gestapo i ranny Niemiec. W razie inspekcji dyrektor szpitala, doktor Stanisław Pojasek, oświadczał niezmiennie, że partyzant wpadł właśnie w maszyną rolniczą lub kopnął go koń. Ukrywali się tu też studiujący w Warszawie na tajnych kompletach medycy i farmaceuci, których zadaniem było organizowanie służby zdrowia dla celów konspiracji. Chroniła się „u Pojaska" przed wywózkami inteligencka młodzież z Biłgoraja. Uciekinierzy z pacyfikowanych przez Niemców wsi kładli się do łóżek jako chorzy na dur brzuszny i tyfus plamisty. Przetrwało tu także kilku Żydów. Doktor Pojasek odczytywał przyjaciołom kartki z Izraela: „Niech Ci Twój Bóg wszystko wynagrodzi". Sześciu pracowników szpitala poszło walczyć pod Osuchy. Dwóch zginęło, trzech wróciło jako inwalidzi.

Po wojnie komunista Knap przyszedł do szpitala aresztować doktora. Ujrzawszy jego surową minę i groźnie nastroszone wąsiki, tak się stropił, że ściągnął czapkę i wybąkał: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!", po czym uciekł. Doktor Pojasek był zbyt znany. Dzięki jego autorytetowi przetrwały w szpitalu aż do połowy lat 60. siostry serafitki. Do jego śmierci w 1967 roku istniała w szpitalu, otaczana opieką całego personelu, kaplica (dzisiejsza kaplica mieści się w jej zakrystii).

Starzy lekarze, Antoni Gierczak i Bogdan Szczypa, wspominają czasy Pojaska – wtedy czuli się naprawdę na swoim miejscu, nie zawalały ich, jak dziś, papierki. Pierwsza rzecz, o jaką pytał doktor zgłaszających się chorych, to czy jedli. I zaraz kazał karmić. Każdy z lekarzy musiał być omnibusem, jak Pojasek. Nie istniały wąskie specjalności. Na operacje ściągał w środku nocy nawet tych, którzy nie mieli dyżuru.

Doktor Gierczak i doktor Szczypa z nostalgią wspominają szpital z lat 50. i 60.: „kapaną" narkozę (na maskę kapała eterem siostra zakonna), aparat rentgenowski z UNRRY, typ polowy, zwany fischerem, który był nie do zdarcia i którym każdy lekarz musiał osobiście prześwietlać swoich chorych. Herbatę „z duszą" (czyli z cytrynówką), która po operacji przynosiła siostra przełożona. Pamiętają stojące pod ścianą łóżko z żelazną siatką dla chorych na wściekliznę i mały stoliczek pod schodami, na którym zawsze leżały przygotowane dla dyrektora papierosy i fifki. Tam też, w kącie, dyrektor, który nie miał własnego gabinetu, „obsobaczał" pracowników.

Dokąd żył, nie wolno było w jego szpitalu przerywać ciąży. Ktoś napisał donos i do Biłgoraja przyjechała zaprawiona w walce z ciemnotą i zacofaniem dziennikarka z „Przyjaciółki". Była zgorszona, że doktor nie miał dla niej czasu i kazał tylko wynieść krzesło na korytarz. Zaatakowała go wieczorem:

eprasa.pl 9476ad31f3

– Co to znaczy, że tu nie ma przerywania ciąży!? Ja jestem z „Przyjaciółki"!

Dyrektor rzucił jej tylko w biegu, że „ma gdzieś przyjaciółkę". Jest już za stary. Wzburzona udała się do Dechnika, który jej wytłumaczył, że z doktorem Pojaskiem nie należy zaczynać.

„Teraz już mamy kulturę!"

Na przełomie lat 40. i 50. dumą Biłgoraja było licem ogólnokształcące. Szybko odbudowano je z wojennych zniszczeń, rzemieślnicy zaofiarowali się ze zrobieniem ławek. Stanisław Adamczyk, pierwszy powojenny dyrektor, osobiście pilnował, żeby nie były niszczone. W 1946 roku na gmachu liceum, które było jeszcze szkołą prywatną, pojawił się transparent „Żądamy upaństwowienia szkoły". Dyrektora z miejsca wezwano na przesłuchanie. Słowo „żądamy" wzbudziło czujność partii. Incydent uznano za prowokację i dyrektor został uderzony w twarz. Trzy dni później, 3 maja, granat wrzucony do budynku posterunku milicji urwał rękę przesłuchującemu funkcjonariuszowi i wybił mu dwa trzonowe zęby.

Był to okres nieustannych pogrzebów milicjantów. Co drugi dzień dzwoniono do dyrektora Adamczyka: „Potrzebna jest młodzież i wieniec". Palcem pokazywano mu też nazwiska tych, którzy mieli być przepuszczeni do następnej klasy, i tych, których należało zatrzymać. Dyrektor Adamczyk, matematyk, o którego ubiegał się Uniwersytet Jagielloński, nie wytrzymał tego i zwolnił się ze stanowiska.

Bogusława Adamczykowa, która kończyła wtedy liceum, pamięta, że przed 1948 rokiem nauczyciele razem z uczniami chodzili do kościoła. Tłumy przybywały na koncerty pieśni adwentowych i kolęd w wykonaniu licealnego chóru. Któregoś dnia wracała z drużyną harcerską z lasu i przed budynkiem UB wesoło zagrzmiało: „Witaj, majowa jutrzenko". Bóg i Ojczyzna były hasłami, które obowiązywały jeszcze w harcerstwie.

Coś ważnego musiało zdarzyć się krótko potem, bo kiedy do Biłgoraja przyjechał w 1948 roku biskup, pani Adamczykowa pamięta, że wszyscy płakali jak bobry – „Matko Najświętsza, ratuj!".

W roku 1950 Jerzy Skakuj, wówczas licealista, zobaczył, jak wychodzącemu z kościoła św. Marii Magdaleny (zwanego „kościołem na Puszczy") księdzu Byrskiemu, dwóch napastników zarzuciło worek na głowę i próbowało go obezwładnić. Nie wiadomo skąd wyrosło nagle kilku młodych ludzi, którzy mieli broń. Księdza uwolniono, a napastnicy uciekli.

Lata 50. zaczęły się groźnie. Jerzy Skakuj został członkiem OM TUR, a wkrótce ZMP. W klasie maturalnej związek wysłał go w teren do walki z ciemnotą na wsi. Wyprawił się piechotą z dwoma kolegami do Biszczy, Księżpola i Potoku. Kolega, który trafił do Księżpola, opowiedział zebranym cały życiorys Piłsudskiego, przyjęto go owacyjnie. Ten, który poszedł do Biszczy, zdrowo tam oberwał. Jerzy Skakuj dotarł do Potoku, gdy zebranie się już rozeszło. W drodze powrotnej spotkał płaczącego kolegę, który uciekł z Biszczy. Pocieszał go powracający z Księżpola, który śpiewał na cały głos partyzancką piosenkę. Wrócili do szkoły utytłani w błocie i ledwo żywi. Natychmiast kazano im, jako aktywistom, iść na zabawę taneczną.

– No i tańczyłem w tych utytłanych butach.

Był to okres rozkwitu działalności zwanej kulturalną. Pierwsze imprezy odbywały się w budynku jajczarni. Kierownik jajczarni otworzył inauguracyjną uroczystość słowami: „Teraz już mamy kulturę, mamy własne siedzenia!" .

Henryk Wujec zapamiętał z tego czasu szkolną choinkę, na której wisiały w postaci ozdób same cyfry „6" wycięte z kartonu, które wyobrażały plan sześcioletni. Do szkoły, budząc popłoch wśród dzieci, przychodził jakiś straszny dziad, jak się okazało Dziadek Mróz.

– Nikt nie mógł zrozumieć, kto to jest. Jakiś starszy brat św. Mikołaja? Przychodzi w styczniu… I dlaczego nie z nieba?

Kiedy Henryk Wujec zaczął chodzić do liceum, było już ono spacyfikowane. Na historii trzeba było tylko pamiętać, że „ciężka była dola chłopa pańszczyźnianego". W zależności od epoki, „chłopa" przedstawiano jako niewolnika albo proletariusza. Nauczyciel biologii, zwany Buchtą, nauczał o Łysence i Oldze Lepiszyńskiej. Wyjątkiem był fizyk Rotenberg, od którego Henryk Wujec pożyczał książki i który w latach 60. zasłynął tym, że na zebraniach partyjnych opowiadał o filozofii Teilharda de Chardin.

W VIII klasie Henryk Wujec zakochał się w koleżance. Rozwiązywał jej zadania z matematyki i wrzucał pod ławkę. Ale to było za mało. Postanowił więc napisać wiersz. Burzę uczuć, jaka w nim się rozpętała, wyraził zwięźle w wierszu białym:

Dość już z tym komunistycznym terrorem!
Musimy zebrać się i walczyć o niepodległość.

Zrobiło to na dziewczynce olbrzymie wrażenie.

Dokończenie za miesiąc. ■

Tekst powstał w 1989 roku. Opublikowany w podziemnym piśmie „Młoda Polska".

eprasa.pl 9476ad31f3

Piotr Lisiewicz

Niemcy odkryli Katyń. I zrozumieli, że po latach można zidentyfikować ofiary i ich losy. Po tych guzikach, medalikach, listach. Dlatego nie powtórzyli tego błędu. W 1944 roku, gdy Niemcy zdali sobie sprawę, że przegrywają wojnę, zaczęli… wykopywanie tysięcy trupów zabitych kilka lat wcześniej przedstawicieli polskich elit i palenie ich, by uniknąć odpowiedzialności. I rzeczywiście żadnej odpowiedzialności nie ponieśli" – te zupełnie wstrząsające słowa wypowiedziała w moim programie „Wywiad z chuliganem" Anna Piasek-Bosacka, reżyser filmu „Operacja Tannenberg".

Po 1989 roku potoczne przekonanie Polaków było takie, że o niemieckich zbrodniach można było za komuny mówić, ale o sowieckich nie. Tyle że to była nieprawda. Także o niemieckich zbrodniach bardzo często prawie nic nie wiemy. PRL-owskie filmy nie zastąpiły nam prawdy, same „Zakazane piosenki" to za mało. Dlaczego komuniści nie chcieli tej prawdy? Komuna miała interes w tym, żeby Polacy nie lubili Niemiec Zachodnich i chwalili sowieckich wybawicieli, ale nie miała żadnego interesu, żeby wyjaśnić śmierć przedwojennych elit, które sama tępiła.

Dziś fragmenty dwóch tekstów dotyczących niemieckiego terroru i niemieckiej kolonizacji, które ukazały się jeszcze w czasie wojny w piśmie „Polska Walcząca" wychodzącym w Londynie.

Maria Brzeska

Powszedni dzień terroru

Każde wyjście na ulicę może być ostatnim. Wychodząc rankiem do pracy rodziny żegnają się niepewne, czy się znowu zobaczą, witają się wieczorami z uczuciem ulgi. Każde spóźnienie wywołuje trwogę, nieraz rozpacz… Niemcy niszczą naród, stosując podwójną selekcję: na roboty idą młodzi, zdrowi, silni fizycznie, w obozach ginie świat inteligencji.

Płynie codzienne życie w Warszawie, Krakowie czy Lwowie. Pozostała, mimo wszystko, zewnętrzna mozaika faktów: ktoś się żeni, rodzą się dzieci, praca, wypoczynek, troska o chleb wypełnia dzień powszedni. Zmieniła się jednak najgłębsza, zasadnicza treść ludzkiego bytowania i zaciążyła jedyna w swoim rodzaju, trudna do zrozumienia atmosfera życia w Polsce pod okupacją niemiecką […].

W okresach łapanek każde wyjście na ulicę może być ostatnim. Wychodząc rankiem do pracy rodziny żegnają się niepewne, czy się znowu zobaczą, witają się wieczorami z uczuciem ulgi. Każde spóźnienie wywołuje trwogę, nieraz rozpacz. Toteż tak w życiu codziennym, jak w robocie konspiracyjnej punktualność jest pierwszym najskrupulatniej przestrzeganym obowiązkiem.

Przejście do miejsca pracy jest w czasach łapanek trudnym, niebezpiecznym zadaniem. Zachowuje się tysiące ostrożności, omija ruchliwsze ulice i place, nieraz mocno nakłada drogi. Wszystko to jednak nie ma większego znaczenia – życie ludzkie zupełnie straciło wartość, wszystko prawie zależy od szczęścia i przypadku.

Punkt niebezpieczny może być w najruchliwszym centrum: w Warszawie na Marszałkowskiej. Zwłaszcza skrzyżowanie z Al. Ujazdowskimi często należy ominąć. Specjal-

eprasa.pl 9476ad31f3

nie nieszczęśliwą sławę ma Plac Napoleona, ale i odległa Ząbkowska na Pradze była już terenem „polowania na ludzi". Łapią na Chmielnej i Żelaznej, rabują na Kercelaku.

W Krakowie, aby się dostać z Wolskiej na Długą, zawsze najpierw chwila zastanowienia: – Czy też na plantach spokój?" – „Czy przejdzie się przez Rynek? Czy lepiej przez Plac Szczepański?". Wielokrotnie też prosiło się w biurze o informacje telefoniczne i dopiero upewniwszy się, że wszystko w porządku, szło się dalej. Uważnie, spokojnie, ze zwierzęcą już wprost czujnością [...].

Ludzie skierowani na Montelupich mają przed sobą los najstraszniejszy: mękę „przesłuchań" wśród tortur, z których wyratuje tylko śmierć-zbawienie, pomoże sprytnie schowana trucizna. Tych co przebrną przez piekło wielokrotnych przesłuchiwań na Pomorskiej, gdzie przez gorzką ironię losu na gmachu Domu Śląskiego powiewa czarny sztandar Gestapo, po parotygodniowym pobycie w więzieniu wywozi się do obozów koncentracyjnych. Przepełnienie Pawiaka w Warszawie, Montelupich w Krakowie, to dwie naraz zapowiedzi: więźniowie wyjadą do Oświęcimia, Majdanka czy Mauthausen. Nowe łapanki uliczne dostarczyć muszą nowych ofiar.

Nie jest łatwo „przepełnić" więzienia: w celi na 8 osób siedzi w brudzie, robactwie, zaduchu i zimnie 50 osób. Co dwa, trzy miesiące wywozi się więźniów do obozu. Mimo to liczba ich nigdy nie spada. Z Oświęcimia i Majdanka często po trzech dniach, po tygodniu, przeciętnie po paru tygodniach, rodzina dostaje telegram o śmierci. Depesza jest zredagowana bardzo rzeczowo – chory zmarł na serce, żołądek lub płuca; nie brak medycznych określeń. Można jeszcze otrzymać krwawy szmat ubrania; nawet urnę z popiołami. Czasem nawet przez pomyłkę w ciągu tygodnia dwie urny z tym samym nazwiskiem. „Ordnung" przede wszystkim.

Są tacy, którzy nawet z Oświęcimia wracają, milczą jak grób o tym, co przeżyli, ale mąk wielotysięcznej masy ludzkiej nie utrzyma się w tajemnicy. Jest szpital na terenie obozu oświęcimskiego, gdzie bandażuje się rany papierem [...].

Są dni, w których poczta krakowska otrzymuje naraz 400, 600, 800 depesz o śmierci w obozach. Gdy zawiadomienia są zbyt masowe, wystarczy gestapowiec, który objeżdża miasto na motocyklu i odczytuje rodzinom z brulionu nazwisko i datę śmierci [...].

Tej samej wiosny stanęły szubienice na dworcu w Płaszowie i Woli Justowskiej. W Płaszowie 9, w Woli 12 kolejarzy i ludzi przypadkowo złapanych zawisło, by „przestrzec przed sabotażami kolejowymi". Trupów nie zdejmowano kilka dni, elita niemiecka, oficerowie i panienki z nad Sprewy jeździli z aparatami fotograficznymi podziwiać spektakl. Od tych szubienic na miasto wiało grozą i najżarliwszym pragnieniem zemsty.

Tej samej wiosny rozpoczęła się najdziksza łapanka na roboty, wywózkami ze szkół uderzono w najczulszy punkt, w nadzieję – w dzieci. Były domy, z których zabrano trzech synów, domy, z których wzięto pięć córek.

I ta wiosna nie była najgorsza, przyszła po niej jeszcze zima i wiosna 1943.

Wydaje się, że wszyscy są u kresu sił, tymczasem wytrzymują dalej. Ludzi mających nadzieję nie złamie nikt i nic. Ludzie słabi czy silni, bojaźliwi czy odważni żyją nadzieją, która jest wiarą niezłomną: wiarą w Polskę, wiarą w Polskie Jutro.

Przedruk za: Polska Walcząca/ 12.02.1944/ Londyn/ Rok 6, Nr 6.

Stanisław Zatorski

Kolonizacja niemiecka

Z polskiego punktu widzenia rzuca się w oczy przede wszystkim niesłychane barbarzyństwo, jakie tę akcję cechuje. Czegoś takiego w naszym stuleciu Europa nie widziała. Zdarzały się wypadki przesiedlania ludności, ale na skutek dobrowolnych umów i nie w takiej formie i nie w takich rozmiarach. Wysiedlonym zrabowano wszystko i nie zapewniono im w. Gen. Gubernatorstwie żadnych możliwości egzystencji. Gdyby nie polska samopomoc i dobroczynność, ludzie ci marliby z głodu tysiącami.

eprasa.pl 9476ad31f3

Wbrew pewnym pozorom niemiecka akcja kolonizacyjna w Polsce nie stanowi jednolitego i konsekwentnie przeprowadzanego działania. Zdaniem moim można rozróżnić w tej akcji trzy okresy.

Trzy okresy

Okres pierwszy – to jesień i zima 1939/40. Niemcy upojeni zwycięstwem, marzą o skolonizowaniu wszystkich ziem polskich. Z terenów inkorporowanych Polacy mają być w ogóle wyrzuceni, w Gen. Gubernatorstwie mają pozostać, ale mniejszość niemiecka ma być wzmocniona, by mogła wywierać odpowiednio silny wpływ na życie tego Reststaatu („państwa-resztówki"). W berlińskich kołach decydujących utrzymują się różowe nadzieje, że z głębi Rzeszy popłynie potężna fala osadników. Więc wyrzuca się Polaków z ziem zachodnich całymi masami i to w sposób niesłychanie brutalny, narażając słabsze jednostki na śmierć z głodu i zimna. Na terenie Gen. Gubernatorstwa zakłada się wszędzie, gdzie się tylko da, szkoły i instytucje niemieckie.

Okres drugi – wiosna 1940 r. Władze niemieckie zaczynają spostrzegać, że mieszkańcy Rzeszy nie mają właściwie żadnej ochoty do osiedlania się na ziemiach polskich. Równocześnie okazuje się, że zbyt pośpieszne wydalanie Polaków może powodować pewne trudności w rolnictwie i w ogóle na rynku pracy. Wobec tego akcja wysiedleniowa trwa wprawdzie nadal, ale na skalę trochę mniejszą.

Okres trzeci – drugie półrocze 1940 r. Fiasko kolonizacji przy pomocy Niemców z Rzeszy staje się coraz bardziej widoczne. Wobec tego zapada decyzja przesiedlenia rolników niemieckich z Gen. Gubernatorstwa na tereny inkorporowane. Na pierwszy ogień idą Niemcy z wojew. lubelskiego. Liczne szkoły niemieckie ulegają zwinięciu. Równocześnie rosyjska ekspansja w kierunku zachodnim zmusza Hitlera do ściągnięcia Niemców z Litwy, Bukowiny, Bessarabii, Dobrudży. Są oni dla Rzeszy bardzo pożądanym elementem, potrzebnym do wzmocnienia niemczyzny na ziemiach polskich. Berlin spostrzega, że Polacy w Polsce zachodniej nie tracą ducha. Celem osłabienia ich prowadzi się nadal akcję wysiedleniową, ale celem wzmocnienia niemczyzny rozpowszechnia się tezę, iż w żyłach Kaszubów i Ślązaków płynie dużo cennej krwi germańskiej, którą należy ratować. Jednym słowem te grupy ludności mają ulec odpolszczeniu. Przybyszów z Sowietów osiedla się w ten sposób, by nowe tereny „niemieckie" rozdarły polski obszar językowy na kilka części, odcinając zupełnie mniejsze obszary (np. Kaszuby) od głównego polskiego terytorium etnograficznego.

Różne losy wysiedlonych

Na scharakteryzowanie akcji kolonizacyjnej w r. 1941 jeszcze nie pora. Trudno też bez błędu ocenić jej dotychczasowe wyniki. Z polskiego punktu widzenia rzuca się w oczy przede wszystkim niesłychane barbarzyństwo, jakie tę akcję cechuje. Czegoś takiego w naszym stuleciu Europa nie widziała. Zdarzały się wypadki przesiedlania ludności, ale na skutek dobrowolnych umów i nie w takiej formie i nie w takich rozmiarach. Wysiedlonym zrabowano wszystko i nie zapewniono im w Gen. Gubernatorstwie żadnych możliwości egzystencji. Gdyby nie polska samopomoc i dobroczynność, ludzie ci marliby z głodu tysiącami.

Pomimo wszystko wysiedleni, z którymi w Polsce w zeszłym roku rozmawiałem, byli dobrej myśli. Pocieszali się złudną, niestety, nadzieją, że w ciągu kilku miesięcy Niemcy zostaną rozgromione. Obrotniejsi i bardziej przewidujący wzięli się do handlu i zapewnili sobie podstawy do życia. Zdarzali się i tacy, co starali się jawnie, za pozwoleniem władz niemieckich, wrócić do Polski zachodniej, gdzie tu i ówdzie brakowało wykwalifikowanych robotników, np. elektrotechników i monterów.

Warto tu zaznaczyć, że w tym prawdziwie bandyckim pośpiechu wysiedleniowym Niemcy nie ustrzegli się niemiłych dla nich pomyłek. Np. do pewnej miejscowości pod Ostrowem Wielkopolskim przybył na urlop z „Linii Siegfrieda" żołnierz celem odwiedzenia matki. Pracował on kilkanaście lat w głębi Niemiec, bodajże w Zagłębiu Ruhry, więc się trochę zniemczył, a że bił się dzielnie, więc dostał różne odznaczenia wojskowe. Jakież było jego zdziwienie i oburzenie zarazem, gdy dowiedział się, że matkę wraz z innymi Polakami wywieziono gdzieś na wschód, pod Mielec, czy też Dębicę. Poszedł natychmiast, obwieszony odznaczeniami, do miejscowego landrata i zrobił takie „piekło", iż ten dał mu nie tylko wszelkie potrzebne przepustki, ale i samochód celem odszukania matki [...].

Bez większego entuzjazmu

Z niemieckiego punktu widzenia wyniki akcji kolonizacyjnej są zupełnie niewystarczające. Gdyby nawet wysiedlono dwa miliony Polaków (sądzę, że Niemcom daleko jeszcze do osiągnięcia tej cyfry), no to przecież nie stanowiłoby to ani ćwierci ogółu Polaków. Jeszcze gorzej jest z osadzaniem Niemców. Pod koniec 1940 r. pisma niemieckie operowały cyfrą około 130 tysięcy Niemców, osadzonych na roli w „Neu-Deutschland". Ta cyfra oczy-

eprasa.pl 9476ad31f3

wiście do tej pory znacznie wzrosła, np. w powiecie żywieckim osiedlono – jak twierdzi gauleiter Bracht – 4 tysiące Niemców, poza tym osiedliło się sporo niemieckich kupców, urzędników, majstrów. Rezerwy kolonizacyjne jeszcze nie są wyczerpane, jeszcze tysiące Volksdeutschów z Bessarabii i Bukowiny przechodzą przeszkolenie w niemieckich obozach, być może, że jeszcze sprowadzi Hitler Niemców z Bałkanów.

Ale to wszystko nie wystarcza, tym bardziej, że trochę Niemców trzeba osiedlić na ziemiach czeskich, szczególnie na Morawach, by z centralnych Czech zrobić odosobnioną wyspę słowiańską. Jest rzeczą widoczną, że część Niemców bałtyckich zdołała „wsiąknąć" w ziemie rzeczywiście niemieckie, nie kwapiąc się do osiedlania w Polsce. A jeszcze mniej ochoty mają t.zw. Reichsdeutsche. Trzeba ich przekonywać, zachęcać, karcić za opieszałość, lenistwo, brak patriotyzmu. „Górny Śląsk to nie Syberia!" – woła tygodnik „Das Reich". Jeśli tak mało ochotników do wyjazdu na Górny Śląsk, to cóż dopiero myślą sobie Niemcy o Mazowszu i Kujawach!

W Sosnowcu ludność niemiecka wzrosła do 6 tysięcy. Ludność Sosnowca też mocno spadła, z pewnością nie jest to już miasto stutysięczne, ale nawet w tym wypadku procent Niemców jest skromny. W Będzinie, który liczy 55 tysięcy ludzi, w tym 26 tysięcy Żydów, Niemców jest jeszcze mniej, niż w Sosnowcu.

Katowice liczyły z końcem ubiegłego roku 138.954 mieszkańców; w ciągu roku przybyło z poza Katowic 5.687 osób. Przypuśćmy, że to byli bez wyjątku Niemcy i nie zapominajmy, że ogromna masa Niemców osiedliła się jeszcze przed rokiem 1940, t.zn. w ostatnich miesiącach 1939 r. Nawet przy uwzględnieniu tych wszystkich okoliczności wolno wątpić, czy Niemcy, prawdziwi Niemcy, są większością.

Do szkół powszechnych w Warthegau uczęszczało 90 tys. dzieci. Przyjmijmy, że to wszystko dzieci niemieckie, że pewna, co prawda nieznaczna, część dzieci, żyjących w rozproszeniu, ze szkół korzystać nie może, a ponieważ rodziny niemieckie na ogół nie są „kinderreich", więc na każde dziecko w szkole przyjmijmy jeszcze 6 lub 7 Niemców. Tak, czy inaczej nie dociągnie się do miliona.

NIE SĄDZĘ, ABY NIEMCY POMNIEJSZALI REZULTATY SWEJ AKCJI KOLONIZACYJNEJ. PRZECIWNIE, REKLAMUJĄ KAŻDY SUKCES NA TYM POLU, CHWALĄ SIĘ KAŻDĄ NOWĄ WIOSKĄ LUB FABRYKĄ. CHCĄ BOWIEM DODAĆ OTUCHY DALSZYM KOLONISTOM…

Nie sądzę, aby Niemcy pomniejszali rezultaty swej akcji kolonizacyjnej. Przeciwnie, reklamują każdy sukces na tym polu, chwalą się każdą nową wioską lub fabryką. Chcą bowiem dodać otuchy dalszym kolonistom, a zarazem zamknąć usta tym nielicznym jeszcze krytykom, podobno głównie z kół wojskowych, którzy ustalając, że odpowiedzialność spoczywa na partii, stwierdzają mizerne wyniki. Widzą, że Polakom wyrządzono dużo szkód, ale zasiano nienawiść i nie zbudowano niczego wielkiego ani trwałego. Więc przebąkuje się, że „czwarta Rzesza," którą ewentualnie stworzyłaby armia, będzie mieć ciężki spadek nawet w razie zwycięskiego zakończenia wojny, w co Niemcy coraz mniej wierzą. ■

„Pokątne" statystyki

Żywioł niemiecki jest na terenach inkorporowanych jeszcze tak słaby, iż władze unikają ogłaszania statystyki narodowościowej. Czasem spotyka się pewne cyfry, gdy chodzi o b. Kongresówkę. Tu bowiem Niemcy nie ukrywają, że byli słabą mniejszością. Za to nie wypada im się przyznać, że są jeszcze i teraz mniejszością w b. zaborze pruskim. Wyjątkowo mogą to powiedzieć o Gdyni, ponieważ miasto zostało zbudowane przez Polaków, niemieckiej przeszłości nie miało, więc to ostatecznie nie ubliża przyznać się, że Niemcy nie mają tam jeszcze większości.

To też jeden z tygodników niemieckich podał, że z końcem 1940 r. Gdynia liczyła 90 tysięcy mieszkańców, w tym 27 tysięcy Niemców, 13 tysięcy Polaków i 50 tysięcy Kaszubów. A więc Polacy stanowią co najmniej 70% ludności, bo przecież zapewne i wśród tych 27 tysięcy Niemców jest trochę sterroryzowanych Polaków.

Przedruk za: Polska Walcząca / 10.05.1941/ Londyn/ Rok 3, Nr 19. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 9476ad31f3



Łukasz Czarnecki

Filiżanka herbaty, fajeczka opium

eprasa.pl 9476ad31f3





Na przełomie XVIII i XIX wieku sprowadzana z Chin herbata stała się ukochanym napojem Brytyjczyków, którzy nie potrafili już wyobrazić sobie życia bez kilku filiżanek naparu dziennie. Równocześnie w Chinach ogromną popularność zdobyła mniej niewinna używka – opium. Handel z Państwem Środka stał się w efekcie jednym z najbardziej lukratywnych biznesów ówczesnego świata, aczkolwiek surowe ograniczenia nakładane przez cesarstwo na zagranicznych kupców doprowadzały przybyszów z Albionu do białej gorączki.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 9476ad31f3

Początki angielskiej obecności w Azji związane są bezpośrednio z działalnością Kompanii Wschodnioindyjskiej, powstałej w roku 1600. Pierwsza angielska ekspedycja morska dotarła do wybrzeży Państwa Środka w roku 1637, kiedy do zarządzanego przez Portugalię chińskiego półwyspu Makau dobiła flotylla dowodzona przez kapitana Johna Weddella. Anglicy nawiązali kontakty z chińskimi urzędnikami z Kantonu, od których uzyskali prawo wstępu do miasta i uczestnictwa w jego życiu handlowym. Stałe przedstawicielstwo Kompanii Wschodnioindyjskiej w metropolii zostało ustanowione w roku 1699.

Kantoński mały światek

Herbata szybko zdominowała wymianę handlową między Wielką Brytanią a Chinami. Popyt na dalekowschodni napój rósł błyskawicznie. W roku 1720 sprowadzono do Albionu 12 700 skrzyń liści herbacianych, na początku następnego stulecia import wynosił już 360 000 skrzyń rocznie. W roku 1803 sprzedaż herbaty przyniosła Kompanii roczny zysk wysokości 14 mln funtów szterlingów. W dwa lata później dochód wyniósł prawie dwukrotność tej sumy (dokładnie 24 mln funtów). Pomiędzy rokiem 1717 a 1805 ilość sprowadzanej na brytyjski rynek herbaty wzrosła o 10 000 procent!

W roku 1757 cesarz Qianlong wydał prawo, na mocy którego jedynym portem, do którego europejscy kupcy mogli mieć dostęp, oficjalnie stał się Kanton. Wolno im było przebywać w porcie wyłącznie w trakcie sezonu handlowego pomiędzy październikiem a marcem, resztę roku spędzać mieli w Makau. Zakazywano sprowadzania kobiet. Surowo zabroniono im również swobodnego poruszania się po Kantonie, ich świat ograniczać miał się do stojących na nadbrzeżu Rzeki Perłowej faktorii. Te ostatnie nie były ich własnością – trzynaście stanowiących mały światek, zajmujących powierzchnię 15 akrów budynków, cudzoziemcy dzierżawili od mających monopol na handel z ,,barbarzyńcami" katońskich kupców, skupionych w gildii zwanej hong. Nad całością spraw związanych z zagraniczną wymianą handlową czuwał z kolei specjalnie do tego celu wyznaczony mandaryn, znany Europejczykom jako hoppo. Stanowisko z reguły obsadzane było przez niskiego rangą Mandżura na drodze protekcji – kandydata wskazywały ważne osobistości, a ten odpłacał się swoim protektorom olbrzymimi sumami w srebrze, które zdobywał na drodze wymuszania łapówek.

Uczestniczący w handlu w ramach tzw. systemu kantońskiego Brytyjczycy różnorako tłumaczyli sobie przyczyny narzucanych im ograniczeń. Wysoki komisarz do spraw handlu – lord William John Napier, który pojawił się w Kantonie w roku 1834, niechęć chińskich władz do wolnego handlu przypisywał, kierując się rasistowskimi uprzedzeniami, ich rzekomemu imbecylizmowi oraz barbarzyństwu i niegodziwości mającymi wedle lorda cechować chińskich mandarynów.

Ograniczenia nałożone przez chiński rząd na zachodnich kupców wzbudzały niechęć tych ostatnich, zwłaszcza poddanych Korony Brytyjskiej, stanowiących najliczniejszą grupę cudzoziemców w Kantonie. Forum, na którym angielscy kupcy wyrażali głośno swe niezadowolenie z obowiązujących regulacji i domagali się od swego rządu interwencji, nawet zbrojnej, celem ich zniesienia, stanowiły wydawane ich własnym sumptem gazety, stworzone zarówno na pożytek lokalnej anglojęzycznej społeczności Kantonu i Makau, jak również mające na celu przybliżenie chińskich realiów szerszym kręgom społecznym Imperium Brytyjskiego i zbudowanie ich poparcia dla działalności i żądań handlujących w Chinach rodaków.

Do roku 1834 angielski handel w Kantonie zdominowany był przez Kompanię Wschodnioindyjską, kontrolującą na mocy nadanego jej przez Koronę monopolu wymianę towarów pomiędzy Wielką Brytanią a Chinami. Symboliczny wyraz potęgi Kompanii stanowiły rozmiary i przepych brytyjskiej faktorii urządzonej na jej koszt – była ona dwukrotnie większa od sąsiadujących z nią budynków, posiadała własną kaplicę, dobrze zaopatrzoną bibliotekę i luksusowo urządzone pokoje mieszkalne, udzielające w samym tylko roku 1831 gościny 93 kupcom. Prócz agentów londyńskiej korporacji w liczbę tę wchodzili działający na własną rękę biznesmeni zaangażowani w handel krajowy, tj. nieobjętą kompanijnym monopolem wymianę towarów pomiędzy brytyjskimi Indiami a Chinami. To właśnie w rękach przedstawicieli tej grupy znajdował się handel opium.

Kompromitacja lorda Napiera

Dominacja wspomaganej przez rząd Kompanii Wschodnioindyjskiej budziła sprzeciw szerokich rzesz brytyjskich środowisk biznesowych pragnących uzyskać dostęp do rynku chińskiego. W roku 1833 parlament po burzliwej debacie zadecydował o nieprzedłużaniu wygasającego właśnie monopolu Kompanii na handel z Chinami. Koniec przywilejów, jakimi cieszyła się Kompania Wschodnioindyjska, oznaczał nadejście zmian w brytyjskiej społeczności Kantonu. Przede wszystkim zniesienie monopolu zaowocowało napływem do południowochińskiej metropolii nowych drobniejszych przedsiębiorców,

eprasa.pl 9476ad31f3

pragnących dorobić się na handlu z Państwem Środka. Jako że owi przybysze trafiali do świata, którego realia były im całkowicie obce, w początkach działalności polegać musieli na zasiedziałych od lat rezydentach Kantonu, takich jak na przykład William, Jardine i James Matheson – właścicielach firmy Jardine, Matheson&Co., potentatach na rynku opium.

Najważniejszą konsekwencją zniesienia kompanijnego monopolu była metamorfoza kupieckiego samorządu Kantonu. Do roku 1834 sprawami przebywających w Chinach poddanych Korony zajmował się urzędnik Kompanii, pełniący funkcję przewodniczącego tzw. wybranej komisji, który występując jako przedstawiciel oficjalnej brytyjskiej społeczności w kontaktach z władzami hongu, był równocześnie jej reprezentantem w oczach kantońskich urzędników. Teraz stanowisko to zniesiono, na jego miejsce wprowadzając rządowy urząd wysokiego komisarza ds. handlu, będącego oficjalnym reprezentantem Londynu, mającym chronić prawa i interesy przebywających w Kantonie Brytyjczyków.

Pierwszym wysokim komisarzem ds. handlu mianowany został szkocki arystokrata – lord William John Napier. Był to kandydat całkowicie pozbawiony potrzebnych do sprawowania powierzonego mu urzędu umiejętności dyplomatycznych i wiedzy na temat chińskich realiów. Pojawiwszy się w Kantonie w lipcu 1834 roku, od razu złamał zasady obowiązujące przybywających do metropolii cudzoziemców – pojawił się w mieście, nie czekając na oficjalną zgodę kantońskiego gubernatora generalnego. Co więcej, Napier odmówił kontaktowania się, jak to było w zwyczaju, z chińskimi władzami za pośrednictwem kupców z hongu i przy pomocy tłumacza zredagował list skierowany do gubernatora, w którym obwieszczał swe przybycie. Podjęta przez sekretarza wysokiego komisarza próba dostarczenia pisma do rąk własnych adresata zakończyła się niepowodzeniem – kolejni mandaryni odmawiali przyjęcia dokumentu, aż w końcu po trzech godzinach wyczekiwania w miejskich bramach asystent lorda Napiera wrócił do faktorii.

Kiedy kolejne próby zaangażowania spotkania z kantońskimi władzami zawiodły, wysoki komisarz wydał obwieszczenie wzywające lud Kantonu do insurekcji przeciwko władzy mandarynów. Do zrywu takiego oczywiście nie doszło, za to gubernator nałożył na cudzoziemców embargo handlowe. Przedstawiciel Korony, uznawszy się za pokonanego, odpłynął do portugalskiej kolonii, gdzie wkrótce zmarł pokonany przez tropikalny klimat południowych Chin. Następcą lorda Napiera na stanowisku kantońskiego wysokiego komisarza do spraw handlu został kapitan Royal Navy Charles Elliot.

Smok w opiumowym dymie

Wymiana handlowa między Wielką Brytanią a Chinami choć szalenie zyskowna, miała przez wiele lat poważny mankament. Chińczycy nie byli zainteresowani europejskimi towarami i za skrzynie z herbatą kazali sobie płacić w srebrze, co odbijało się negatywnie na bilansie handlowym imperium brytyjskiego. Sytuacja zmieniła się diametralnie wraz z rozpowszechnieniem się w Państwie Środka nałogu palenia opium (skala zjawiska była niespotykana, pod koniec XIX wieku uzależnionych od narkotyków było już 70 proc. poddanych cesarza). Podkreślić należy, że wbrew stanowisku oficjalnej chińskiej historiografii, które nauczyciele oraz wykładowcy Państwa Środka przekazują uczniom i studentom, plaga narkomanii nie była efektem spisku zachodnich imperialistów. Chińczycy uzyskiwany z maku środek odurzający znali i stosowali na długo przed pojawieniem się na dalekowschodnich morzach brytyjskich statków handlowych. Opium używane było jako lekarstwo już w starożytności. W tym czasie jeszcze go nie palono, lecz spożywano w postaci różnych przetworów. Obyczaj inhalowania się opium przynieśli do Chin holenderscy kupcy i marynarze, którzy palili w fajkach tytoń z dosypaną doń szczyptą narkotyku. Nawyk ten z czasem przejęli od nich Chińczycy z wyższych sfer. W drugiej połowie XVII

Do roku 1834 angielski handel w Kantonie zdominowany był przez Kompanię Wschodnioindyjską, kontrolującą na mocy nadanego jej przez Koronę monopolu wymianę towarów pomiędzy Wielką Brytanią a Chinami.

eprasa.pl 9476ad31f3

i na początku XVIII stulecia obyczaj palenia tytoniowo-opiumowej mieszanki znanej jako madak rozpowszechnił się na południowych nadmorskich terenach Państwa Środka. Chińskie władze szybko zareagowały na informacje o nowej używce. Już w roku 1729 zakazano jej palenia. Lekarstwo okazało się gorsze od choroby, na którą miało być remedium. Tytoniowo-narkotyczna mieszanka straciła na popularności na rzecz czystego opium.

Widząc olbrzymi chiński popyt na narkotyk, Kompania Wschodnioindyjska postanowiła na nim skorzystać. W latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku ustanowiła w kontrolowanej przez siebie indyjskiej Patnie, będącej centrum uprawy wysokiej jakości maku lekarskiego, swój monopol na produkcję opium.

Jako że sprzedaż opium była w Chinach nielegalna, Kompania, nie chcąc ryzykować gniewu cesarskich władz, nie eksportowała go bezpośrednio. Wytwarzany z corocznych zbiorów maku narkotyk korporacja wystawiała na aukcjach w Kalkucie, na których zaopatrywali się weń prywatni przedsiębiorcy zaangażowani w „handel krajowy". Ci transportowali opium do południowych wybrzeży Chin i przekazywali je chińskim przemytnikom.

Handel opium okazał się dla Anglików przysłowiową „żyłą złotą". Początek XIX wieku stał się świadkiem opiumowego boomu – w roku 1816 do Chin wyeksportowano z Indii 3000 skrzyń, dekadę później 5000, a na początku lat trzydziestych do palaczy trafiało 20 000 skrzyń rocznie! W sezonie handlowym 1834–1835 opium stanowiło aż jedną czwartą eksportu z Indii Brytyjskich do Chin. Zyski strony brytyjskiej uzyskiwane dzięki sprzedaży opium zaczęły przewyższać koszty zakupu herbaty – srebro, na którym opierała się gospodarka Państwa Środka, zaczęło szerokim strumieniem wypływać z jego rynku.

„Czyste Niebo"

Władze chińskie słusznie zidentyfikowały kurczenie się zapasów srebra i plagę narkomanii jako zagrożenia. W roku 1838 cesarz Daouguang zdecydował się wypowiedzieć wojnę handlarzom opium i nominował nieprzekupnego mandaryna oraz zażartego nieprzyjaciela narkotyków Lina Zexu, znanego jako ,,Czyste Niebo", na stanowisko specjalnego komisarza w Kantonie. Zadaniem postawionym przed urzędnikiem było rozwiązanie problemu napływającego do Państwa Środka strumienia opium u samego jego źródła.

W południowej metropolii Lin pojawił się 10 marca 1839 roku. Pierwszym krokiem mandaryna było wezwanie przed swe oblicze kupców z hongu, którym udzielił srogiej reprymendy. Zaczęły się aresztowania i konfiskaty. Następnie „Czyste Niebo" zajął się cudzoziemskim elementem narkotykowego układu. Na początek napisał zaadresowany do królowej Wiktorii list wzywający ją do ukrócenia nielegalnej działalności jej poddanych. Kopie pisma wręczono kapitanom cumujących w kantońskim porcie zachodnich statków w nadziei, że któryś z nich dostarczy je adresatce. Z tego co wiadomo, nigdy do niej nie trafiło.

Lin Zexu zażądał od przebywających w mieście cudzoziemców natychmiastowego wydania swoich zapasów opium, a także pisemnego zobowiązania się zarzucenia handlu nim. By wymusić na nich uległość, komisarz nakazał otoczyć faktorie zbrojnym kordonem. Bieg wydarzeń wielce zaniepokoił Charlesa Elliota. Obawiając się, iż w obliczu dalszego oporu wobec jego żądań Lin może zdecydować się na siłowe zarekwirowanie opium, Elliot zaproponował brytyjskim kupcom wydanie zapasów narkotyku, w zamian za co otrzymać mieliby podpisane przezeń weksle zobowiązujące brytyjski rząd do wypłaty okazicielom równowartości utraconego towaru. Kupcy wiedząc, iż podpisane przez Elliota kwity będą stanowić solidną podstawę do dochodzenia swych praw do odszkodowań w angielskich sądach, przystali na propozycję.

Do rąk Lina Zexu trafiło 20 283 skrzyń opium o łącznej wartości 2 mln ówczesnych funtów. Ogrom przejętych zapasów musiał wprawić cesarskiego komisarza w zdumienie. Narkotyk zniszczono, mieszając go z wapnem, a następnie spuszczając do morza. Było go tyle, że cała operacja zajęła trzy tygodnie.

Lin Zexu mógł sobie zatem pogratulować dobrze wykonanej pracy. Nie wiedział, że już wkrótce w odpowiedzi na jego działania u chińskich wybrzeży pojawią się kanonierki Royal Navy, które za pomocą swych armat upokorzą cesarstwo, wymuszając na nim otwarcie na międzynarodowy handel nowych portów i wypłacenie monumentalnego odszkodowania kupcom, których zapasy opium zostały zniszczone. Pierwsza wojna opiumowa będąca efektem antynarkotykowej krucjaty zarządzonej w dobrej wierze przez cesarza Daoguanga, w ostatecznym rozrachunku przynieść miała Państwu Środka więcej szkód niż pożytku. Poniesiona w niej druzgocząca klęska obaliła bowiem mit o niespotykanej potędze cesarstwa i uświadomiła drapieżnym zysków państwom Zachodu, iż król jest nagi, rozpoczynając traumatyczny dla Chińczyków „wiek upokorzeń". ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Marek Kalinowski

Sprawdzone przyjemności, mroczna historia

Lubimy wracać do rzeczy doskonale znanych i przyjemnych, także w muzyce. A cóż może być bardziej przewidywalnego od repertuaru wiedeńskich koncertów noworocznych? Walce, marsze i polki w wykonaniu znakomitej orkiestry pod batutą Christiana Thielemanna, które zaledwie przed miesiącem mogła na żywo podziwiać garstka szczęśliwców, teraz są już dostępne w wersji płytowej.

Transmisja koncertu noworocznego wiedeńskich filharmoników to dla wielu obowiązkowe wydarzenie każdego roku. Choć repertuar jest już w znacznej mierze doskonale znany, to i tak po raz kolejny z radością chłoniemy rozbrzmiewające na bis dźwięki „Marsza Radetzky'ego", z zazdrością przy tym zerkając na klaszczącą w rytm muzyki publiczność, której jakimś cudem udało się znaleźć w Złotej Sali Wiedeńskiego Towarzystwa Muzycznego. Aby dołączyć do publiczności na żywo, chętnych jest tak dużo, że trzeba przejść specjalną procedurę losowania.

Nie chciałbym młodszym słuchaczom zepsuć czystej radości obcowania z radosnymi dźwiękami polek i walców, ale historia wiedeńskich koncertów noworocznych jest znacznie krótsza, niż wielu mogłoby sądzić, i co gorsza na dodatek dość mroczna. Pierwszy koncert odbył się bowiem w wieczór sylwestrowy 1939 roku. Pomysłodawcą najprawdopodobniej był dyrygent i wielbiciel muzyki Straussów Clemens Krauss, a występ miał w swym założeniu podtrzymać na duchu ruszających na front niemieckich żołnierzy. Inicjatywa była też po myśli ministra propagandy III Rzeszy, który wpadł na pomysł, iż uczyni z Wiednia metropolię sztuki. Podczas gdy żołnierze Wehrmachtu usypiali sumienia przy dźwiękach uwertury do „Zemsty nietoperza", władze już zdążyły zadbać, by wśród orkiestry zabrakło muzyków żydowskiego pochodzenia.

Być może warto jednak oderwać wzrok od pełnej przepychu sali Musikverein, a nawet zapomnieć o historii pierwszych koncertów, a skupić się wyłącznie na muzyce. Zaledwie dwa tygodnie po wydarzeniu możemy odsłuchać cały koncert na wydanej płycie CD.

Niewątpliwą siłą wiedeńskich koncertów jest ich powtarzalność, ale nawet w tak przewidywalnym repertuarze znajdą się nieodkryte wcześniej perełki. W tym roku nowości zaś nie zabrakło. Dla tych, którzy śledzą prace filharmoników, zaskoczeniem nie będzie obecność w programie Antona Brucknera, austriackiego kompozytora, którego muzycy uhonorowali na 200. rocznicę urodzin, a którego komplet symfonii wydali zaledwie kilka miesięcy temu.



Wiener Philharmoniker, Christian Thielemann, NEW YEAR'S CONCERT 2024, Sony Classical

Wśród „debiutantów" jest również duński kompozytor Hans Christian Lumbye, niewiele młodszy od Straussa seniora, choć niewątpliwie pozostający pod silnym jego wpływem. Christian Thielemann, dyrygent drezdeńskiej Staatskapelle, w kapitalnym porozumieniu z orkiestrą błyskotliwie prowadzi przez kolejne utwory, co jest niewątpliwie efektem długiej współpracy.

Wiadomo, że w przyszłym roku (okrągłej rocznicy urodzin Straussa) po raz siódmy batutę przejmie wybitny Włoch Riccardo Muti. Gdy w trakcie pandemii przyszło mu prowadzić koncert bez udziału publiczności, wypowiedział słowa, które być może najlepiej nadają sens tym corocznym spotkaniom. „[…] wierzymy w przekazywanie muzyki. Przynosimy radość, nadzieję, braterstwo, miłość. Muzyka nie jest ważna tylko dlatego, że jest rozrywką. Muzyka nie jest tylko zawodem. Muzyka jest misją. I dlatego wykonujemy ten zawód. […] Mój apel do wszystkich rządów, premierów, prezydentów – weźcie pod uwagę kulturę jako najważniejszy element rozwoju społeczeństwa". ■

eprasa.pl 9476ad31f3





Krzysztof Karnkowski

Triumfalny powrót Godzilli

W 2024 roku przypada 70. rocznica powołania do życia przez Toho, japońską wytwórnię filmową, Godzilli – jednej z najbardziej znanych ikon popkultury z Kraju Kwitnącej Wiśni.

eprasa.pl 9476ad31f3

Godzilla" z 1954 roku dała początek serii, na którą do dziś składają się 33 produkcje japońskie, a także produkowane od końca lat 90. amerykańskie blockbustery, korzystające ze stworzonego przez Tomoyukiego Tanakę przerażającego bohatera. Rocznicę japońscy filmowcy uczcili wypuszczeniem monumentalnego dzieła „Godzilla Minus One", będącego znakomitym powrotem do początków serii, a zarazem sukcesem frekwencyjnym, a przy tym artystycznym.

Przywrócenie dawnych proporcji

Pierwsza produkcja o Godzilli była, jak to często dzieje się w przypadku podobnych dzieł, nie tylko spektakularnym jak na swój czas filmem o potworze, lecz także próbą przepracowania atomowej, całkiem jeszcze świeżej traumy. Film na lata stworzył ramy gatunku i wyznaczył obowiązujący w nim kanon, co sprawia, że nawet teraz trudno uznać go za archaiczny. Przerażający stwór jest tu w dużej mierze atrakcyjnym dodatkiem do bardzo poważnych rozważań o konsekwencjach zatrucia środowiska czy odpowiedzialności naukowców. Jeden z głównych bohaterów, dr Serizawa, dysponuje własnego pomysłu bronią, która jest jedyną nadzieją na zniszczenie pustoszącego Japonię potwora. Zdaje sobie jednak sprawę, że jego dzieło może samo okazać się dużo większym utrapieniem dla ludzkości, a jego dylematy wydają się być powtórką rozterek wynalazcy bomby atomowej, Oppenheimera. Atom jest przyczyną wybudzenia archaicznego stworzenia, a kontynuacja prób broni nuklearnej sprawia, że nawet pokonanie Godzilli niemal na pewno będzie tylko chwilowym zwycięstwem.

Po latach w świadomości popkulturowej w dużym stopniu zanikł ten poważny, moralny i intelektualny wymiar serii, która skręciła w stronę historii o walkach już nie ludzi z potworami, a potworów z potworami, a nawet sojuszu ludzi i potworów z kosmitami.

„Godzilla Minus One" przywraca jednak dawne proporcje, nie odbierając przy tym widzowi tego, po co zapewne wybrał się do kina, mając żadne lub mgliste pojęcie o kwestiach opisanych wyżej. Spektakularnych scen zniszczenia mamy tu pod dostatkiem, co więcej, robią one wielkie wrażenie również swoim silnym realizmem. Nawet w klasycznej wersji 2D, w której film trafił do polskich kin. „Godzilla Minus One" nie jest orgią słabiutkich i przedawkowanych tandetnych efektów postprodukcyjnych. Blado i kiczowato wypadają przy niej inne, świeżutkie produkcje, których zapowiedzi oglądamy przed seansem, w bloku kinowych reklam. Dodajmy, że jedna z bardziej dramatycznych scen jest hołdem i współczesnym powtórzeniem fragmentu historii z filmu oryginalnego – ataku potwora na pełen pasażerów pociąg miejskiej kolejki.

Zalety „japońskości" produkcji

„Godzilla Minus One" w reżyserii Takashiego Yamazaki to jednak prequel, nie remake. Oglądamy tu wydarzenia wcześniejsze o kilka lat niż te, które rozgrywają się w klasycznej „Godzilli". Pilot kamikaze Koichi, który nie chce rozstać się z życiem, trafia na wyspę, na której naprawiane są samoloty przeznaczone do misji samobójczych. W nocy jest świadkiem ataku tajemniczego potwora, z którego żywi wychodzą tylko on i jeden z mechaników. Kamikaze wini się za śmierć służących na wyspie i z tym poczuciem winy żyje przez kolejne lata, zakładając specyficzną, powojenną rodzinę w zrujnowanym mieście i podejmując pracę na jednej z szukających min morskich łodzi. I to przez tę służbę ponownie styka się z powracającym potworem, odkrywając, że to do niego należy uratowanie kraju. Tylko w tym zaczyna dostrzegać szansę na zmazanie win wobec zamordowanych na wyspie i hańby własnej dezercji, ucieczki od losu żołnierza-samobójcy. Japonia tymczasem pozostaje w pewnym stopniu bezbronna (ciekawie twórcy prześlizgują się jednak nad przyczynami tego stanu rzeczy) i wszystko pozostaje w rękach byłych żołnierzy i kilku naukowców.

Pogłębione losy i myśli Koichiego czynią z filmu dramat wojenny, co więcej, spektakularne sceny destrukcji przetykane są długimi sekwencjami pokazującymi życie w zniszczonym wojną kraju, emocje panujące wśród cywilów i żołnierzy, wreszcie kryzys wartości po bolesnej, historycznej przegranej. Jest to więc opowieść zaskakująco głęboka, w której widowiskowa, typowa dla superprodukcji dynamika stanowi dopełnienie istotnych rozważań etycznych, moralnych, a dla widza japońskiego również historycznych i politycznych.

Jednak ta „japońskość" nie jest przeszkodą, by zapełniać kina na całym świecie, również w Polsce, w skali przerastającej oczekiwania dystrybutorów i producentów. Dość wspomnieć, że w USA „Godzilla Minus One" po kilku tygodniach od premiery stała się największym sukcesem frekwencyjnym w historii obecności japońskich filmów na tamtejszym rynku. Jeśli sukces ten nie powtórzy się w Polsce, to chyba tylko przez dość skromny rozmach naszego dystrybutora. Miarą sukcesu, choć specyficzną, jest też to, że w licznych oferujących piracki dostęp do azjatyckich produkcji filmowych portalach w ślad za najnowszą „Godzillą" pojawiła się również najstarsza, co pokazuje zainteresowanie tematem. Nie wiem, czy gdy przeczytają Państwo tę recenzję, „Godzilla Minus One" będzie jeszcze grana w kinach. Pojawienie się jej w streamingach będzie jedynie kwestią czasu, jednak w miarę możliwości polecam obejrzenie na wielkim ekranie. Bo i kino udało się z tej siedemdziesięcioletniej serii jeszcze raz wielkie wykrzesać. ■

FOT. MAT. PRAS

eprasa.pl 9476ad31f3

Magdalena Nowak

„Ukraina, gdzie to jest? Dziennik roku wojny”

To książka dla Polaków i Ukraińców, dla młodych i starszych czytelników. Dla wszystkich, którzy na serio traktują własną historię. Szukają prawdy – także tej zapisanej w dziejach zwykłych, lecz nietuzinkowych, pięknych i fascynujących ludzi.



Ewa Polak-Pałkiewicz, „Ukraina, gdzie to jest? Dziennik roku wojny”, Wydawnictwo AA, Kraków 2023

Stawiając tytułowe pytanie, autorka pyta w istocie, czym jest ów „nieznany ląd” wzajemnych polsko-ukraińskich relacji. Splot dziejów ludzi z obu naszych krajów: wielu bied, nieszczęść, ale i zwycięstw, przyjaźni, wspólnych dążeń. Zapomnianych, a istotnych wątków naszej historii. Wiele tego utraciliśmy wśród dziejowych zawirowań, z powodu zaniedbań i błędów z obu stron. Warto dziś pytać, gdzie tkwią przyczyny polsko-ukraińskich dramatów, nieporozumień, animozji, ale i gdzie biją źródła sympatii, bliskości, poczucia wspólnoty.

Książka jest zarazem swoistym dziennikiem czasu wojny, w którym nie ma opisów walk, zwycięstw czy porażek, a przywoływane wydarzenia stają się pretekstem, by spojrzeć na historię bardziej wnikliwie. Kolejne teksty odsłaniają mało nam znane oblicze ukrainnej ziemi i jej mieszkańców. Przypominają twórców i artystów pochodzących z Ukrainy albo z tą ziemią związanych. Stanowią próbę zrozumienia ukraińskiej duszy, która dziś musi stawać do walki nie tylko z wrogiem zewnętrznym.

Bohaterami tego zbioru esejów, reportaży i felietonów są m.in.: hetman Konaszewicz-Sahajdaczny, unicki męczennik Jozafat Kuncewicz, ks. Piotr Skarga, poeta Taras Szewczenko, malarz Illia Riepin, a także pisarze, historycy, poeci ukazujący sedno dramatu dziejów Ukrainy, na przekór mitom, płyciźnie i niedomówieniom: Oksana Zabużko, Władysław Wielhorski, Feliks Koneczny, Adam Mickiewicz.

Wszystko to wpisane jest w opowieść o nas, Polakach, którzy w toczącej się tuż „za miedzą” wojnie okazali serce, umysł, refleks, wyobraźnię na miarę największych bohaterów naszej historii. Także historii Europy.

Jan Józef Kasprzyk: „Praca stanowi ciekawy głos wśród naszych niekończących się rozmów i dyskusji o stosunkach polsko-ukraińskich, które niemożliwe są bez wglądu w politykę imperialną Rosji. Uważna lektura książki budzi, czy też potwierdza w czytelniku przekonanie, że polityka musi być oparta na głębokiej moralności wywodzącej się z naszej chrześcijańskiej wiary”.

Jerzy Binkowski: „Apoteoza bohaterstwa, braterstwa i wierności Bogu. Ewa Polak-Pałkiewicz ma w sobie ogień posłannictwa. W najnowszej książce – »Ukraina, gdzie to jest? Dziennik roku wojny« – podjęła się trudnego zadania. Jest misjonarką powrotu Ukrainy i Polski do źródeł siostrzanej wspólnoty”. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Małgorzata Matuszak

Czym jest... wyobraźnia

Gdy próbujemy zdefiniować wyobraźnię, staje się ona pojęciem dość tajemniczym. Może nawet równie zagadkowym, jak czas, o którym św. Augustyn mówił, że rozumiemy go nie myśląc, czym jest, ale gdy próbujemy go zdefiniować, jego pojęcie nam umyka. Dzieje się tak pewnie dlatego, że wyobraźnia wydaje się być najbardziej oczywistą umiejętnością człowieka. Wyobraźnia w pewien sposób łączy się z rozumieniem i poznaniem, a z drugiej strony, przejawiając też jako fantazja, może wskazywać na zdolność do tworzenia narracji opartej na fikcji.

Rzec można, że wyobraźnia jest pewną ludzką zdolnością polegającą na tworzeniu wewnętrznych przedstawień rzeczywistości, która istniała, a nawet takiej, której nie było; wtedy wyobraźnię można nazwać imaginacją. Imaginacja to tworzenie wyobrażeń ludzi, zdarzeń, zjawisk, które nigdy nie istniały w rzeczywistości, a nawet takich, które nie mogłyby zaistnieć. Wyobraźnia może więc dotyczyć świata, a może być całkiem od niego oderwana. Wydaje się, że wyobraźnia nie ma granic czy że jedyną jej granicą jest obraz, tworzenie obrazów wewnętrznych wydaje się być bowiem – jak sama nazwa wskazuje – istotą wyobraźni. Jest to więc jakaś forma wewnętrznego widzenia: widzenia tego, co jest, jak i tego, czego nie ma, a co zostało w pełni wytworzone przez umysł. Natura wyobraźni polega więc na tworzeniu przedstawień, które mogą odnosić się do świata, ale nie muszą.

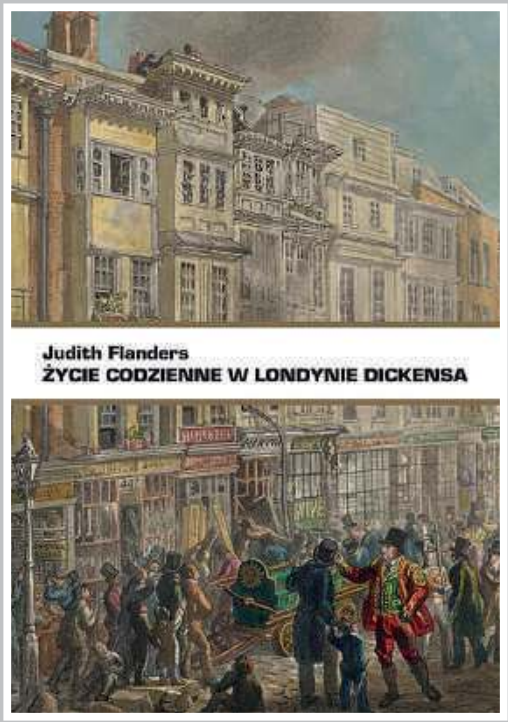
Namysł nad wyobraźnią był podejmowany na polu sztuki i estetyki czy epistemologii, łączy się ona bowiem zarówno z działaniem poznawczym, jak i z działaniem artystycznym. Na gruncie sztuki wyobraźnia, poprzedzająca akt kreacji, wydaje się być tym czynnikiem, który warunkuje powstanie dzieła. Zamysł twórczy na ogół istnieje wszak najpierw w wyobraźni artysty, nim zostaje przetworzony w materialny kształt. W epistemologii zaś pojęcie wyobraźni było używane w sposób złożony. Ważną rolę odgrywa wyobraźnia w filozofii Immanuela Kanta, który uznał ją za jedną – obok intelektu i zmysłowości – z władz poznawczych, widząc w niej nawet „mroczny i nieokreślony korzeń", z którego pozostałe władze wyrastają i mogą być tym, czym są, właśnie za jej sprawą. Później wyobraźnia uznana została przez Kanta za władzę intelektu.

Wyobraźnia odgrywa również dużą rolę w etyce i namyśle nad działaniem praktycznym. To dzięki wyobraźni przecież możemy unaocznić sobie w jakiejś mierze świat drugiego człowieka. Istnieje w nas również, obok wyobraźni służącej rozumieniu rzeczywistości i tworzeniu jej przedstawień, „wyobraźnia serca", którą możemy określić jako empatię, czyli zdolność do wyobrażenia sobie tego, że drugi człowiek przeżywa te same uczucia, które i my przeżywamy. To zaś, że czujemy się nawzajem, pozwala nam być w ludzkim świecie i czerpać ze wspólnego życia z innymi radość. Wyobraźnia pozwala nam także przewidywać konsekwencje naszych czynów przez rozpatrywanie możliwych scenariuszy przebiegu wydarzeń. Wydaje się, że taki pragmatyczny wymiar wyobraźni chroni nas – mniej lub bardziej skutecznie – przed porażkami i niebraniem pod uwagę konsekwencji własnych działań. Mówimy przecież czasem: „nie wyobrażałem sobie, że tak będzie", co znaczy tu: nie przewidziałem, że tak się może stać.

> Nie wiemy może, czym dokładnie wyobraźnia jest, ale wiemy, że może ona przełamywać granice naszego istnienia i że bez niej człowiek nie byłby w pełni tym, kim jest.

Wyobraźnia służy nam przede wszystkim do uobecniania tego, czego nie ma, bo już było, i tego, czego nie ma, ale może zaistnieć w przyszłości. Jest formą transcendowania naszej aktualnej rzeczywistości, sposobem jej rozumienia, i kreacji nowej rzeczywistości, projektowaniem przyszłości. Bez wcześniejszego zaistnienia w naszej wyobraźni wiele wszak z naszych pomysłów nie doszłoby nigdy do skutku. Ludzkie pragnienie latania na podobieństwo ptaków najpierw powstało w wyobraźni, wcielając się w los Ikara, potem zrodziło pomysł stworzenia pierwszych latających maszyn. Nie wiemy może, czym dokładnie wyobraźnia jest, ale wiemy, że może ona przełamywać granice naszego istnienia i że bez niej człowiek nie byłby w pełni tym, kim jest. ■

eprasa.pl 9476ad31f3



Judith Flanders, „Życie codzienne w Londynie Dickensa”,
tłum. Tomasz Fiedorek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Krzysztof Wołodźko



To bogaci i biedni. Londyn w czasach Dickensa

Ludzie, obyczaje, przedmioty, sytuacje – Charles Dickens ocalił w swoich książkach świat, który czas dawno przegnał precz. Pisarz znał Londyn, stolicę Imperium Brytyjskiego, jak własną kieszeń, poznał miasto „z dorożkarską dokładnością”, długimi latami wędrował, włóczył się po jego ulicach. Był dziennikarzem i reporterem, często zmieniał londyńskie adresy zamieszkania. Londyńska spacerologia sprawiła, że nic nie mogło umknąć jego oku.

eprasa.pl 9476ad31f3

Nie potrafię wyobrazić sobie oczytanej osoby, która nie zna choćby jednej powieści Charlesa Dickensa. Nie umiem wyobrazić sobie nikogo, kto – świadomie korzystając z popkulturowego imaginarium – nie znałby choćby jednej z jego opowieści. Choćby przeniesionej na duży ekran. „Klub Pickwicka" przeczytałem po raz pierwszy jako dwunastolatek. Jako dziecko chowałem głowę pod poduszkę, gdy najstraszniejszy z duchów odwiedził Ebenezera Scrooge'a (to najpewniej była ekranizacja „Opowieści wigilijnej" z 1970 roku, w reżyserii Ronalda Neame'a). Znacznie później odkryłem z prawdziwą fascynacją jedną z najmniej chyba u nas znanych jego książek, czyli „Opowieść o dwóch miastach". W czasach PRL nie była to powieść zbyt często przywoływana – jej obraz rewolucji francuskiej nie pasował do ówczesnych paradygmatów.

Za pan brat ze splendorem i zaułkami Londynu

Charles Dickens wielu pokoleniom opowiedział XIX-wieczny Londyn, Anglię, Imperium Brytyjskie. Pokazywał sytych, poczciwych i strasznych mieszczan; chciwych nowobogackich, szalbierzy – kancelistów; lekkomyślnych utracjuszy; damy zimne i nadto egzaltowane; żony gotowe uchylić rodzinom nieba; zrozpaczonych ubogich, pokrzywdzone dzieci; łajdaków posyłających chętnie bliźnich do więzienia za długi; głupców, którzy dali się tam posłać, bo nadto ukochali lekkomyślne życie. Dickens to grube tomiszcza pełne ludzkich typów, osobowości, charakterów. I krytyka kapitalizmu, skupiona raczej na potępianiu jego nadto wyraźnych w czasach Dickensa wad niźli żądająca jego obalenia. Nie byłoby tego wszystkiego bez kronikarskiego, reporterskiego talentu pisarza. Jego zmysł obserwacji, skrupulatności w opisach, daru oddawania szczegółów.

Otwórzmy „Klub Pickwicka". Oto Samuel Pickwick, niezrównany znawca natury ludzkiej, badacz stawów hampsteadzkich („który poruszył cały świat uczoną swoją teorią o żabim skoku") wraz z niezawodnymi przyjaciółmi, Tracym Tupmanem i Augustem Snodgrassem, rusza w jedną z wielu podróży: „[Ranek] był mglisty, ponury, deszcz mżył. Konie dyliżansu, który powrócił z City, otaczała taka para, że nie było poza nią widać pasażerów na zewnątrz pojazdu. Roznosiciele dzienników byli przemoknięci i czuć było od nich stęchlizną. Deszcz spływał po kapeluszach sprzedawców pomarańcz, którzy wsuwając głowy do wnętrza dyliżansów, skrapiali siedzących tam w sposób bardzo orzeźwiający. Żydzi zamykali z rozpaczą scyzoryki o pięćdziesięciu ostrzach. Sprzedający przedmioty kieszonkowe trzymali je rzeczywiście w kieszeniach. Ochraniacze na zegarki i widelce do smażenia grzanek sprzedawano za bezcen, a pugilares i gąbki oddawano za byle co".

Ludzie, obyczaje, przedmioty, sytuacje – Dickens ocalił w swoich książkach świat, który czas dawno przegnał precz. Pisarz znał Londyn, stolicę Imperium, jak własną kieszeń, znał miasto „z dorożkarską dokładnością", długimi latami wędrował, włóczył się po jego ulicach. Był dziennikarzem i reporterem, kilkadziesiąt razy zmieniał londyńskie adresy zamieszkania. Jego londyńska spacerologia sprawiła, że nic nie mogło umknąć jego oku; był za pan brat z zaułkami, rynsztokami i najpiękniejszymi, najczcigodniejszymi przybytkami miasta. Literatura, którą stworzył, udźwignęła ciężar materii i ludzkich losów – to również jest miarą jej wielkości. Wielu parało się podobnym zajęciem – Henry Mayhew w głośnej książce „Londyński świat pracy i londyńska biedota" opisał XIX-wieczne piekło ubogich i harujących. Ale opowieść, wielką opowieść, stworzył właśnie autor „Davida Copperfielda".

Życie splecione z powieścią

„Życie codzienne w Londynie Dickensa" Judith Flanders to książka o mieście, które stało się teatrem losów jednego z najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Londyn Dickensa nie jest jedyne stolicą wiktoriańskiego świata. Pisarz urodził się w 1812 roku za panowania Jerzego III, przeżył rządy Jerzego IV, zmarł w 1870 roku, niemal w połowie epoki wiktoriańskiej. Słychać to również w jego książkach: „pod koniec »Oliviera Twista« ścigający Billa Sikesa policjanci żądają otwarcia drzwi »w imieniu króla«". Flanders przypomina: „Życiorys Dickensa – i Londyn Dickensa – nie był zatem czysto wiktoriański, ale niczym w soczewce skupia się w nim cały proces transformacji, jaką przeszła stolica Wielkiej Brytanii w XIX wieku. Jego Londyn był początkowo miastem wątpliwej reputacji, miastem przepychu z okresu regencji, a później wczesnowiktoriańskiej sumienności i staranności, ekspansjonizmu i postępu technologicznego".

Dobrze wiemy, jak trudno ocalić także we własnej pamięci świat, który zmienia się w mgnieniu oka – po latach i dekadach nie zawsze rozpoznajemy miejsca z czasów własnej młodości. Dickens wydobyte z pamięci szczegóły wplatał w fabułę swoich powieści: „na łamach tygodnika »Household Words« wspominał kobietę, którą widywał w dzieciństwie, błąkającą się po Berners Street. Podobno straciła rozum po tym, jak porzucił ją narzeczony i od tamtej pory stale chodziła po ulicach Londynu w sukni ślubnej – stała się pierwowzorem dla postaci panny Havisham z »Wielkich nadziei«". A przy okazji: ostrożnie z disneyowską adaptacją tej powieści z 2023 roku – niezbyt jest wier-

eprasa.pl 9476ad31f3

na pierwowzorowi. Serialowe interpretacje powieści Dickensa (to już norma w przypadku streamingowej popkultury) stają się coraz swobodniejsze – tak jest również z imponującą rozmachem adaptacją „Opowieści wigilijnej" BBC One (2019 rok).

Miasto kancelistów i „nieszczęśnic"

Czy zastanawiali się Państwo kiedyś, dlaczego w „Opowieści wigilijnej" dzieci kancelisty Scrooga, czyli Boba Cratchita, cieszą się, „opowiadając głośno, że spoza drzwi piekarza doszedł ich zapach pieczonej gęsi i że wiedzą, iż ta gęś do nich należy"? Flanders przypomina, że „obecnie jedzenie poza domem jest droższe niż gotowanie w domu, ale w XIX wieku było dokładnie odwrotnie". Odbijało się to szczególnie na sytuacji mniej zamożnych: „Brak miejsca na przechowywanie jedzenia, wszechobecne robactwo i fakt, że z powodu ceny kupowano żywność tylko w znikomych ilościach powodowały, że [w domu] nie przechowywano żadnych artykułów żywnościowych, nawet herbaty". Piekarze odpłatnie użyczali miejsca klientom. I obsługiwali tłumy, które w drodze z pracy i do pracy jadły i piły: w połowie XIX wieku szacowano, że codziennie 200 tysięcy osób chodziło pieszo do City, „w roku 1866 ta liczba wynosiła już prawie trzy czwarte miliona".

W dzień ulice Londynu należą do zapracowanych przechodniów, robotników i kancelistów, spacerujących klas wyższych i dobrze żyjących z nich piekarzy; straganiarzy i domokrążców; w nocy – do sprzedawców kawy, ich klientów i klientek. Jeden z londyńskich reporterów spędził noc przy straganie z kawą w znanej i dziś dzielnicy Islington. Po gorący napój sięgali dorożkarze i prostytutki, nazywane wówczas „unfortunate" („nieszczęśnice"). Kawą krzepił się niewidomy chłopiec, śpiewający po pubach; podchmieleni dżentelmeni, szukający wytrzeźwienia i szykujący się do pracy kominiarze; żebracy i bezdomni; robotnicy najemni, którzy bez skutku całymi dniami szukali pracy; poganiacze bydła; a nad ranem zaczęło przybywać zmierzających do pracy robotników.

Biedni, czyli „pijani i leniwi"

Londyn Dickensa to miasto ekonomiczno-kulturowych sprzeczności. W początkach XIX wieku przeludnione dzielnice biedy określano terminem „rookery" („gawroniarnia"), a nie „slumsy". Źródłosłów dobrze oddaje językowe nawyki warstw wyższych: gawrony to po angielsku „rooks", a słowo „gawronić" („to rook") oznaczało „oszukiwać, wyłudzać". Wielka dziewiętnastowieczna migracja ze wsi do miasta zaowocowała na Wyspach radykalnym i bezdusznym zaostrzeniem starych praw o ubogich (Poor Laws), ale też zdecydowanie negatywną zmianą nastawienia do biedoty: „Jeszcze na początku XIX wieku generalnie akceptowano biedaków, uznając, iż niektórzy z nich są dobrzy, niektórzy źli, niektórzy leniwi, a niektórzy ciężko pracują – tak samo jak ludzie zamożni".

Gdy z czasem industrializacja pozbawiła wieś pracy, Londyn stał się przystanią wędrujących za chlebem wieśniaków (nie używam tego słowa pejoratywnie): „W latach trzydziestych XIX wieku gwałtowne tempo rozwoju miasta, rosnąca liczba ludności i nierówności dochodów, trzeszcząca w szwach infrastruktura i rozwój protestanckiej moralności przyczyniły się […] do wytworzenia powszechnego przekonania, iż biedacy byli biedni nie z powodu nieszczęścia lub zbyt niskich zarobków, ale dlatego, że byli pijani i leniwi, zapewne niemoralni i rozwiązli, a na dodatek niewątpliwie byli łajdakami i złodziejami".

Klasowe uprzedzenia nie były obce także Dickensowi – choć współczuł losowi biednych. Jego „Olivier Twist", którego dziś czytamy jako chwytającą za serce opowieść o nieszczęśliwym i ubogim dzieciństwie, była w rzeczywistości zdecydowanym J'accuse! wobec XIX-wiecznych praw ubogich z ich najstraszliwszymi instytucjami, jak domy zarobkowe. Walczył równocześnie – podobnie jak wiele dekad po nim George Orwell – z typowymi dla swojej epoki przesądami bogatych na temat biednych. Judith Flanders pisze na przykład: „Pewien dziennikarz, zwiedzający w połowie lat sześćdziesiątych XIX wieku slumsy Bermondsey, usłyszał od jednego z tamtejszych właścicieli domów, iż biedni tak naprawdę »lubią brud i nie używaliby wody, nawet gdyby mieli ją w kranach w każdej izbie«". Jak widzimy, znany nam dobrze z polskiego podwórka typ liberalnego mądrali, który z troski o własną kieszeń ciska gromy na mniej zamożnych, w Londynie czasów Dickensa miał się jeszcze lepiej.

Dickens w więzieniu

Domy zarobkowe dla ubogich, które znajdziemy także na kartach „Opowieści wigilijnej", z ich programową nędzą i opresją, niewiele wówczas ustępowały angielskim zakładom penitencjarnym, w tym ponad dwudziestu więzieniom w samej stolicy Imperium. Najsłynniejsze londyńskie więzienie dla dłużników mieściło się pod Fleet Market 9. Trafiali tam ludzie, którzy nie mogli spłacić zaciągniętych pożyczek. Ale i tam dzielili się na bogatszych i biedniejszych – co znakomicie zostało opisane w „Klubie Pickwicka". Dłużnicy często trafiali najpierw do tzw. wyżymaczki („sponging house"), były to placówki, gdzie pod nadzorem komorników mieli ostatnią szansę, by uczynić zadość wierzycielom. Z jednej z takich „wyżymaczek" Dickens musiał wyciągać swojego ojca, Johna, który więzienie za długi poznał od podszewki.

eprasa.pl 9476ad31f3

Pisarz jako dwunastoletnie dziecko także poznał smak więzienia – z zadłużonym ojcem, matką i rodzeństwem krótko przebywał w Marshalsea przy Borough High Street na południowym brzegu Tamizy. Nigdy nie zapomniał tej lekcji życia: w Marshalsea „przebywało ponad 150 więźniów, którym mogła towarzyszyć dowolna liczba członków ich rodzin, niedysponujących pieniędzmi potrzebnymi na to, aby zamieszkać gdziekolwiek indziej – tak było z panią Dickens i jej małymi dziećmi. Mieli do dyspozycji jedną pompę uliczną, jeden zbiornik na wodę do picia i mycia oraz dwa wychodki. Dziedziniec tonął w pomyjach, otwarte studzienki kanalizacyjne były »zatkane i cuchnące«, rów, do którego zrzucano śmieci i popiół, także cuchnął, chociaż nie tak bardzo jak wychodki. Te ostatnie opróżniano bowiem tylko raz na dwa miesiące, a ich smród przedostawał się do kuchni".

Warto jednak pamiętać, że Londyn chwalił się swoimi więzieniami – trafiały do ówczesnych przewodników turystycznych i popularnych tygodników jako godne zwiedzenia i dobrodziejstwa nowoczesności. W „Wielkich nadziejach" marzący o przyszłości godnej dżentelmena Pip w czasie pierwszej wizyty w Londynie staje zdumiony widokiem więzienia Newgate. Rezygnuje z zakupu wejściówki na proces sądowy, ale życzliwy pracownik aresztu pokazuje mu szubienicę, pręgierz i Wrota Dłużnika, które wiodły skazańców na miejsce stracenia.

Poradnik dla młodych dziewcząt ze wsi

Londyn Dickensa nie stronił od nocnych rozrywek. Nie tylko lud uwielbiał walki zwierząt. Urządzano walki kogutów, a psy gryzły się nie tylko między sobą – szczuto je na szczury, borsuki, byki i niedźwiedzie. Była to męska rozrywka, połączona z hazardem, ale świadectwa historyczne wskazują, że organizowały je również kobiety. Znane są także adresy: między gmachem parlamentu a więzieniem Millbank, piwnice w Whitechapel, okolice mostu Blackfriars, Westminster Pil, pub Graham Street przy skrzyżowaniu City Road, źródła mówią też o polach i nieużytkach wokół Londynu. Była to arcyegalitarna „rozrywka": „widownię tworzyła […] mieszanka młodzieńców z dobrych domów, straganiarzy, żołnierzy i sklepikarzy".

Rozrywkom towarzyszyło picie. W wydanej w 1840 roku książce „Rady dla bywalców salonów" anonimowy autor, przedstawiający się jako dawny student medycyny, doradzał młodym mężczyznom, aby nie zapominali o zakąszaniu, pili wino jednego gatunku i nie awanturowali się w trakcie zabawy. Odradzał także śpiewanie (dzisiejsza angielska młodzież najwyraźniej nie zna tej książki, oceniając po nocnym Krakowie).

Autor trzeźwo zauważał, że „każdy bywalec salonów może znaleźć się w sytuacjach, z których jest prawie niemożliwe wyjść całkowicie trzeźwym". Nie brakowało również tytułów, wskazujących na zagrożenia dla młodych kobiet: choćby wydana również w 1840 roku książka „Służąca w Londynie: ukazanie zagrożeń, na jakie są narażone młode dziewczęta ze wsi". Autor odradzał młodym kobietom sale barowe dla ludzi pracy, służących na posadach, woźniców dyliżansów, konduktorów omnibusów. Nie polecał im również czekania na piwo do kolacji w towarzystwie praczek, przekupek, „krzykliwie ubranych kurtyzan" i „smutnych ulicznic". Zapewniał, że bezpieczniejsze są puby zakładane przez ludzi służących wcześniej w domach dżentelmenów, gdzie gromadzi się „najmilsze towarzystwo" i rozmawia się „o polityce, najnowszych wieściach, doniesieniach parafialnych i tym podobnych". Nie dowiemy się już, jak często prowincjonalne czytelniczki, które trafiły na służbę do londyńskich domów, bywały zwiedzione tymi przestrogami i rozczarowane dobrymi radami. Zupełnie inne książki wydawano dla mężczyzn, na przykład przewodnik „Nauczyciel kmiotka, czyli jeszcze więcej hulanek w Londynie! Będący rzeczywistym i ciekawym ukazaniem wszystkich psot i sprawek domów uciech w tej wielkiej metropolii".

Śpiewy, tańce i przemoc

Warto pamiętać, że puby w Londynie Dickensa nie były jedynie miejscami, gdzie się jadło i piło. W jego powieściach – zgodnie z realiami epoki – pub to miejsce powszechnych tańców i śpiewów, które w tamtych czasach nazywano spotkaniami harmonicznymi („harmonic meetings") i swobodnymi („free-and-easies"). Były to męskie spotkania, często gromadzące ludzi różnych warstw społecznych i zawodów, zjednoczonych zabawą, piwem, ginem, grogiem, cygarem, pokazami świateł i odrobiną damskiej golizny. Niekiedy kończyły się strasznie – przemocą w ciemnych londyńskich zaułkach, które tak przejmująco opisał Dan Simmons w powieści „Drood", której głównym bohaterem jest zresztą Dickens i odczytana w stylistyce horroru tajemnica jego ostatniej, niedokończonej powieści „Tajemnica Edwina Drooda".

Londyn Dickensa pokazany przez Judith Flanders jest przede wszystkim miastem biedoty, drobnych handlarzy i kupców, kancelistów i niższej klasy średniej. Dżentelmeni i arystokraci pokazani są w niej jako ci, którzy z jednej strony ustalają normy, z drugiej chętnie sięgają po rozrywki, które lud spychają na ogół ku nędzy. Szeroka panorama, rzeczowość opisów, równowagami między ogółem i szczegółem posłuży także tym, których mniej interesuje twórczość Dickensa, a więcej – żywo ukazana historia, obyczajowość, cywilizacyjne przemiany XIX-wiecznego Londynu. ■

eprasa.pl 9476ad31f3



Hanna Shen

Tajwan postawił na kontynuację i obronę suwerenności

eprasa.pl 9476ad31f3



Pekin próbował przedstawić wybory na Tajwanie jako wskazanie na wojnę lub pokój. Tajwańczycy nie kupili tej fałszywej narracji. Rozumieli, że głosując w wyborach prezydenckich, odpowiadają na pytanie, kto lepiej obroni ich dobrze prosperującą demokrację, ich suwerenność.

FOT. RITCHIE B. TONGO/PAP/EPA

Odbywające się 13 stycznia na Tajwanie wybory prezydenckie i parlamentarne śledził cały świat. W momencie, gdy Tajwańczycy szli do urn, USA, by nie dopuścić do żadnej prowokacji ze strony Chin, rozmieściły niedaleko wyspy dwa lotniskowce. Na wschód od Tajwanu znajdował się USS „Carl Vinson", a na północ w jednym z japońskich portów cumował USS „Ronald Reagan".

Dlaczego świat śledził wybory na Tajwanie?

Na wyspie tego dnia było aż 400 przedstawicieli mediów zagranicznych przyglądających się temu, jakiego wyboru dokonają Tajwańczycy – czy postawią na zbliżenie z Chinami, czy zacieśnianie relacji z USA i jego sojusznikami. A owo zbliżenie z ChRL oznaczałoby tak naprawdę wchłonięcie wyspy. Konsekwencje tego odczułby cały świat z kilku powodów. Tajwan to półprzewodnikowy gigant. To z wyspy pochodzi ponad 60 proc. światowej produkcji wszystkich chipów i około 90 proc. tych najbardziej wyrafinowanych. Gadżety, które są podstawowymi narzędziami w naszym współczesnym życiu, od telefonów po samochody i maszyny przemysłowe, są napędzane tajwańskimi chipami. Gdyby tajwańskie fabryki „nowej ropy przemysłu", jak dziś określa się półprzewodniki, trafiły pod nadzór komunistycznych Chin, oznaczałoby to nie tylko kontrolę Pekinu nad światową produkcją chipów, lecz także nad światową gospodarką. Dałoby to także Komunistycznej Partii Chin mocne narzędzie globalnej kontroli politycznej, bo Pekin często próbuje wpłynąć na politykę innych państw stosując przymus gospodarczy.

Tajwan w chińskich rękach oznacza także kontrolę Pekinu nad Cieśniną Tajwańską, czyli nad jednym z najbardziej ruchliwych szlaków transportowych. To tędy z Chin, Japonii, Korei Południowej i Tajwanu płyną statki do portów zachodnich, przewożąc towary z azjatyckich centrów produkcji na rynki w Europie, USA i do wszystkich miejsc pomiędzy nimi. Według danych zebranych przez Bloomberg, prawie połowa światowej floty kontenerowej i aż 88 proc. największych na świecie statków pod względem tonażu przepłynęła w 2022 roku właśnie tą drogą wodną. Chińska dominacja w Cieśninie Tajwańskiej byłaby więc potężnym uderzeniem w światowe łańcuchy dostaw.

Ale zdobycie Tajwanu przez ChRL byłoby ważnym elementem budowy nowego porządku światowego, nad czym wspólnie teraz pracują Pekin i Moskwa. W ubiegłym roku prezydent Chin Xi Jinping spotkał się aż dwukrotnie z Putinem. Za każdym razem Xi mówił o „nadchodzącej zmianie, której nie było od 100 lat" i której Pekin i Moskwa są „motorem". Cho-

eprasa.pl 9476ad31f3

dzi oczywiście o budowę antyzachodniego bloku, który zachwieje fundamentami obecnego porządku międzynarodowego.

Panowanie ChRL nad Tajwanem byłoby końcem potęgi USA w Indo-Pacyfiku. Większość państw w regionie dostosowałaby się do nowego hegemona i jego wymogów. Wyparcie USA z regionu oznaczałoby zmianę, którą odczułaby także Europa, bo Indo-Pacyfik jest odpowiedzialny za 60 proc. światowego PKB. Jest to drugi co do wielkości kierunek unijnego eksportu i lokalizacja czterech z dziesięciu największych partnerów handlowych UE. Około 40 proc. handlu zagranicznego UE przechodzi przez Morze Południowochińskie. Osłabione USA i jeszcze bardziej osłabiona Europa to byłby odpowiedni moment dla Putina, by sięgnąć już poza Ukrainę, by uderzyć w NATO. Na Tajwanie komentatorzy polityczni często mówią, że w momencie, gdy Xi Jinping wyciągnie ręce po Tajwan, Putin zaatakuje albo kraje bałtyckie, albo Polskę.

„Nie chcemy być drugim Hongkongiem"

Na miesiąc przed wyborami na Tajwanie, rozpoczął się w Hongkongu kolejny proces 76-letniego Jimmy'ego Laia, wydawcy, dziennikarza, katolika i antykomunisty. Tym razem Lai, który jest więziony od końca 2020 roku, oskarżony został na mocy narzuconej Hongkongowi przez Pekin Ustawy o bezpieczeństwie narodowym o „branie udziału w spisku i zmowie z siłami obcymi". Grozi mu dożywocie, a dowodami w jego sprawie mają być m.in. artykuły, które ukazały się w 2019 roku w jego gazecie „Apple Daily", i publiczne spotkania Laia m.in. z ówczesnymi ważnymi politykami w USA: wiceprezydentem Mike'em Pencem i sekretarzem stanu Mike'em Pompeo.

Jeszcze 20 czy 30 lat temu Hongkong był podziwiany przez Tajwańczyków za wolność, jaką się cieszył. Dziś pod rządami komunistycznych Chin to kiedyś najbardziej otwarte miasto Azji przypomina więzienie i jest lekcją dla Tajwanu, co oznacza zbliżenie z ChRL. Pekin obiecał Hongkongowi na mocy umowy międzynarodowej, że ten do 2047 roku będzie cieszyć się autonomią, ale w ostatnich latach Xi Jinping skruszył tam wszelkie swobody. Perła Orientu pozbawiona została już wolności wypowiedzi, prasy czy zgromadzeń, czyli wszystkiego tego, czym dziś cieszą się Tajwańczycy.

Pekin chciał przedstawić wybory na Tajwanie jako wybór pomiędzy wojną a pokojem. Wskazanie na kandydata odpowiadającego Pekinowi miałoby oznaczać pokój. Podczas kampanii wyborczej na wyspie często można było usłyszeć zdanie: „Nie chcemy być drugim Hongkongiem". Tajwańczycy nie kupili fałszywej narracji Pekinu. Dla nich nie był to wybór pomiędzy wojną a pokojem, a konieczność odpowiedzi na pytanie, kto z kandydatów lepiej ochroni to, co zbudowali w ostatnich 30 latach[1], tj. dobrze prosperujące państwo i demokrację, czyli suwerenność.

Kontynuacja odpowiedzią na zagrożenia

W trakcie kampanii wyborczej chińska dezinformacja mocno atakowała sojusz Tajwanu z Waszyngtonem. Próbowano podważyć zaufanie do USA i przedstawić wyspę jako pionek, który ma być wykorzystywany przez Amerykę. Za pomocą TikToka KPCh chciała przekonać młodych Tajwańczyków, że służba w wojsku to niepotrzebne poświęcenie swojej przyszłości.

W tej wojnie informacyjnej Tajwańczycy zdecydowanie wygrali. Uznali, że w obliczu prawdziwego zagrożenia, jakim są Chiny, ważna jest kontynuacja. 13 stycznia Tajwańczycy wybrali na swojego prezydenta kandydata rządzącej partii Demokratycznej Partii Postępu (DPP) i obecnego wiceprezydenta Tajwanu 64-letniego Williama Laia (Lai Ching-te), który opowiada się za dywersyfikacją relacji gospodarczych i zmniejszeniem zależności od Chin. Lai będzie kontynuować politykę prezydent Tsai Ing-wen polegającą na zwiększaniu zdolności obronnych Tajwanu i wzmacnianiu relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Kandydat DPP otrzymał 40 proc. głosów. Po raz pierwszy w historii Tajwanu rządząca partia po raz trzeci z rzędu sięgnęła po stanowisko prezydenta. Rywale Willliama Laia – kandydat Kuomintangu (KMT) Hou Yu-ih i kandydat Tajwańskiej Partii Ludowej (TPP) Ko Wen-je, którzy w kampanii postulowali zbliżenie z Pekinem – otrzymali odpowiednio 33,4 proc. i 26,4 proc. głosów.

W wyborach parlamentarnych DPP straciła większość w liczącym 113 miejsc parlamencie i zapewniła sobie 51 mandatów. KMT ma o jeden mandat więcej. TPP otrzymał 8 mandatów, a niezależni 2 mandaty. Na Tajwanie rząd wyznacza prezydent, a więc w parlamencie nowy rząd DPP będzie musiał zabiegać o współpracę z innymi partiami m.in. przy ustalaniu wydatków na obronę.

Zaraz po ogłoszeniu wyników Lai, którego Pekin określa jako „separatystę" i „wichrzyciela", zapowiedział, że poza kontynuacją budowy sojuszu z USA i obronności szczególną uwagę poświęci takim kwestiom, jak dostępność do tanich mieszkań i nierówności gospodarcze. To brak rozwiązania tych problemów w ostatnich latach spowodował, że jego partia nie utrzymała większości w parlamencie.

[1] Pierwsze wolne i bezpośrednie wybory prezydenckie na Tajwanie odbyły się w 1996 roku.

eprasa.pl 9476ad31f3

Co oznacza wybór Tajwańczyków?

Wybór Tajwańczyków oznacza kontynuację w napiętych relacjach z komunistycznymi Chinami, które widzą wyspę jako swoją zbuntowaną prowincję. Nadal więc wokół wyspy będą pojawiać się chińskie samoloty wojskowe i okręty wojenne. Czy Xi Jinping uderzy w najbliższym czasie w wyspę? Raczej nie. Jeszcze przez kilka następnych lat Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza nie będzie gotowa do takiego ataku. To oznacza, że Pekin nie zrezygnuje z planów zdobycia wyspy poprzez wpływanie na jej politykę wewnętrzną i pomoc w wygrywaniu wyborów przez polityków prochińskich.

Na razie przed atakiem powstrzymywać mogą też Xi Jinpinga problemy wewnątrz Chin. Musi on teraz stawić czoła pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Państwo Środka boryka się aktualnie z wysokim bezrobociem wśród młodych (ponad 40 proc.), załamaniem na rynku nieruchomości, kryzysem bankowym oraz kryzysem zadłużenia samorządów lokalnych. Także sytuacja polityczna jest bardzo niestabilna, albowiem narasta niezadowolenie w partii i w wojsku ze sposobu i efektów rządzenia Xi Jinpinga. I tak na przykład tuż przed wyborami na Tajwanie pojawiły się informacje o aresztowaniu w Chinach Liu He, byłego wicepremiera, którego Xi Jinping wysyłał na najtrudniejsze rozmowy do USA, gdy prezydentem był Trump. Liu był zaufanym człowiekiem Xi, ale zaczął krytykować jego politykę. Miał też prowadzić rozmowy z gen. Liu Yuanem, synem byłego prezydenta ChRL Liu Shaoqi, jak powstrzymać Xi Jinpinga, co Xi odebrał jako próbę spisku.

Chiny nadal będą próbować izolować Tajwan na arenie międzynarodowej, co zobaczyliśmy zaraz po wyborach. 15 stycznia Nauru, wyspiarskie państwo położone w Mikronezji, zerwało relacje z Tajwanem. Stało się tak oczywiście w wyniku presji Pekinu.

Na Zachodzie ChRL nasili wojnę psychologiczną i informacyjną przeciw Tajwanowi. I znów zobaczyliśmy oznaki tego zaraz po wyborach. Kraje, których politycy pogratulowali Williamowi Laiemu wyboru na prezydenta, m.in. USA, Australia, Wielka Brytania, Czechy, Filipiny i Japonia, zostały upomniane przez Pekin, by „nie igrały z ogniem" i pamiętały, że są tylko jedne Chiny oraz że kwestia Tajwanu jest dla Pekinu czerwoną linią, której nie można przekroczyć.

W odróżnieniu od swoich zachodnich kolegów, głosu nie zabrał szef polskiego MSZ Radosław Sikorski. Nie pogratulował publicznie Tajwanowi i Williamowi Laiemu. To z pewnością podobało się w Pekinie, ale i pokazało, że nowemu polskiemu rządowi nie zależy na współpracy Polski i Tajwanu w kwestii półprzewodników. A silne podstawy do tej współpracy zbudował poprzedni rząd. Za to w Polsce zabrała głos kontrolowana przez KPCh organizacja Rada ds. Promocji Pokojowego Zjednoczenia Chin w Polsce i stwierdziła, że wynik wyborów na Tajwanie nie zmienia faktu, „że na świecie istnieją tylko jedne Chiny, a Tajwan jest ich częścią".

Ta narastająca chińska dezinformacja to dobry moment dla Zachodu, by pamiętać, że nie należy powielać chińskiej narracji dotyczącej Tajwanu. Jest to szczególnie ważne dla mediów. A popełniamy błędy. W Polsce na przykład kilka mediów powtarzało za KPCh, że wybory na Tajwanie to wybór pomiędzy wojną a pokojem. Tymczasem to nie działania Tajwanu i Tajwańczyków grożą wojną. Mieszkańcy Tajwanu nie kwestionują istnienia Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL) i w pewnym stopniu utożsamiają się z wieloma elementami kultury chińskiej. Ale te wspólne cechy kulturowe i językowe oraz robienie interesów z Chinami nie zmienia faktu, że Tajwan nigdy nie był częścią ChRL i że przytłaczająca większość Tajwańczyków pragnie, aby ich kraj pozostał wolny i demokratyczny.

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie Tajwan bardzo mocno wspierał Kijów. I tu także będziemy mieli kontynuację. Na wiceprezydenta Tajwanu została wybrana 52-letnia Bi-khim Hsiao, która przez ostatnie trzy lata była przedstawicielką Tajwanu w Stanach Zjednoczonych. Ta córka Amerykanki i tajwańskiego pastora podczas swojej dyplomatycznej misji w USA określona została przez amerykańskie media jako „jeden z najbardziej wpływowych ambasadorów w Waszyngtonie". Hsiao zabiegała o pogłębienie sojuszu jej kraju z USA, była również sojusznikiem państw naszego regionu w przekonywaniu Ameryki, że nie powinna porzucić Ukrainy, aby skupić się na Chinach. „Przetrwanie Ukrainy jest też przetrwaniem Tajwanu. Sukces Ukrainy jest naszym sukcesem. (…) Nasze losy są ze sobą ściśle powiązane" – mówiła Hsiao.

Wybór Tajwanu to przegrana autorytarnych Chin i to dowód na to, o czym napisał w książce pt. „Chińska sieć zła" brytyjski dziennikarz Benedict Rogers, że „dla każdego wolnego i demokratycznego kraju na świecie Tajwan jest przyjacielem i inspiracją. Jest imponująco niezawodnym, innowacyjnym, przedsiębiorczym partnerem m.in. w dziedzinie handlu, inwestycji, technologii, zmian klimatu, zdrowia publicznego oraz sojusznikiem w promocji demokracji, praw człowieka i rządów prawa na całym świecie. Zarówno z moralnego punktu widzenia, jak i w naszym własnym interesie jest zrobienie wszystkiego, co możliwe, aby stanąć po stronie Tajwanu". ■

eprasa.pl 9476ad31f3







Tomasz Gromadka

Wyprawa do nieistniejącej krainy

eprasa.pl 9476ad31f3

Jesteśmy o obwodzie królewieckim. Na wjeździe do dawnego Krzyżborka stoi dziś tabliczka z napisem Sławskoje – obecną nazwą miasta. Można ją dość swobodnie przetłumaczyć jako Chwalebne, co odnosi się oczywiście do zwycięstw Armii Czerwonej. Tego typu sztuczne, oderwane od historii i tradycji nazwy nadawano po 1945 roku miejscowościom całego Obwodu. Całe tuziny miejscowości swoimi nazwami głoszą sowiecką propagandę – Październikowo, Partyzanckie, Gwardiejsk itd. Drugie pod względem liczby ludności miasto Obwodu nosiło niegdyś nazwę Tylża. Rosjanie przemianowali ją na Sowieck.

9 kwietnia 1945 roku Armia Czerwona przyjęła kapitulację Królewca. Prawie od razu do zniszczonej i wyludnionej stolicy Prus Wschodnich zaczęli docierać Polacy, szukając nowego życia na terenach, które – jak podejrzewano – zostaną odebrane Niemcom. Nie upłynął miesiąc, nim utworzyli Radę Miejską i Straż Obywatelską. Naturalne wydawało się, że skoro do Polski trafią Olsztyn czy Elbląg, w jej granicach znajdą się całe Prusy Wschodnie, a więc również Królewiec. W czerwcu w jego kierunku wyruszyły oddziały Wojska Polskiego, zamierzające obsadzić tamtejsze garnizony. Żołnierze dotarli jednak jedynie na przedmieścia – tam zatrzymali ich Rosjanie i kazali zawracać. Królewiec stał się łupem Moskwy.

Tragedia rosyjskiego panowania

W lutym 2020 roku wraz z kompanem podróży, Jackiem, jechałem autobusem z Elbląga do Królewca. Były to dosłownie ostatnie momenty przed zamknięciem granicy. W trakcie jej przekraczania rosyjska celniczka w masce (wtedy maski wciąż jeszcze dziwiły) i sowieckiej czapce-uszatce z czerwoną gwiazdą na czole zmierzyła pasażerom temperaturę i zadała pytanie, czy w autobusie są jacyś obywatele Chin. Oczywiście nie było. Oprócz nas dwóch nie było zresztą żadnych pasażerów spoza Rosji. Do Królewca nie jeździ nikt, chyba że musi.

W centrum Królewca znajduje się dziura. Dosłownie i w przenośni. Stoi tam niedokończony budynek Domu Sowietów – wielopiętrowy, futurystyczny gmach, którego budowy nigdy nie dokończono z powodu braku pieniędzy. Przerwano ją w latach 80. Dookoła rozciągają się odsłonięte przez archeologów fundamenty istniejącego tam niegdyś zamku. Całość otacza płot z blachy falistej. Administracja Królewca próbowała ostatnimi czasy zlikwidować koszmarną ruinę, ale rozbiórka jest zbyt droga.

Zamek, który stał tam wcześniej, przez wieki stanowił siedzibę wielkich mistrzów krzyżackich, a potem pruskich książąt i królów. Nie został bynajmniej zrównany z ziemią w czasie II wojny światowej. Co prawda wnętrza spłonęły wskutek alianckich nalotów, ale mury przetrwały. Ile daliby Polacy, aby tylko taki los spotkał Zamek Królewski w Warszawie. Tymczasem Rosjanie nie tylko nie odbudowali Zamku Królewieckiego, lecz także w latach 60. na polecenie premiera ZSRS Aleksieja Kosygina wysadzili go w powietrze. Kosygin stwierdził, że w ten sposób pozbyli się „spróchniałego pruskiego kła" (za: J. Jasiński, „Historia Królewca", Olsztyn 1994, s. 267). Niszczenie pamiątek po dawnym Królewcu i jego niemieckich mieszkańcach prowadzono w tamtych latach na szerszą skalę. Likwidowano pomniki, w tym

FOT. WIKIPEDIA, TOMASZ GROMADKA (2)

eprasa.pl 9e76ad31f3

pomnik Mikołaja Kopernika (sic!), zburzono liczne kościoły, zniszczono wszystkie cmentarze, a przede wszystkim starówkę. Tragiczny los Królewca może pomóc docenić Polakom to, że po II wojnie światowej odzyskaliśmy Gdańsk czy Olsztyn. Gdyby kreśląc na mapie granice PRL, Stalin przyłożył linijkę i ołówek nieco dalej na południowy-zachód, zapewne miasta te spotkałby równie smutny los i dziś wyglądałyby podobnie przygnębiająco.

Na starówce ze wszystkich budynków Rosjanie oszczędzili tylko pozostałości katedry, zrujnowanej podczas wojennej zawieruchy. Odbudowano ją za zagraniczne pieniądze, przede wszystkim niemieckie, dopiero po upadku Związku Sowieckiego. Miejsce urokliwych kamienic, które przez stulecia ją otaczały, zajmuje park. Sama katedra łączy obecnie funkcje muzeum i sali koncertowej. Prezbiterium to scena muzyczna. Jedynie dwie boczne kaplice pełnią funkcje sakralne – jedną oddano prawosławnym, drugą – luteranom. W kaplicy luterańskiej znaleźć można witraż przedstawiający Lutra i Melanchtona oraz ołtarz, na którym oprócz Biblii i krzyża spoczywają magnesy na lodówkę, którymi handluje rosyjska babuszka. Magnesy swoją drogą są kopalnią informacji o tym, czym żyje Rosja – na hali targowej znalazłem taki ze Stalinem trzymającym na rękach dziecko i napisem po angielsku (sic!): „Stalin jest szczęściem narodów".

Oprócz katedry odwiedzamy neogotycki kościół Świętej Rodziny – jedną z nielicznych katolickich świątyń przedwojennego Królewca. Wieży nie zdobi już krzyż, a w środku tylko organy przypominają o dawnym przeznaczeniu budynku. Miejsce świętych na witrażach zajęły abstrakcyjne wzory. Ławki zastąpiono krzesłami teatralnymi, czyniąc z kościoła salę koncertową, w której widownia zwrócona jest w stronę organów, to znaczy – tyłem w kierunku prezbiterium. Zajmuje zresztą także prezbiterium. Zrobiono wszystko, aby wyplenić pamięć o sacrum i o Bogu, który niegdyś mieszkał tu w tabernakulum. Gdy wchodzimy do kościoła, akurat trwa koncert. Kobiety grającej na organach, przyznać trzeba – bardzo pięknie – słucha… jedna osoba.

Z Królewca jedziemy pociągiem na Sambię – duży półwysep na północy obwodu. Wysiadamy na stacji w Swietłogorsku – nadmorskim kurorcie uzdrowiskowym, obok którego znajduje się jedna z rezydencji Putina. Zimą Swietłogorsk sprawia wrażenie opuszczonego, co zrozumiałe tym bardziej, że pogoda nie dopisuje. Wieje – jak to często nad Bałtykiem – zimny, porywisty wiatr, a do tego leje deszcz. Ale nie odstrasza to sprzedawcy kukurydzy, który dzielnie chodzi po plaży, krzycząc co jakiś czas: „Kukuruza!", mimo że – jak się można domyślić – żadnych plażowiczów nie ma. Można byłoby podejrzewać, że postradał zmysły, ale nic bardziej mylnego! Sprzedawca kieruje się w stu procentach zdrowym rozsądkiem. Otóż jest zatrudniony przez państwo i przez cały rok dostaje pensję za osiem godzin pracy, niezależnie od tego, ile kukurydzy sprzeda (i czy są w ogóle potencjalni klienci). Opłaca się mu więc chodzić po pustej plaży. Każdy by to robił na jego miejscu.

Poławiacze bursztynu

Wycieczka na Sambię to jednak nie tylko wyprawa do krainy absurdu. To również podróż w czasie. Ze smutnej współczesności, naznaczonej piętnem rosyjskiego panowania, cofamy się do epoki pierwszych mieszkańców tych ziem – Prusów. Należeli oni do grupy ludów bałtyckich – byli krewnymi Litwinów i Łotyszy, posługiwali się podobnym językiem. Tam, na Sambii najdłużej zachowali swą tożsamość i mowę.

Kraj ten – to znaczy obwód królewiecki, a także Warmię i Mazury – zamieszkiwali już w starożytności (znano ich wówczas pod nazwę Estów). Wiemy to dzięki antycznym uczonym, takim jak Tacyt, który w I wieku po Chrystusie opisał ich jako poszukiwaczy bursztynu i handlarzy nim. „Surowy zbierają, nieobrobiony przewożą, ze zdumieniem przyjmują zapłatę" – odnotował. Prusowie mieszkając w głębi lądu, zajmowali się uprawą zbóż i hodowlą zwierząt. Lud ten nie był liczny, a jego grody i wsie rozsiane wśród jezior, bagien i wzgórz morenowych. Nigdy nie stworzył państwa.

W XIII wieku spadła nań katastrofa – najazd krzyżaków, którzy w ciągu półwiecza zawojowali cały kraj. Dość rozpowszechnione jest mniemanie, że krzyżacy wybili Prusów, a ich ziemię zaludnili przybysze z Niemiec. W rzeczywistości, choć podbój był krwawy, tubylcy przetrwali – eksterminacje całych narodów nie były w średniowieczu nawet możliwe do wykonania. Takich rzeczy nauczyła się ludzkość dopiero w XX wieku.

Przywołany wyżej mit historiograficzny zawiera jednak pewien element prawdy – do Prus rzeczywiście płynął strumień migrantów z Niemiec. Wędrowało tam zwłaszcza zamożne rycerstwo, szukające okazji do zdobycia wielkich posiadłości ziemskich na „dzikim wschodzie". Większość ludności wciąż jednak stanowili Prusowie. Wśród nich znajdowała się rodzina, która wieki później – po wielu wędrówkach – zrodziła jednego z największych pisarzy wszech czasów, a przy tym wielkiego filologa wykładającego na Oksfordzie i gorliwego katolika – J. R. R. Tolkiena.

W poszukiwaniu przodków Tolkiena

Śladami przodków J. R. R. Tolkiena ruszam wraz z Jackiem do wsi Miedowoje (po polsku – Miodowe),

eprasa.pl 9476ad31f3

położonej w połowie drogi z Królewca do polskiej granicy. Do rosyjskiego podboju miejscowość nosiła nazwę Globuhnen, którą można zapisać po polsku jako Głabuny. Podróż tam rozpoczynamy od złapania ubera przy Domu Sowieckim w Królewcu. (W Rosji kierowcy uberów czekają na klientów na postojach niczym polscy taksówkarze). Cena za kilka godzin jeżdżenia po obwodzie jest niewielka – taksówki i im podobne są tu bardzo tanie.

Pruskie korzenie rodziny pisarza odkrył w 2017 roku Ryszard Derdziński, polski politolog, podróżnik i tłumacz. Swoje szczegółowe badania, prowadzone w polskich i niemieckich archiwach (głównie w Berlinie, gdzie trafiła znaczna część archiwów z Prus Wschodnich), opisuje na blogu „Tolknięty". Początkowo wydawało się, że Tolkienowie są potomkami rodu niemieckich rycerzy Tolk von Markelingerode, którzy przybyli do Prus w dobie podboju krzyżackiego. Założyli oni między innymi wieś Tołkiny, położoną w województwie warmińsko-mazurskim. Jak się jednak okazuje, profesor Tolkien z Tołkinami nie ma nic wspólnego. Późniejsze badania dowiodły, że rodzina twórcy Śródziemia wywodzi się nie od niemieckich zdobywców, ale od tubylczych Prusów.

Wnioski te potwierdziły badania DNA żyjących obecnie krewnych J. R. R. Tolkiena, które wykazały, że więzy bardzo odległego pokrewieństwa łączyły go z wieloma rodami o niezaprzeczalnie pruskiej (a nie niemieckiej) genezie – na przykład ze Skłodowskimi herbu Prus. Wspólny przodek Tolkiena i Marii Skłodowskiej-Curie żył w czasach rzymskich.

Niełatwe życie pod niemieckim panowaniem

W berlińskim archiwum zachował się akt nadania ziemi Prusowi o imieniu lub przydomku Tulkin, spisany w 1356 roku. Wielki mistrz zakonu krzyżackiego Winrich von Kniprode podarował mu sześć łanów w zamian za ofiarną służbę wojskową. Znajdowały się one w miejscowości Wogau, po której dziś nie został ślad, leżącej w okolicach Iławy Pruskiej (obecnie Bagrationowsk). Prawdopodobnie jego rodzina współpracowała z krzyżakami od dłuższego czasu, być może niekoniecznie z własnej woli. Przydomek Tulkin, a co za tym idzie także nazwisko Tolkien, wywodzi się od pruskiego słowa „talkīn" oznaczającego potomka tłumacza (po prusku „talki"). Niemcy, na ogół nieznający języka podbitego ludu, korzystali z usług tłumaczy, często dwujęzycznych Prusów. Nazywali ich mianem „tolke", zapożyczonym z języka pruskiego.

Potomkiem takiego właśnie tłumacza był zapewne Tulkin. Taka etymologia tego nazwiska jest doprawdy zdumiewająca, biorąc pod uwagę fakt, że J. R. R. Tolkien był filologiem, jednym z największych znawców wielu wymarłych języków, takich jak gocki czy staroangielski. Dobra passa rodu skończyła się w XVI wieku, gdy jego pozycja społeczna gwałtownie się pogorszyła. Z wolnych chłopów Tolkienowie stali się poddanymi niemieckich junkrów nazwiskiem von Kalckstein, którzy ostatecznie pozbawili ich majątku w Wogau i wyrugowali z ziemi. W 1584 roku Waltyn Tolckin (tak wówczas zapisano jego nazwisko) napisał w związku z tym list do starostwa w Iławie Pruskiej. Skarżył się w nim: „Waszym Łaskawościom uniżenie suplikuję w sprawie mego Pana Jakuba von Kalcksteina, który mnie bez żadnego powodu, dla czystego występku i przemocy, z ziemi przepędził i w zupełności wpędził mnie w nędzę. […] Junkier Kalckstein wyrugował mnie z mojego dziedzictwa i przegonił mnie, bo bezmyślnie spaliłem poprzedni budynek i z powodu kradzieży. […] Ale wszyscy mogą zobaczyć w jego własnym, pisanym z nagłością liście, który od niego dostałem, że ogień – niech będzie jęczał przed Panem – wybuchł bez mojej odpowiedzialności. […] Jeśli chodzi o czynsze, szarwark lub służbę budowlaną i inne sprawy, zawsze zachowywałem się tak, jak przystaje pobożnemu poddanemu i wyznawcy chrześcijaństwa" (tłum. A. Szarszewski, oryginał odnalazł R. Derdziński w Tajnym Archiwum Państwowym Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego w Berlinie).

Skarga nie przyniosła pomyślnych rezultatów – władze stanęły po stronie von Kalksteinów. Ród od całkowitej ruiny uratował inny członek rodu – Jakub Tolkien, być może syn Waltyna. Zamieszkał on w leżących nieopodal Głabunach, gdzie został dziedzicznym sołtysem, prawdopodobnie po ożenku z córką poprzedniego sołtysa. Uprawiał rolę, hodował zwierzęta, a w jego domu wciąż zapewne rozbrzmiewał język pruski.

Właśnie tam dotarliśmy uberem złapanym w Królewcu. Wieś, położona wśród łagodnych wzgórz, składa się z kilkunastu małych zaniedbanych domostw. Dziś nosi nazwę Miedowoje, a po jej dawnych mieszkańcach – Prusach i Niemcach – nie pozostał żaden ślad. W XVI wieku, w czasach Jakuba Tolkiena, znajdowała się tam karczma. Dziś w centrum wioski stoją tylko ruiny sklepu. Nad drzwiami wciąż odczytać można coraz bardziej zatarty rosyjski napis „Magazin". Lud sowiecki takich wygód, jak sklep czy karczma, nie potrzebuje.

Spustoszone miasto

Ruszamy w dalszą podróż. Po kilku kilometrach docieramy do miejsca, gdzie do II wojny światowej znajdowało się urokliwe miasteczko Krzyżbork (niem. Kreuzburg). Zabudową przypominało niewielkie po-

eprasa.pl 9476ad31f3

niemieckie miasta, które można znaleźć dziś na Mazurach. Tam właśnie przeprowadzili się z Głabunów przodkowie J. R. R. Tolkiena i tam spędzili wiek XVII. Można podejrzewać, że był to czas, gdy porzucili pruski język swoich przodków.

Mowy Prusów nie wytępiły niemieckie zakazy – zanikła ona stopniowo, bo jej użytkownicy porzucili ją dobrowolnie. Wybrali język niemiecki, w ich opinii prestiżowy, bo używały go elity świeckie oraz duchowni. Pruski stopniowo stawał się językiem wsi, a z czasem tracił pozycję nawet tam. Rozpowszechniło się zjawisko, które obserwować można współcześnie na przykład u Serbołużyczan – wstyd z posługiwania się własnym językiem, dotykający zwłaszcza ludzi młodych. Ostatni znający mowę swych przodków żyli zapewne na Sambii w XVIII wieku.

Na wjeździe do dawnego Krzyżborka stoi dziś tabliczka z napisem Sławskoje – obecną nazwą miasta. Można ją dość swobodnie przetłumaczyć jako Chwalebne, co odnosi się oczywiście do zwycięstw Armii Czerwonej. Tego typu sztuczne, oderwane od historii i tradycji nazwy nadawano po 1945 roku miejscowościom całego obwodu. Najbardziej niewinne są jednocześnie najnudniejszymi – Południowo, Bałtyjsk, Kasztanowo (podajemy je w tłumaczeniu na polski). Całe tuziny miejscowości swoimi nazwami głoszą sowiecką propagandę – Październikowo, Partyzanckie, Gwardiejsk itd. Drugie pod względem liczby ludności miasto obwodu nosiło niegdyś nazwę Tylża. Rosjanie przemianowali ją na Sowieck.

Po wizycie w Królewcu wiedziałem, czego mogę spodziewać się w Krzyżborku, i… nie zaskoczył mnie on pozytywnie. Z niewielkiej krzyżborskiej starówki pozostał jedynie bruk na rynku. Po kamieniczkach ani śladu. Widocznie Rosjanie uważali, że nazizm, który tu niegdyś wyznawano, tak głęboko wsiąkł w tę ziemię, że w jego obronie nawet zabytki wołać będą. Podejrzenia Rosjan potwierdziła zresztą dywersja, której na naszych oczach dokonał poniemiecki bruk. Jedna z kałuż na tymże bruku – nieremontowanym zapewne od II wojny światowej – skrywała dziurę tak głęboką, że samochód naszego kierowcy ledwo z niej wyjechał, a ostatecznie udało się to nie bez uszkodzonego zawieszenia.

Z parafialnego gotyckiego kościoła, wzniesionego jeszcze w średniowieczu, zachowały się fragmenty wieży oraz resztki ścian, ponad którymi do wnętrza wdzierają się krzaki. Po wyposażeniu nie pozostał najmniejszy nawet ślad. Być może gdyby usunąć ziemię, udałoby się odsłonić podłogę, o ile również nie została zniszczona. Kościoła nie tylko nikt nie odbudował, ale nie zadbano nawet o uprzątnięcie jego ruin – gotyckie cegły walają się dokoła, a nieopodal resztek dzwonnicy urządzono dzikie złomowisko.

Ludność Krzyżborka, czy też – lepiej rzec – osady istniejącej na jego miejscu, zamieszkuje na ogół niewielkie, parterowe domki, wolne od walorów estetycznych. W powszechnym użyciu są blacha falista oraz eternit. Poza rynkiem ulice nie są utwardzone i w czasie deszczu brodzi się w błocie. W wielu miejscach wznoszą się ruiny dużych, przedwojennych domów – czasem prawdziwych gmachów, na fasadach których wciąż można dostrzec zdobienia. Naprzeciw gruzów kościoła straszą pozostałości wielkiego (jak na warunki małego miasta), piętrowego budynku, być może dworu. Nikt nie odbudował tych ruin od 75 lat. Nikt ich nawet nie wyburzył. Gospodarze mieszkający przy rynku zadbali natomiast o to, by zawiesić na maszcie czerwoną flagę z sierpem i młotem.

Epilog

W XVIII wieku bracia Christian i Michael Tolkienowie, obaj kuśnierze, opuścili Krzyżbork. Przekroczyli granicę Rzeczypospolitej i osiedlili się w Gdańsku, stając się polskimi poddanymi, choć zapewne polskiego nigdy się nie nauczyli, a na pewno nie posługiwali się nim w domu (zob. R. Derdziński, „O gdańskich korzeniach J.R.R. Tolkiena", „Przegląd Środkowo-Wschodni", 2018, nr 3). Mieszkali na gdańskim Zaroślaku. Christian Tolkien został artylerzystą w garnizonie gdańskim, natomiast po przejściu w stan spoczynku, pracował jako wytwórca fajerwerków i organizator pokazów fajerwerkowych. Około 1770 roku dla Gdańska nadeszły ciężkie czasy – ucisk ekonomiczny ze strony Prus, zakończony zajęciem miasta w II rozbiorze Polski. Dwaj synowie Christiana uciekli przed Prusakami poprzez Amsterdam do Londynu. Jeden z nich, Johann Beniamin, to prapradziadek J. R. R. Tolkiena. Sam profesor pisał, że „[…] bardzo szybko stali się bardzo »brytyjscy«, porzucając język niemiecki, zachowując jedynie niechęć do Prus" (list do Florence Tolkien, opublikowany na blogu R. Derdzińskiego).

Obwód królewiecki opuszczamy, ruszając do Gdańska w ślad za Tolkienami. To już jednak inna historia. Wracamy do Polski przeświadczeni, że choć byliśmy tam, gdzie znajdowały się Królewiec czy Krzyżbork, nie udało nam się ich odnaleźć. Leżały one w krainie dziś już nieistniejącej. Zniszczyła ją Rosja. I choć Niemcy wskutek swoich zbrodni utraciły do niej wszelkie prawa, na pewno nie posiadają ich Rosjanie. Wyrzucenie Moskali z obwodu jest poza tym konieczne, aby Europa Środkowa mogła czuć się bezpiecznie. Jadąc z Królewca do Gdańska, zadajemy sobie pytania, na które chyba nikt nie zna odpowiedzi. Czyja będzie ta ziemia? Kto zapanuje tu po Prusach, Niemcach i Rosjanach? Wreszcie – kto odbuduje ten zniszczony kraj? ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Ryszard Czarnecki

Jedna wyspa – dwie planety

Jedna wyspa – dwa różne światy. Grecki prawosławny Cypr – państwo od dwudziestu lat będące członkiem Unii Europejskiej z jednej strony – a z drugiej muzułmańska Turecka Republika Cypru Północnego z własnym parlamentem, prezydentem i wszelkimi atrybutami państwowości. Grecka część wyspy należy nie tylko do UE, lecz także oczywiście do ONZ, a jej kluby piłkarskie z coraz większym powodzeniem grają w europejskich pucharach. Tureckiego Cypru nie uznaje żadne państwo na świecie, poza jednym – oczywiście Turcją, a z ich drużyną narodową mało kto chce grać.

Bardzo niewiele brakowało, aby grecki Cypr stał się formalnie częścią Hellady. Charyzmatyczny przywódca duchowy prawosławnych greckich Cypryjczyków (albo cypryjskich Greków), a jednocześnie prezydent wspólnej, niepodległej republiki (miał wiceprezydenta – muzułmanina) miał to nawet przyrzec Atenom. Jednak po przewrocie w Grecji i objęciu władzy przez dyktaturę „czarnych pułkowników" ostatecznie odmówił fuzji. W efekcie został obalony przez greckich oficerów stacjonujących na „wyspie Afrodyty". Zbiegł na Maltę, a później do Londynu i w ten sposób uszedł z życiem – a Cypr pozostał odrębnym państwem.

W sumie cała wyspa pod względem terytorium jest trzydzieści parę razy mniejsza niż Polska. Mniej więcej dwie trzecie zajmuje część grecka. Na pozostałej części wyspy mieszkają Turcy i stacjonuje turecka armia. Ta część z kolei jest mniej więcej sto razy mniejsza niż nasz kraj.

Trochę serce boli, gdy oglądam dawne chrześcijańskie kościoły, które dziś są meczetami. Katedrę świętego Mikołaja budowano na przełomie XIII i XIV wieku. Królowie z dynastii Lusignanów koronowani byli podwójnie – na monarchów wyspy w Nikozji i na tytularnych królów Jerozolimy właśnie tu, w tej katedrze w Famagustie. Dziś to meczet. W 1571 roku po dziesięciu miesiącach oblężenia Turcy zdobyli ową Famagustę, a meczet nazywa się na cześć islamskiego zdobywcy Lali Mustafy Paszy.

Zdejmuję buty jak wszyscy i zwiedzam meczet z wydzielonymi miejscami do modlitwy osobno dla mężczyzn i osobno dla kobiet. Jest tam prezent – egzemplarz Koranu – od prezydenta Erdogana, który odwiedził Famagustę w 2006 roku, 19 „temmuza" – czyli lipca. Tam, gdzie modlą się kobiety, jest zachowany, o dziwo, grób chrześcijańskiego biskupa sprzed pięciu wieków.

Przy miejscu, w którym wyznawali wiarę wyznawcy Chrystusa, a teraz wyznawcy Allaha – rośnie charakterystyczny dla wyspy fikus posadzony pod koniec XIII wieku. To drzewo biblijne. Po turecku: cumbez agaci („ağaç" to drzewo), po łacinie: „ficus sycomorus". Ciekawe, że figi rosną tu nie na gałązkach, jak zwykle, tylko bezpośrednio na konarach.

W pobliżu stoisko, gdzie spragnieni mogą napić się soku z granatu za 2,5 euro, czyli – w przeliczeniu sprzedawczyni – 75 tureckich lirów. Tuż za stoiskiem turystyczna atrakcja: armaty z brązowymi kulami z metalu oraz białymi z kamienia. Te drugie służyły do katapult. Zabytkowe kule leżały tu spokojnie, bez żadnych zabezpieczeń przez ostatnie trzy dekady, aż nagle zaczęły znikać. Miejscowi mówią, że kradli je złomiarze ze wschodniej Turcji. No to kule z czasów Imperium Osmańskiego ogrodzono metalową siatką...

W cukierni „Petek" (po turecku oznacza to plaster miodu w ulu) próbuję specjalnych lodów. Jedne są z mleka koziego (!), a drugie mają smak… żywicy. Obiad jednak jem w prostej przydrożnej knajpce z plastikowymi krzesełkami o nazwie „Fikret'in yeri". Przy czym „Fikret" to męskie imię, a „yeri" to po turecku miejsce.

Wyspa przedzielona jest oczywiście granicą, kiedyś praktycznie nieprzejezdną.

Dziś jest już ruch w obie strony. Pomysłowi strażnicy po greckiej stronie ostatnio chcieli skonfiskować… pizzę, którą ktoś przewoził z tureckiej części. Takiego przepisu nie ma, ale widocznie byli głodni... Swoją drogą, wszystko po tureckiej stronie jest tańsze niż po greckiej. Nic dziwnego, że głównie Niemcy, ale też Anglicy kupują tu domy. Cóż, niby to poza UE, choć krok od niej... ■

eprasa.pl 9476ad31f3

„Śmierć Ameryce, śmierć Izraelowi, przekleństwo na Żydów i zwycięstwo islamu"

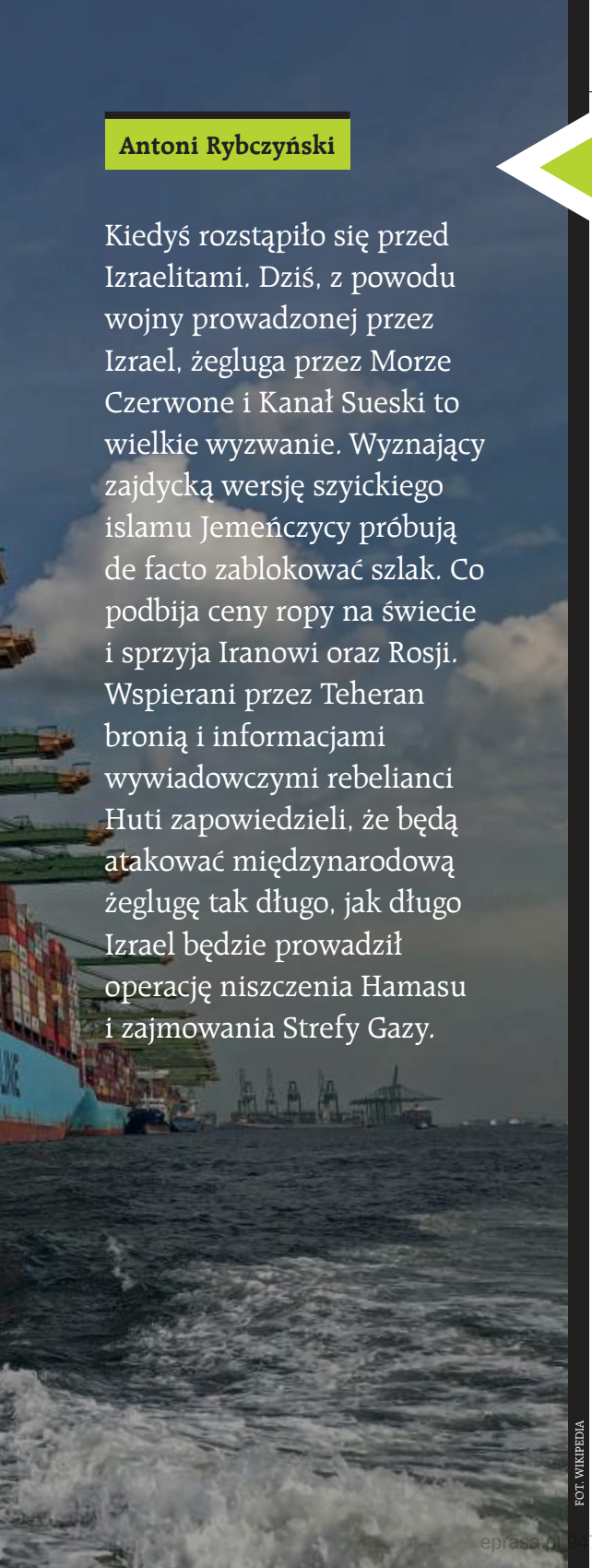
motto ruchu Huti



Wojna na Morzu Czerwonym

Antoni Rybczyński

Kiedyś rozstąpiło się przed Izraelitami. Dziś, z powodu wojny prowadzonej przez Izrael, żegluga przez Morze Czerwone i Kanał Sueski to wielkie wyzwanie. Wyznający zajdycką wersję szyickiego islamu Jemeńczycy próbują de facto zablokować szlak. Co podbija ceny ropy na świecie i sprzyja Iranowi oraz Rosji. Wspierani przez Teheran bronią i informacjami wywiadowczymi rebelianci Huti zapowiedzieli, że będą atakować międzynarodową żeglugę tak długo, jak długo Izrael będzie prowadził operację niszczenia Hamasu i zajmowania Strefy Gazy.



FOT. WIKIPEDIA

Tylko od połowy listopada do połowy stycznia aż 50 krajów zostało dotkniętych blisko 30 atakami Huti na statki. Chodzi o właścicieli, załogi i bandery, pod jakimi one pływają. Jemeńscy rebelianci od blisko dziewięciu lat kontrolują część kraju, skutecznie odparli ofensywę potężnej koalicji z Arabią Saudyjską na czele. Czy zęby na Huti połamie sobie też największe militarne mocarstwo świata?

Cios w globalną arterię

„Będziemy kontynuować operacje wojskowe wspierające Palestyńczyków, dopóki izraelska agresja w Strefie Gazy nie ustanie" – zapowiedział Jahia Sari, rzecznik Ruchu Huti. Do pierwszego ataku doszło 19 października, gdy amerykańska flota przechwyciła trzy pociski rakietowe wystrzelone z Jemenu. Początkowo Huti próbowali dosięgnąć celów w samym Izraelu, ale izraelska tarcza antyrakietowa i amerykańskie okręty skutecznie neutralizowały rakiety i drony. Do tego Izrael rozmieścił na Morzu Czerwonym korwety klasy Sa'ar, które patrolują akwen w pobliżu portu w Eljacie. Z czasem jemeńscy sojusznicy Teheranu zaczęli grozić atakami na statki należące do Izraelczyków. Potem atakami na statki płynące do i z Izraela. A w końcu celem mógł być niemal każdy statek przepływający w pobliżu Jemenu. Niemal każdy, bo na przykład Huti ogłosili, że nie będą atakować statków związanych z Rosją i Chinami. 19 listopada Huti porwali Galaxy Leader, transportowiec częściowo należący do izraelskiego miliardera Ramiego Ungara. Od 9 grudnia Huti niemal codziennie przeprowadzają ataki dronów i pocisków rakietowych na statki handlowe przepływające przez Bab al-Mandab. 12 grudnia pocisk wystrzelony z terytorium zajmowanego przez Huti uderzył w norweski tankowiec Swan Atlantic. Rebelianci ostrzeliwują statki przeciwokrętowymi pociskami balistycznymi i dronami, z rzadka próbując wejść na pokład i uprowadzić jednostkę do swych portów. Położenie geograficzne Jemenu pozwala Huti atakować statki zarówno na Morzu Czerwonym, jak i na Oceanie Indyjskim, a wąskość cieśniny Bab al-Mandab (zaledwie 26 km) zwiększa skuteczność w wykorzystywaniu dronów i pocisków rakietowych. Uaktywnili się też somalijscy piraci, którzy w latach 2008–2018 stanowili główne zagrożenie na najważniejszych szlakach morskich, a teraz postanowili skorzystać z chaosu, jaki wywołały ataki jemeńskich rebeliantów.

Kampania Huti poważnie zagroziła jednemu z najważniejszych szlaków morskich. Obok cieśnin Ormuz i Malakka, Bab el-Mandab jest uważa-

eprasa.pl 76ad31f3

na za trzecią najważniejszą cieśninę na świecie. Na drugim końcu Morza Czerwonego jest Kanał Sueski, który obsługuje blisko 10 proc. światowego handlu ropą naftową i LNG. Jest to najkrótszy szlak handlowy między Azją a Europą – odbywa się tędy aż 12 proc. światowego handlu, idzie aż 20 proc. światowego ruchu kontenerowego. Morze Czerwone jest kluczowym szlakiem w globalnym transporcie ropy naftowej prowadzącym do Kanału Sueskiego, który obsługuje około 8 proc. światowego handlu tym surowcem. Nic dziwnego, że ceny „czarnego złota" poszły w styczniu mocno w górę. Liczba statków handlowych, które przepłynęły przez Morze Czerwone i Kanał Sueski, zmniejszyła się o ponad połowę, gdy doszło do eskalacji konfliktu i powietrznych ataków USA i Wielkiej Brytanii na cele w Jemenie. Wielu przewoźników zaczęło wybierać dłuższą o około 6 tys. kilometrów trasę okrążającą Afrykę. Dla każdego kontenerowca oznacza to dodatkowe 7–10 dni w drodze i około 1 mln dolarów nieplanowanych kosztów. Alternatywą jest wybranie krótszej trasy, ale zapłacenie ubezpieczycielom premii za znacznie zwiększone ryzyko. Dane Międzynarodowego Funduszu Walutowego pokazują, że transport ładunków przez Kanał Sueski spadł o 35 proc. w pierwszym tygodniu 2024 roku w porównaniu z tym samym okresem ubiegłego roku. Przesyłki towarowe przez Morze Czerwone spadły w styczniu do 200 tys. kontenerów dziennie, w porównaniu z 500 tys. dziennie w listopadzie. Od początku tego roku wpływy z tytułu opłat za przepłynięcie Kanału Sueskiego spadły o 40 proc. w porównaniu z analogicznym okresem 2023 roku, a liczba przepływających statków – o 30 proc. Ceny transportu kontenerów na przykład z Bangladeszu do Europy wzrosły o co najmniej 40 proc.

▶ Partyzanci Boga i przeklęty Jemen

Ruch Huti to tak naprawdę organizacja Ansarallah (Partyzanci Boga), której tradycyjnym zapleczem są plemiona zamieszkujące północny Jemen. Potoczna nazwa wzięła się od Abdula-Malika al-Houthiego, jednego z radykalnych zajdytów, którzy w 1994 roku założyli organizację, niezadowoleni z rządów prezydenta Saleha i jego współpracy ze skrajnie konserwatywną sunnicką Arabią Saudyjską. Rozpoczęli walkę z rządem w 2004 roku i ewoluowali od grupy partyzanckiej do quasi-państwa obejmującego znaczną część Jemenu. Położony na południowych krańcach Półwyspu Arabskiego kraj to od dawna jeden z zapalnych punktów na mapie świata. Do 1990 roku Jemen był podzielony na dwa państwa. Na północy, ze stolicą w Sanie, była monarchia (od 1962 republika), na południu zaś, ze stolicą w Adenie, kolonia brytyjska (po uzyskaniu niepodległości w 1967 roku komunistyczna republika, wasal Sowietów). Do zjednoczenia doszło w 1990 roku, a przywódcą został dotychczasowy prezydent Północy, czyli Ali Abd Allah Saleh. Rządził twardą ręką przez ponad dwie dekady. Tak jak w przypadku wielu innych krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej (MENA), przełomowe okazały się wydarzenia tzw. arabskiej wiosny. Także w Jemenie wybuchły protesty przeciwko autorytarnym rządom Saleha, który w czerwcu 2011 roku został poważnie ranny w zamachu. Pod presją sąsiedniej Arabii Saudyjskiej, zgodził się w 2012 roku ustąpić ze stanowiska prezydenta w zamian za nietykalność.

Saleh był wyznawcą zajdyzmu. Zajdyci to lokalny odłam szyitów, a początki tej grupy religijnej sięgają VIII wieku. Obecnie liczy około 12 mln wyznawców – niemal wszyscy żyją w Jemenie, stanowiąc około połowy ludności kraju. Następca Saleha, Abd Rabu Mansur al-Hadi, to sunnita. Sunnici zdominowali też nowy rząd, co doprowadziło do otwartego konfliktu z zajdytami, a dokładniej Ruchem Huti. We wrześniu 2014 roku rebelianci zajęli stolicę kraju Sanę, zaś Saleh wszedł z nimi w sojusz. Huti popierał Iran, a sunnicki rząd Arabia Saudyjska. Tak Jemen stał się kolejnym frontem zastępczej wojny dwóch wielkich rywali w regionie. W marcu 2015 roku interwencję przeciwko Huti rozpoczęła międzynarodowa koalicja 10 państw sunnickich pod wodzą Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Nie skończyło się na nalotach, do Jemenu wkroczyły też siły lądowe. Gdy Huti znaleźli się w defensywie, były prezydent Saleh kolejny raz zmienił strony. Zginął podczas walk z Huti na ulicach Sany (grudzień 2017 roku). Koalicję wsparły USA, przekazując dane wywiadowcze oraz umożliwiając tankowanie samolotów w powietrzu. Dla Waszyngtonu walka z Huti też była wojną zastępczą z Iranem, a Jemen ma ogromne znaczenie ze względu na swe położenie. Rebelia zagrażała bowiem kluczowemu szlakowi transportu ropy naftowej z Bliskiego Wschodu do Europy, biegnącemu przez cieśninę Bab al-Mandab, łączącą Zatokę Adeńską z Morzem Czerwonym. Konflikt ten był dla Amerykanów bardzo ważny także z innego powodu: trzecią siłą w Jemenie, walczącą i z Huti, i z prezydentem al-Hadim, stali się dżihadyści z Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego (AQAP) i Państwa Islamskiego (IS).

Wojna szalała przez lata, zabijając setki tysięcy ludzi i wywołując coś, co Organizacja Narodów Zjednoczonych nazywa najgorszym kryzysem humanitar-

eprasa.pl 9476ad31f3

nym na świecie. Intensywność walk obniżyła się dopiero po zawarciu w kwietniu 2021 roku tymczasowego rozejmu. Kraj jest jednak pogrążony w chaosie i podzielony. Uznawany przez ONZ, UE i Zachód rząd ma niewiele do powiedzenia. Liczą się zbrojne frakcje popierane przez koalicję z Arabią Saudyjską i ZEA na czele, a z drugiej strony wspierani przez Iran rebelianci Huti. Tereny formalnie pod kontrolą rządu to tak naprawdę szereg udzielnych „emiratów" rządzonych przez warlordów. Huti kontrolują obecnie znaczną część północnego i zachodniego Jemenu. Ponad 70 proc. szacowanej na 32 mln ludności Jemenu żyje na obszarach znajdujących się pod ich faktyczną kontrolą. Powołali własny rząd, którego jednak nie uznaje nikt na świecie. Ale stoi za nimi sprawność organizacyjna i przewaga militarna. Ta druga to w dużym stopniu zasługa Iranu, który pomógł rozwinąć sojusznikom program dronów i rakiet. Huti mają więc dziś potencjał rażenia celów w całym Jemenie oraz na dużej części terytorium Arabii Saudyjskiej i ZEA. W czasie wojny rebelianci skutecznie uderzali w ich rafinerie i terminale, mimo że oba kraje wydały miliardy dolarów na obronę powietrzną. To właśnie Rijad jest dziś głównym rozmówcą Huti w rokowaniach mających przynieść trwały pokój. Negocjacje nie są jednak łatwe po tym, jak kierownictwo Ansarallah zdominowali zwolennicy ścisłej współpracy z Iranem. Obecny szef Najwyższej Rady Politycznej Mahdi al-Mashat ma też powiązania z libańskim Hezbollahem. Nic dziwnego, że Huti tak bardzo zaangażowali się w działania tzw. osi oporu przeciwko Izraelowi i Zachodowi.

▶ Strażnik Dobrobytu. Nie tylko Zachodu

W końcu USA musiały zareagować, pytanie – czy nie za późno? Podróżujący po Bliskim Wschodzie szef Pentagonu Lloyd Austin ogłosił 18 grudnia w Bahrajnie, że bezpieczeństwo żegludze w tej części świata przywróci koalicja państw w ramach operacji „Prosperity Guardian" („Strażnik Dobrobytu"). To głównie państwa zachodnie, z małym udziałem monarchii Zatoki (na przykład Rijad nie chce eskalacji konfliktu, bo liczy na zawarcie pokoju z Huti). W operacji uczestniczy wiele państw, w tym: USA, Francja, Włochy, Bahrajn, Kanada, Wielka Brytania, Holandia, Norwegia i Hiszpania, a także inne kraje, które wstrzymują się z upublicznieniem tej informacji. W ramach międzynarodowej misji okręty sojusznicze nie eskortują konkretnych jednostek. Ustawiają się natomiast tak, by umożliwić objęcie ochroną maksymalną liczbę statków i ich załóg, by móc jak najszybciej wysłać pomoc zaatakowanej jednostce. Część uczestniczących w operacji państw prowadzi wspólne patrole, inne zaś zapewniają wsparcie wywiadowcze. Obecne w regionie – baza w Dżibuti – Chiny nie biorą w tym udziału. Ani razu w sytuacji ataków Huti na statki handlowe, znajdujące się w pobliżu nich chińskie okręty wojenne nie reagowały na wezwania o pomoc. Przywróceniem porządku nie jest też zainteresowana Rosja. Każde kłopoty w Kanale Sueskim to przecież zwiększenie szans Północnej Drogi Morskiej, czyli alternatywnego szlaku transportu z Europy na Daleki Wschód.

„Zaatakujemy na Morzu Czerwonym statek każdego kraju, który podejmie działania wymierzone w Jemen" – tak na rozpoczęcie operacji „Strażnik Dobrobytu" zareagował Mohammed Ali al-Huti, jeden z przywódców rebeliantów. Jemeńscy sojusznicy Iranu nie tylko nie zrezygnowali z nękania statków handlowych, lecz wręcz zwiększyli skalę ataków. Skoro zaś leczenie zachowawcze nie poskutkowało, Waszyngton zmuszony był sięgnąć po metody inwazyjne, by zwalczać chorobę. W nocy z 11 na 12 stycznia amerykańskie i brytyjskie samoloty, wraz z amerykańskimi okrętami wojennymi, dokonały pierwszej fali ataków na wrogie cele. Pociski z maszyn F/A-18 i Typhoon, wraz z pociskami Tomahawk wystrzelonymi przez okręty US Navy, uderzały m.in. w przybrzeżne obiekty radarowe Huti. Zaatakowano w ciągu nocy prawie 30 celów za pomocą ponad 150 pocisków, uderzając także w drony, pociski rakietowe i infrastrukturę, których rebelianci używali do wielokrotnego atakowania statków handlowych na Morzu Czerwonym. Jednymi z celów pierwszej rundy amerykańskich i brytyjskich ataków w Jemenie były portowe miasto Hodeida i miasto Taez – to właśnie prowincja Hodeida jest kluczowym miejscem startu rakiet i dronów atakujących statki pływające po Morzu Czerwonym.

Było to pierwsze bezpośrednie uderzenie USA na Huti od 2016 roku. Nastąpiło niecałe cztery godziny po tym, jak rebelianci zaatakowali uzbrojonym dronem należący do USA statek towarowy pływający pod banderą Wysp Marshalla. Później były kolejne rundy nalotów na cele Huti (do 21 stycznia łącznie pięć), zaś rebelianci odpowiedzieli atakami na kolejne statki. Raczej nikt nie zakłada, że nawet precyzyjne bombardowania sparaliżują zaprawioną w bojach organizację, która przetrwała lata nalotów koalicji wojskowej pod wodzą Saudyjczyków. Huti nauczyli się unikać ataków i ukrywać swój arsenał, wykorzystując trudną geografię terytorium. Wiele systemów używanych przez Huti jest dość małych i dość mobilnych, więc łatwo jest je rozproszyć po całym kraju. Skuteczność ataków będzie zależeć od amerykańskich danych wywiadowczych. Sytuację próbują wykorzystać jemeńscy wrogowie rebeliantów. Wiceszef

eprasa.pl 9476ad31f3

Prezydenckiej Rady Przywództwa, która jednoczy różne grupy przeciwników Huti i ma siedzibę w Adenie, powiedział w Davos, że rządowa armia potrzebuje pomocy zagranicznej, aby rozpocząć operację naziemną, która wsparłaby amerykańskie i brytyjskie naloty. Aidarus al-Zubaidi przekonywał, że same ataki z powietrza nie wystarczą do powstrzymania ataków Huti na statki handlowe. Urzędnicy Pentagonu i Białego Domu podkreślają, że ataki prowadzone na obiekty wojskowe Huti nie mają na celu eskalacji, ale raczej pogorszenie zdolności rebeliantów do przeprowadzania dalszych ataków. Administracja Bidena ponownie umieściła ruch Huti na liście organizacji terrorystycznych, wycofując się z jednej ze swoich pierwszych decyzji dotyczących polityki zagranicznej po objęciu urzędu w 2021 roku. Wzrost cen ropy może stanowić zagrożenie dla Bidena, który wkracza w krytyczną fazę prezydenckiej kampanii wyborczej. Niektórzy traderzy spekulują, że do wiosny ropa zdrożeje z obecnych około 80 do nawet 110 dolarów za baryłkę.

Gra mocarstw większych i mniejszych

Jedną z obaw jest to, że Huti będą atakować interesy USA, w tym bazy wojskowe tego kraju rozrzucone po Zatoce Perskiej, co jeszcze bardziej rozszerzy konflikt na Bliskim Wschodzie. Ryzyko takiej eskalacji wydaje się jednak niskie, ponieważ dużym graczom, takim jak Iran, zależy na uniknięciu regionalnej wojny. Irański rząd potępił Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię po tym, jak zaatakowały one instalacje wojskowe Huti. Iran jest oskarżany o coraz częstsze dostarczanie rebeliantom funduszy i broni, w tym pocisków balistycznych i dronów, w ramach swojej polityki rozszerzania wpływów w regionie. Huti są jedną z kilku grup proxy, które Teheran określa mianem „osi oporu" na Bliskim Wschodzie, wspierając je w celu realizacji własnej antyizraelskiej i antyamerykańskiej agendy. Pytanie, gdzie przebiega czerwona linia, której przekroczenia przez jemeńskiego sprzymierzeńca Teheran by nie chciał? Być może taką linią jest bezpieczeństwo interesów… Chin. Zakłócenia żeglugi na Morzu Czerwonym sprawiają, że Pekin obawia się, że eksport samochodów i części do nich, który w ubiegłym roku przyniósł chińskiej gospodarce ponad 100 mld dolarów, jest coraz bardziej zagrożony. Przemawiając na konferencji prasowej 14 stycznia w Kairze po spotkaniu z prezydentem Egiptu, chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi wezwał do zaprzestania ataków na statki cywilne na Morzu Czerwonym. Ponieważ Iran jest ekonomicznie zależny od Chin, które kupują ponad milion baryłek irańskiej ropy dziennie, jest mało prawdopodobne, aby Teheran pozwolił Huti na atak na chińską żeglugę handlową. Chiny mają też ambasadę w Jemenie i regularnie komunikują się z Huti, choć nie uznają ich oficjalnie. Niemniej ryzyko dla chińskich statków na Morzu Czerwonym pozostaje. Gigantyczna chińska państwowa linia kontenerowa COSCO zawiesiła żeglugę przez Morze Czerwone. Geely, drugi co do wielkości producent samochodów w Chinach pod względem sprzedaży, potwierdził już, że będzie przekierowywał dostawy wokół Przylądka Dobrej Nadziei lub eksportował samochody koleją, inną dłuższą i droższą trasą.

Kampania ataków na statki jeszcze bardziej odczuwalna jest przez Egipt. Kanał Sueski pozostaje najważniejszym projektem dla jego gospodarki od prawie dwóch stuleci. Jest głównym źródłem obcej waluty, a także zatrudnia tysiące ludzi. Kair musi działać strategicznie w celu zmniejszenia napięć w regionie, aby zachować swój kluczowy dochód z Kanału Sueskiego w wysokości 9,5 mld dolarów, jak podano w ostatnim roku podatkowym. Równie dochodowa nie będzie z pewnością alternatywa. W ramach próby ominięcia Morza Czerwonego Izrael, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Egipt uruchomiły projekt „mostu lądowego": masowego ruchu ciężarówek z Dubaju przez Arabię Saudyjską i Jordanię do Izraela. Tam ładunek może kontynuować drogę do Morza Śródziemnego przez port w Hajfie lub drogą lądową do Egiptu, a następnie skorzystać z portów Ain Sokhna i Port Said nad Zatoką Sueską w Egipcie. W trudnej sytuacji jest Arabia Saudyjska, do niedawna główny wróg Huti, który nie chce eskalacji konfliktu i stara się hamować siłowe działania Izraela i USA. Rijad wie, że rozmowy w połączeniu z obietnicami pomocy i inwestycji, a także presją na Huti ze strony Iranu, Chin, Omanu i prawdopodobnie Rosji są bardziej opłacalne niż powrót do wojny. Podczas gdy Iran wspiera Huti i aprobuje niektóre z ich działań, jest on również żywo zainteresowany pogłębieniem relacji z Arabią Saudyjską. Pojawia się jednak kluczowe pytanie: czy Iran ma aż tak wielki wpływ na Huti? Ci bowiem w obecnej wojnie widzą wielką szansę. Ataki na statki przynoszą zyski polityczne. Poparcie Jemeńczyków wzrosło. Od czasu ogłoszenia rozejmu w wojnie domowej Huti mieli trudności z rekrutacją bojowników. Dziś nie jest to już problemem. Młodzi mężczyźni z całego kraju dołączają, by „walczyć z Izraelem". Huti zyskują na arenie krajowej, ale też w świecie islamu, w którym urośli do rangi największych poza Palestyną „obrońców ludności Gazy" i liderów „osi oporu", przyćmiewających nawet Hezbollah. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

OD LUTEGO 2024 !

miesięcznik **„Nowe Państwo”** **DOSTĘPNY WYŁĄCZNIE**
w prenumeracie papierowej i **subskrypcji elektronicznej**
na stronie www.prenumerata.swsmedia.pl
oraz **w placówkach Poczty Polskiej**





Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

eprasa.pl 9476ad31f3

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Północna

Nagranie wyemitowane 15 stycznia br. przez północnokoreańską telewizję centralną pokazało przywódcę KRLD Kim Dzong Una wysiadającego z czarnego SUV-a, prawdopodobnie Mercedesa Maybach GLS 600. Pomimo międzynarodowych sankcji zakazujących importu dóbr luksusowych do Korei Płn. towary te trafiają do rąk dyktatora. Kim Dzong Un znany jest z obdarowywania mercedesami lojalnych wobec niego urzędników.

Już na początku stycznia Mercedes-Benz ogłosił, że wszczyna dochodzenie w sprawie pojawienia się jego luksusowych pojazdów w Pjongjangu. Niemiecki producent samochodów twierdzi, że firma „nie ma powiązań biznesowych z Koreą Północną od ponad 15 lat" i nie wie, w jaki sposób jej pojazdy „weszły w posiadanie" rządu Korei Północnej.

„Aby zapobiec dostawom do Korei Północnej, Mercedes-Benz wdrożył kompleksowy proces kontroli eksportu" i „ściśle przestrzega embargo nałożonego przez USA i UE" – zapewnia producent.

W 2006 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła uchwałę zakazującą państwom członkowskim eksportu artykułów luksusowych do Korei Północnej i rozszerzyła ten zakaz w rezolucji przyjętej w 2013 roku. Panel ekspertów ONZ ds. Korei Północnej monitoruje, czy wobec tego kraju stosowane są sankcje ONZ.

Północnokoreański dyktator wydaje się jednak nie przejmować sankcjami i według Ministerstwa ds. Zjednoczenia Korei Płd. wykorzystuje swoich dyplomatów i urzędników firm stacjonujących w Chinach, Rosji i Europie do zakupu towarów luksusowych i sprowadzania ich do kraju.

Z raportu Centrum Zaawansowanych Studiów Obronnych (Center for Advanced Defense Studies) z 2019 roku wynika, że w latach 2015–2017 w wysyłanie towarów luksusowych do Korei Północnej było zaangażowanych aż 90 krajów. Ponad 800 luksusowych pojazdów zostało wysłanych z Niemiec, Holandii i Tajlandii, a następnie poprzez Chiny, Japonię, Koreę Południową i Rosję trafiło do Korei Płn.

Według Anthony'ego Ruggiero, eksperta ds. sankcji w Fundacji Obrony Demokracji (Foundation for Defense of Democracies), który w latach 2020–2021 był dyrektorem ds. przeciwdziałania proliferacji i obrony biologicznej w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego USA, „Kim Dzong Un nie ukrywa naruszeń sankcji nałożonych na Koreę Północną, ponieważ wie, że administracja Bidena nie wdraża sankcji ONZ i USA". Ruggiero uważa, że USA powinny natychmiast wdrożyć sankcje m.in. wobec chińskich i rosyjskich banków, firm i osób zaangażowanych w uchylanie się od sankcji wobec Korei Północnej.

Podczas gdy do Kim Dzong Una, jego rodziny i wiernych towarzyszy trafiają zachodnie towary luksusowe, 25 mln obywateli tego kraju cierpi z powodu braku żywności. Korea Płd. szacuje, że KRLD wyprodukowała w 2022 roku 4,51 mln ton upraw spożywczych, czyli o około 800 tys. ton mniej niż potrzebuje, a w 2023 roku upraw było prawdopodobnie jeszcze mniej.

Chiny

Kryzys demograficzny w Chinach się pogłębia. Jak podaje Narodowy Urząd Statystyczny, liczba obywateli ChRL w ciągu ostatnich dwóch lat spadła o ponad 4 mln i pod koniec 2023 roku wynosiła 1,41 mld. W minionym roku w Chinach urodziło się nieco ponad 9 mln dzieci. To najniższa liczba noworodków, które przyszły na świat od 1949 roku. Biorąc pod uwagę liczbę osób, które zmarły w ciągu roku – 11,1 mln

eprasa.pl 9476ad31f3

– w Chinach jest więcej osób starszych niż gdziekolwiek indziej na świecie, i liczba ta szybko rośnie.

U podstaw obecnego kryzysu demograficznego w ChRL leży wprowadzona w 1979 roku przez Deng Xiaopinga polityka jednego dziecka. Miała ona, według komunistów, zapobiec eksplozji demograficznej i rozprzestrzenianiu się biedy. W rzeczywistości była to największa zbrodnia dokonana przez chińskich komunistów na własnym narodzie. Poluzowanie kontroli urodzeń w 2016 roku nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Chinki niekoniecznie chcą rodzić dzieci, zwłaszcza drugie dziecko. Powodów jest kilka, m.in. wysokie koszty wychowania i zatrute środowisko.

Pary, które chcą mieć dziecko, stają w Państwie Środka przed trudnymi wyzwaniami ekonomicznymi. Wiele z nich dzieli zatłoczone mieszkania z rodzicami. Nie stać ich na własny kąt. Opieka nad dziećmi jest droga, a urlopy macierzyńskie krótkie. Do tego dorzucić trzeba rosnące koszty edukacji i opieki zdrowotnej. Większość samotnych matek nie jest objęta ubezpieczeniem zdrowotnym i zasiłkami socjalnymi.

Wielu z przyszłych rodziców wyraża też obawy o środowisko, w jakim przyjdzie wychować im dzieci. W Chinach coraz więcej dzieci rodzi się z problemami zdrowotnymi z powodu zatrutego środowiska.

Także sposób, w jaki władze w Pekinie zataiły rozwijającą się w Wuhan epidemię koronawirusa, osłabił zaufanie młodych do państwa i sprawił, że nie wierzą, że w takich warunkach, jakie stworzyła im KPCh, ich dzieci mogą być bezpieczne.

Japonia

18 stycznia Japonia podpisała umowę ze Stanami Zjednoczonymi na zakup aż do 400 pocisków manewrujących Tomahawk w ramach planów ciągłego rozwoju militarnego w odpowiedzi na zwiększone zagrożenia ze strony Chin, Korei Płn. i Rosji.

Rząd premiera Fumio Kishidy zobowiązał się podwoić roczne wydatki na obronę do około 10 bilionów jenów (68 mld USD) do 2027 roku, co sprawi, że Japonia stanie się krajem z trzecim co do wielkości budżetem dla armii, po Stanach Zjednoczonych i Chinach. Rząd twierdzi, że Japonia stoi w obliczu „najpoważniejszych" zagrożeń dla bezpieczeństwa od czasów II wojny światowej, a to wymaga zacieśniania współpracy wojskowej z USA, Australią, Wielką Brytanią i innymi zaprzyjaźnionymi krajami.

W grudniu minister obrony Minoru Kihara ogłosił, że przyspieszone zostanie rozmieszczenie niektórych Tomahawków i produkowanych w Japonii pocisków przeciwokrętowych Type 12. Rozpocznie się ono w roku 2025, czyli o rok wcześniej niż pierwotnie planowano.

Pod koniec 2023 roku Japonia złagodziła rygorystyczne przepisy dotyczące eksportu broni, dążąc do zacieśnienia więzi w zakresie bezpieczeństwa z krajami o podobnych poglądach. Rząd zezwolił na wysyłanie broni wyprodukowanej w Japonii na podstawie zagranicznej licencji. W następstwie tej zmiany Japonia zdecydowała się dostarczyć Stanom Zjednoczonym pociski rakietowe Patriot, produkowane w kraju na licencji amerykańskich firm. To może oznaczać, że rakiety trafią na Ukrainę, ponieważ obecnie USA ma problemy z własnymi zapasami, ale także z kolejnymi pakietami dla Ukrainy. Dodatkowo w połowie stycznia Amerykański koncern Northrop Grumman podpisał porozumienie z Mitsubishi Electric w sprawie współpracy przy integracji systemów obrony powietrznej. Oznacza to, że Tokio zdecydowało się na połączenie swoich i amerykańskich systemów obrony za pomocą systemu zarządzania walką IBCS. Podobny krok wcześniej podjęła Polska, stając się pierwszym użytkownikiem eksportowym systemu IBCS.

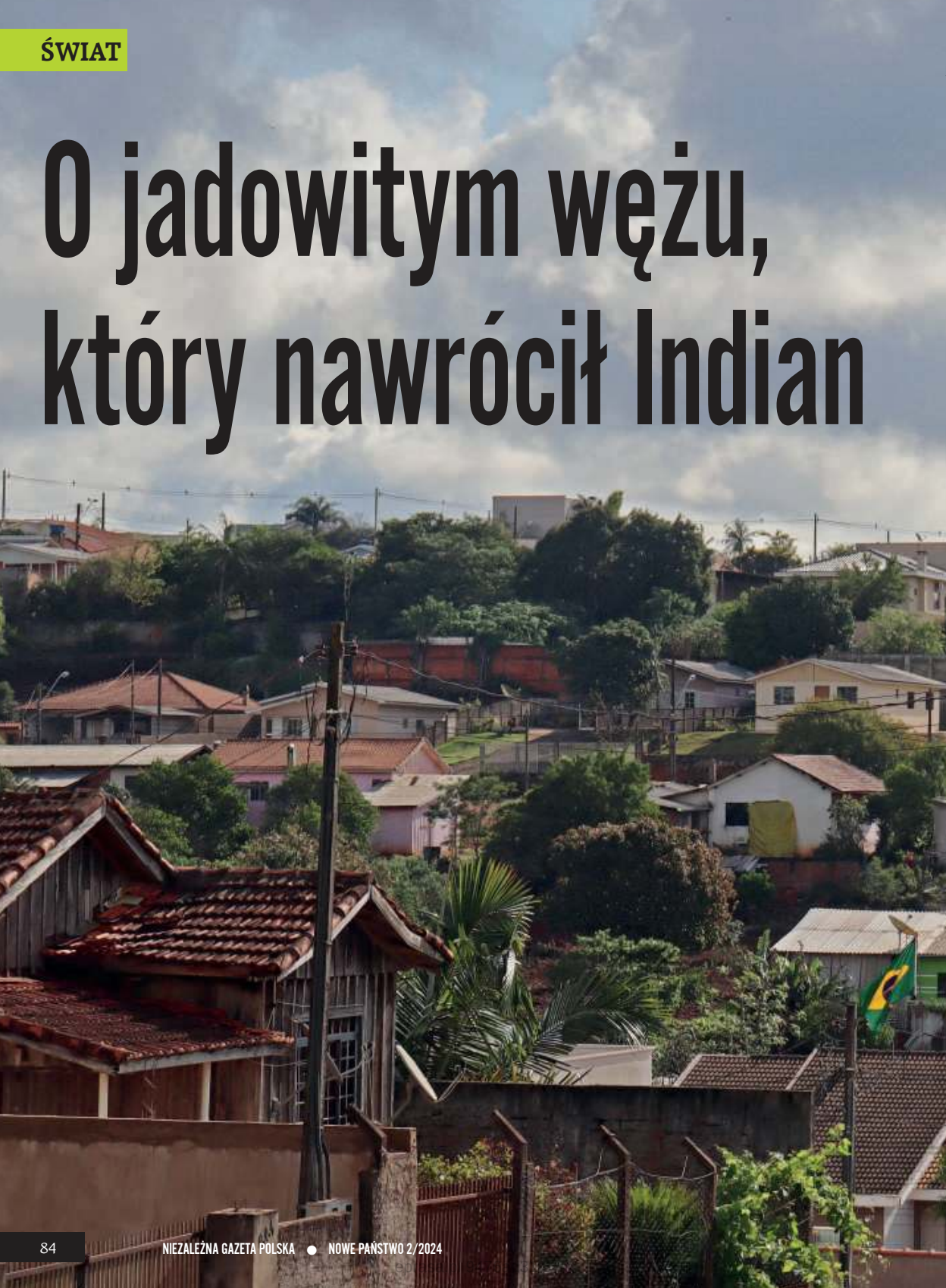
Korea Południowa

Zgromadzenie Narodowe Korei Południowej przyjęło ustawę, zgodnie z którą hodowla i ubój psów w celu spożycia mięsa oraz dystrybucja lub sprzedaż psiego mięsa zostaną zakazane. Osoby dokonujące uboju psów w celu spożycia przez ludzi będą podlegać karze pozbawienia wolności do lat trzech lub grzywnie w wysokości do 30 mln wonów (90 tys. zł), a osoby prowadzące hodowlę, rozmnażanie i dystrybucję psów – karze pozbawienia wolności do dwóch lat lub grzywnie w wysokości do 20 mln wonów (60 tys. zł).

W Azji sprzedaż i konsumpcja psiego mięsa są nadal legalne w Chinach, choć i tu pojawiają się już kroki służące zmianie tego zwyczaju. W 2020 roku miasto Shenzhen w prowincji Guangdong wprowadziło zakaz jedzenia psiego mięsa. Broniący konsumpcji tego mięsa w Państwie Środka powołują się często na starożytną tradycję. W Chinach jedzono psy ponad 2 tys. lat temu. Jednak są państwa w regionie, takie jak choćby Tajwan, w których także jedzono psie mięso i argumentowano to tradycją, lecz w końcu podjęto walkę z tym zwyczajem. Władze i organizacje broniące praw zwierząt przeprowadziły kampanie edukacyjne, a w 1998 roku uchwalono na Tajwanie prawo zakazujące uboju psów i kotów pod konsumpcję. W 2017 roku wyspa wprowadziła kary za jedzenie psów i kotów – od 1640 do 8200 dolarów. Zakazano także wtedy ciągnięcia zwierząt na smyczy za samochodami i motocyklami, co niestety w wielu państwach w Azji nadal bywa formą ich „wyprowadzania na spacer". Także w Hongkongu i Singapurze proceder konsumpcji psiego mięsa został zdelegalizowany w latach 50. ubiegłego wieku. ■

eprasa.pl 9476ad31f3

O jadowitym wężu, który nawrócił Indian





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

U brazylijskich Indian Kaingang nawet dziecko wie, że jadowitej żmii urutu cruzeiro trzeba unikać jak ognia. Charakterystyczny wąż z jasnym krzyżem na łbie potrafi ścigać człowieka do czasu, aż go wreszcie ukąsi. A jego jad zabija co ósmego ukąszonego.

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI



Zamieszkujący rezerwat Indianie często żyją z dnia na dzień. Na patrzenie w przyszłość zwyczajnie brakuje chęci. A często i nadziei.

Świst czajnika z gotującą się wodą roznosi się po niewielkiej kuchni na kościelnej plebanii. Wydostająca się przez maleńką nieszczelność para unosi się prędko pod sam sufit. W pomieszczeniu póki co nie ma jeszcze nikogo. Na pustym drewnianym stole stoi paczka dropsów. I kubek z niedopitą kawą. Całość kuchni utrzymana jest w bardzo oszczędnej formie. Ot, zlew, suszarka i niewielka kuchenka.

– Już, już… – mamrocze do siebie po polsku ksiądz Stanisław. Szurając nieco nogami po nierówno ułożonych klepkach, wchodzi do kuchennego pomieszczenia. – Czego tak wyjesz?

Kapłan szybkim ruchem wyłącza gaz pod czajnikiem. Świst ustaje. Znów słychać muzykę okolicznych łąk. Trawiastych pastwisk i muraw ciągnących się kilometrami wzdłuż kilku poprowadzonych w okolicy dróg. Wijących się to w lewo, to w prawo, żeby uniknąć kolejnego podjazdu bądź zjazdu. Wszystko przez delikatnie pofałdowany teren dookoła. Uplastyczniony dodatkowo przez wyschłe w tej chwili koryta miejscowych rzek, składających się na tak charakterystyczny pejzaż środkowej części brazylijskiego stanu Paraná, nowej ojczyzny księdza Stanisława Galanta, mariańskiego misjonarza, który podwarszawski Sulejówek zamienił na rozpaloną słońcem środkową Brazylię.

Spowiedź z podziałem na płeć

Gdy we wrześniu 1979 roku wchodził na statek we włoskim porcie Genua, nie miał pojęcia, gdzie za kilka lat przyjdzie mu głosić Ewangelię. Z początku pomagał współbraciom w parafii św. Jerzego w Kurytybie, gdzie szlifował naukę języka portugalskiego, by niespełna dwa lata po swoim przybyciu na latynoski ląd podjąć się misji proboszczostwa w parafii św. Antoniego w Manoel Ribas, niewielkiej leniwej miejscowości położonej w samym sercu stanu Paraná. Oddalonej od stołecznej Kurytyby całe 250 kilometrów. Miejsca, gdzie księdza nie widziano już od przeszło roku, a gdzie duchowy głód u mieszkańców był aż nadto widoczny.

Właśnie przez ten głód ksiądz Stanisław musi w tej chwili bardzo szybko pić zaparzoną przed chwilą herbatę. Za parę minut ma dyżur w konfesjonale. Dziś ma spowiadać samych mężczyzn. Słyszane co rusz pod jego

eprasa.pl 9476ad31f3



Dla wielu z tutejszych Indian misja to odskocznia od smutnej rzeczywistości.

oknem kroki po piaszczysto-żwirowej drodze zwiastują, że także dzisiaj będzie miał mnóstwo pracy.

Podział penitentów na grupy przyszedł mu do głowy po tym, jak niedawno ustawiło się do konfesjonału ponad sto osób. Duchowny miał świadomość, że z racji braku rąk do pracy musi jakoś zmierzyć się z zupełnie nieznanym mu do tej pory problemem. Jak podołać tak wielkiej chęci spowiedzi tak wielu i zarazem nie lekceważyć tej duchowej potrzeby jego nowych parafian. Zaczął więc dzielić penitentów na grupy. Jednego dnia spowiadał mężczyzn, innego dnia kobiety, a jeszcze innego dzieci i młodzież. Gdy było ich bardzo wielu, ustawiał ich w szeregu i podchodził na chwilę do każdego, przystawiając ucho. A następnie dawszy krótką naukę, udzielał rozgrzeszenia. Tak było po prostu szybciej. A ludzie mogli jednocześnie z czystym sercem przyjąć podczas najbliżej okazji Najświętszy Sakrament.

Dobrze. Jeszcze ostatni łyk herbaty i można iść. Uchylając rąbek firanki przy oknie plebanii ksiądz Stanisław dostrzega coraz liczniejszą grupę stojących przed wejściem do kościoła mężczyzn. Nie ma czasu. Trzeba iść.

Bandyci na drodze

Trasa do rezerwatu Indian Kaingang wiedzie wzdłuż czerwono-rdzawej laterytowej ścieżki. Dojazd tutaj jest możliwy jedynie samochodem z napędem na cztery koła. Na szczęście od kilku tygodni w całym stanie nie padało. Na drodze nie ma więc żadnych kałuż, w których samochód podczas okresu deszczowego mógłby łatwo ugrzęznąć. Nawet na kilka dobrych dni. Dziś jednak z racji pogody siedzący za kierownicą misjonarz zupełnie się tym nie przejmuje. Zresztą od pewnego czasu, ilekroć zasiada za kółkiem parafialnego mitsubishi, jego myśli wędrują gdzie indziej.

W stronę pewnego zdarzenia, które niedawno miało miejsce na górskim odcinku trasy z Adrianopolis do Kurytyby. Wtedy, gdy pomimo naprawdę wolnej i ostrożnej jazdy samochód duchownego dachował, lądując w rowie. Dopiero później marianin miał się dowiedzieć, że kilka kilometrów za miejscem jego wypadku czekali na niego bandyci. Wiedzieli, że będzie tędy jechał. Planowali więc ukraść mu samochód, by następnie przeprowadzić nim napad na bank, roztrzaskując autem jedną ze ścian budynku. Opatrzność

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI(2)

eprasa.pl 9476ad31f3



Urutu cruzeiro to niezwykle jadowity i agresywny wąż. Wśród Indian stanu Paraná znany doskonale ze skłonności do atakowania człowieka.

uchroniła księdza Stanisława przed rabunkiem i kolejnymi problemami. Jednak tamten wypadek sprawił, że jeszcze przez dłuższy czas duchowny będzie zasiadał za kierownicą z lekką obawą.

Indiański rezerwat ze smętnym obliczem

Tymczasem przy drodze pojawiają się pierwsze domy. Przed jednym z właśnie mijanych siedzi grubszy mężczyzna bez koszulki. Na widok parafialnego samochodu księdza Stanisława powolnie podnosi rękę w geście pozdrowienia. Podobnych pozdrowień marianin doświadczy za chwilę więcej.

Do rezerwatu Indian Kaingang duchowny stara się przyjeżdżać przynajmniej raz w miesiącu. Niestety bywa i tak, że gdy pochłoną go obowiązki we wciąż odbudowywanej parafii w Manoel Ribas, nie ma czasu nawet na to. Zresztą posługa w rodzinnym miejscu wydaje się dla duchownego znacznie bardziej wdzięczna od tej w indiańskim rezerwacie. Ostatniej niedzieli parafianie z Manoel Ribas przynieśli do chrztu aż czterdzieścioro niemowląt. Kościół zazwyczaj jest pełen ludzi. Jest śpiew, jest modlitwa, rozwija się życie grup parafialnych. Z kolei tutaj u Indian sprawy mają się inaczej.

Z liczącego 70 kilometrów kwadratowych areału rezerwatu (czyli powierzchni odpowiadającej takim polskim miastom, jak choćby Augustów, Tarnów, Kalisz czy Bytom) do kościoła przychodzi tu zwykle po kilka osób. Od dawna ksiądz Stanisław nie widział w kaplicy żadnego mężczyzny. Na Eucharystię przychodzą zwykle jedynie kobiety i dzieci. Zwykle dziewczynki. To jest to nieco smutniejsze oblicze misjonarskiej posługi. Gdy pomimo starań, wyrzeczeń i pracy nie widać żadnych efektów. Gdy po ludzku sprawa wydaje się zupełnie beznadziejna. W dodatku w ogóle nierokująca na przyszłość.

Tego dnia nie jest inaczej. Przed Mszą świętą ksiądz Stanisław odczekuje kilkanaście minut w nadziei, że w kościelnych ławkach zasiądzie jeszcze przynajmniej kilka osób. Gdy jednak przez dłuższy czas, pomimo głośnego dzwonu, którego dźwięk od dobrych dziesięciu minut rozchodzi się po rezerwacie, nadal nikt nie przychodzi, ksiądz Stanisław rozpoczyna Eucharystię.

– Em nome do Pai e do Filho e do Espírito Santo… – rozpoczyna po portugalsku misjonarz.

Całą Mszę będzie odprawiać w tym właśnie języku. Pomimo kilku prób nadal nie nauczył się jeszcze posługiwać lokalnym narzeczem Kaingang. Włada nim około 30 tys. Indian zamieszkałych na terenach rozciągających się między brazylijskimi prowincjami São Paulo, Paraná, Santa Catarina i Rio Grande do Sul. Póki co jednak sam polski misjonarz musi się z nimi do-

FOT. LUIZ CARLOS ROCHA

eprasa.pl 9476ad31f3



Pomimo dobrych warunków klimatycznych, tutejsza ziemia wcale nie jest łatwa w uprawie.

gadywać po portugalsku, którym zresztą znakomicie włada większość z nich.

Wąż, który goni człowieka

– Pai, pai, onde está você! – gardłowe wołanie pewnego mężczyzny unosi się nad wioską Indian. Ksiądz Stanisław skończył niedawno odprawiać Eucharystię i przez kilka chwil przebywa jeszcze w niewielkim budynku przy kaplicy. Krzyk jest coraz głośniejszy. Ktoś z wioski ewidentnie go szuka.

– Tutaj jestem! – krzyczy, wychylając głowę przez drzwi budynku. Po chwili dostrzega mężczyznę niosącego na rękach młodzieńca. Chłopak ma jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat. Jest ledwo przytomny. Niosący go ojciec ma szeroko otwarte oczy. Jest przerażony i przejęty. Podchodzi z wtulonym w siebie synem pod drzwi plebanii.

– Co się stało? – ksiądz Stanisław z czułą troską, ale i zarazem pewnym zdenerwowaniem nachyla się nad przelewającym się przez ręce ojca nastolatkiem.

– Ojcze, ojczulku, pomocy! – w pierwszej chwili Indianin nie bardzo potrafi zebrać słowa. – Tam, w trawie. Gonił, gonił i wreszcie dorwał. I ukąsił mojego Avelino. Ratuj, błagam!

– Spokojnie… Musisz się uspokoić. Bo inaczej nie będę umiał pomóc – kapłan kojącym gestem ręki kładzie dłoń na ramieniu roztrzęsionego ojca. – Co się stało w trawie? Kto gonił? Co się tam wydarzyło?

– Urutu cruzeiro! Wielki wąż. Taki brązowy, z jasnym krzyżem na łbie… Widziałem go! Widziałem! Ale już było za późno!

– Nadal nie rozumiem… – marianin próbuje pomóc mężczyźnie w uporządkowaniu zeznań. Wąż ukąsił ci syna?

– Tak, urutu cruzeiro. Wypełznął z trawy i rzucił się na spacerującego obok Avelino. Biedny chłopiec… – mężczyzna przytula do swojej twarzy policzek niemal omdlałego już chłopca.

Kapłan jest już w Brazylii trochę lat, aby doskonale wiedzieć, o czym mowa. Urutu cruzeiro, czyli żmija żararaka. Niezwykle jadowity i agresywny wąż. Wśród Indian zamieszkujących trawiaste pogórza stanu Paraná znany doskonale przede wszystkim ze swojej rzadko spotykanej wśród zwierząt skłonności do atakowania człowieka. Żmija ta potrafi długi czas gonić ofiarę, tylko po to, aby ją ukąsić. A jad urutu cruzeiro jest niezwykle groźny. Może zabić także człowieka. Ostrożne szacunki mówią, że z ukąszonych przez żararakę ludzi umiera co ósmy.

– Daj mi chłopca! Prędko! – zorientowawszy się z powagą sytuacji misjonarz postanawia działać bezzwłocznie. Bierze nastolatka i przenosi go od razu do pobliskiej kaplicy. Tutaj, gdzie już jutro mają

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI

eprasa.pl 9476ad31f3



Misjonarze próbują możliwie często objeżdżać wioski znajdujące się w pobliżu ich parafii. Nie zawsze jednak jest to możliwe. Wówczas pozostaje czekanie...

odbywać się uroczyste obchody narodowego święta Matki Bożej z Aparecidy, patronki całej Brazylii. Szczególnie ukochanej właśnie przez rdzenny lud brazylijskiej ziemi.

Kapłan kładzie chłopca pod samym Tabernakulum. Chcąc obejrzeć ranę na plecach po ukąszeniu ksiądz Stanisław próbuje odsłonić kawałek koszulki. Nastolatek aż wzdryga się z bólu. Nie pozwala się dotknąć. Najwidoczniej trucizna zdążyła dostać się już do krwiobiegu. Nie bardzo wiedząc, co począć, kapłan czyni to, do czego jako wierzący duchowny został wezwany. Klęka obok płaczącego z bólu chłopca i prosi Boga o cud. Jednocześnie z wiarą prosi także o nawrócenie całego szczepu, w którego pochodzi Avelino. Po skończeniu modlitwy kapłan przeprowadza nad chłopcem odrzeczenie, a także namaszcza go świętym olejem. Na koniec napełnia szklankę wodą święconą i daje chłopcu się napić.

Przez moment księdzu Stanisławowi przychodzi do głowy myśl, aby dać mu skosztować Ciała Pańskiego. Jednak po chwili zastanowienia misjonarz odrzuca ten pomysł. Wszak nie ma nawet pewności, czy Avelino został ochrzczony. Patrząc na częstotliwość, z jaką indiańscy mężczyźni szczepu Kaingang, z którego przecież wywodzi się ojciec tego chłopca, przychodzą do kaplicy na nabożeństwa, można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że Avelino nie jest nawet katolikiem. A przynajmniej nie zdążył jeszcze nim zostać.

Całą scenę obserwuje stojący kilka metrów obok ojciec dziecka. Gdy ksiądz Stanisław kończy modlitwę, odwraca wreszcie głowę, by spokojnym wzrokiem spojrzeć na mężczyznę.

– Zrobiłem, co było w mojej mocy. Możesz go teraz zabrać do domu…

– A pobłogosławiłeś go? – pyta wciąż przejęty Indianin.

– Tak, pobłogosławiłem go i namaściłem. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

– Dziękuję… – odpowiada mężczyzna, ocierając jednocześnie spływającą po policzku łzę.

Dla tych, którzy uwierzyli

Kolejny dzień wita Brazylię przepięknym słońcem. 12 października zapowiada się znakomicie. Dzień wolny od pracy to dla Brazylijczyków zawsze okazja do hucznej zabawy. Tego dnia do gigantycznego sanktuarium w Aparecida pod São Paulo pielgrzymują setki tysięcy ludzi. W całym kraju organizowane są uroczyste procesje z brązowymi figurkami Matki Bożej ze złożonymi rękami i przykrytej charakterystycznym ciemnogranatowym płaszczem. Nie inaczej będzie tego dnia w rezerwacie Indian Kaingang.

Ksiądz Stanisław wjeżdża do wioski nieco wolniej niż zazwyczaj. Dziś w rezerwacie sporo gości. Samochody stoją jeszcze przed wjazdem na główny plac. Z ustawionych gdzieś głośników słychać muzykę. To nagłośnienie miejscowego koncertu. Ktoś gra na gitarze i śpiewa jakąś angielską piosenkę. Marianin zwalnia, gdyż akurat przed kołami jego samochodu postanowił przespacerować się jeden z tutejszych bezdomnych psów. Ksiądz Stanisław tylko się do siebie uśmiecha. Dziś nie będzie się już nigdzie śpieszył. Nie w taki dzień. Nie w takie święto. Zresztą ostatnie trzy lata na nowej latynoskiej ziemi nauczyło go nieco bardziej elastycznego podejścia do kwestii czasu i punktualności.

Zaparkowawszy auto, od razu kieruje się w stronę kaplicy. Za pół godziny ma zacząć uroczystą mszę ku czci Matki Bożej z Aparecidy. Trasa do kaplicy wiedzie obok miejscowej świetlicy. To właśnie stąd dochodzi głośna muzyka. Ciekawość jest zbyt silna. Kapłan przystaje na chwilę, aby zajrzeć do środka. Po chwili przeciera oczy ze zdumienia. Nie takiego widoku się tutaj spodziewał.

Na środku świetlicowej sceny widać młodego Avelino. Siedzi na krześle z gitarą w ręku. I śpiewa do mi-

eprasa.pl 9476ad31f3



Życie w tej części świata wcale nie oznacza łatwej doli. Bieda, ubóstwo, nędza... Większość mieszkańców ledwo wiąże koniec z końcem.

krofonu. Jest w swoim żywiole. Kapłan szybko dostaje się na scenę.

– Avelino! Co się stało?! – krzyczy, przezwyciężając huk muzyki.

– Ojcze, nie wiem! Ale po tym, jak tato odprowadził mnie wczoraj do domu, wszystkie bóle nagle się skończyły!

– Pokaż… – nie do końca dowierzając ksiądz Stanisław uderza chłopca w plecy. Dokładnie w to miejsce, gdzie jeszcze wczoraj chłopiec nie dawał się nawet dotknąć. – Czujesz? Boli?

– Ha-ha! – śmieje się z rozbawieniem Avelino. – Tak, czuję, czuję… Czuję, jak mnie bijesz. Ale już nic nie boli.

– Avelino, ty wiesz, co się stało?...

– Tak, ojcze, wiem… To prawdziwy cud!

Tego dnia na Mszy świętej w lokalnej kaplicy wreszcie pojawią się mężczyźni. Z czasem, jak wieść o cudownym uzdrowieniu chłopca będzie zataczać coraz szersze kręgi, wiernych na cotygodniowych nabożeństwach będzie coraz więcej. To między innymi dzięki ich wsparciu ksiądz Stanisław będzie mógł wkrótce pozwolić sobie na wybudowanie tutaj pięknego kościołka. Architektonicznie utrzymanego w typowo indiańskim stylu. Właśnie dla Indian, którzy wreszcie uwierzyli.

Msza skończona. Misjonarz starym zwyczajem staje u wrót świątyni, by zamienić kilka słów z wychodzącymi Indianami. Jednemu podaje rękę, innego przytuli. Każdy chce podejść choćby na chwilę. Gdy kościół jest już pusty, marianin może sprawdzić kąty, czy w budynku nic nie zostało. Po rutynowej kontroli można zamykać i wreszcie udać się na festyn. Misjonarz ostrożnie spaceruje w kierunku budynku, z którego dochodzą dźwięki muzyki. Jest już w Brazylii na tyle długo, żeby wiedzieć, że na tego typu terenach jak ten trzeba bardzo uważać, gdzie stawia się nogę. Zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach z wężem. Indianie podobno nadal go szukają. Nie chcą, by znowu zaatakował.

Na myśl o żararace duchowny jednak tylko się uśmiecha. Doskonale wie, że gdyby nie ten jadowity wąż wielu ludzi nadal żyłoby w ciemności. Będąc ciągle bardzo daleko. Ksiądz Stanisław nigdy by się nie spodziewał, że kiedykolwiek o śmiertelnie niebezpiecznej żmii pomyśli właśnie w taki sposób. Że była potrzebna. Że się komuś przysłużyła.

Dopiero teraz wie, dlaczego tak bardzo chciał trafić w to miejsce. Dlaczego wszystkie drogi prowadziły go właśnie do tego indiańskiego rezerwatu. Gdzie, jak się okazuje, świat potrafi nabrać zupełnie nowego znaczenia. Gdzie logika i sens zaczynają być czytane wspak. ■

FOT. ŁUKASZ WIŚNIEWSKI(2)

eprasa.pl 9476ad31f3



WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

Prognozy (nie tylko) na 2024 rok

eprasa.pl 9476ad31f3



FOT. ADOBE STOCK

Antoni Rybczyński

Opublikowany w listopadzie 2023 roku raport GLOBSEC kreśli pięć scenariuszy konfliktu rosyjsko-ukraińskiego na lata 2024–2025. Za najbardziej prawdopodobny wariant (31 proc.) eksperci uznają wieloletnią wojnę na wyniszczenie.

Rozpuszczenie" wojny rosyjsko-ukraińskiej w III wojnie światowej oznaczającej serię poważnych regionalnych konfliktów przewiduje 27 proc. pytanych ekspertów. Scenariusze zamrożonego konfliktu z politycznym rozstrzygnięciem i wyzwolenia Ukrainy bez politycznego rozstrzygnięcia są równie prawdopodobne (po blisko 19 proc.). Najmniej prawdopodobne jest całkowite zwycięstwo Ukrainy z reparacjami i procesami przeciwko rosyjskiemu przywództwu (4 proc.).

Aktywna obrona

Większość analityków, także w innych publikacjach, uważa, że 2024 rok będzie rokiem wojny pozycyjnej. „Najważniejszym wnioskiem, jaki można wyciągnąć z ostatnich dwóch lat walk, jest dominacja działań obronnych nad operacjami ofensywnymi. Zostało to wielokrotnie zademonstrowane, począwszy od niepowodzenia początkowego rosyjskiego blitzkriegu w pierwszym miesiącu wojny. Drugą kluczową lekcją jest znaczenie równoważenia celów politycznych ze zdolnościami wojskowymi. Od lutego 2022 roku względy polityczne zmusiły zarówno Rosję, jak i Ukrainę do podjęcia niefortunnych ofensyw z niewystarczającymi siłami, co doprowadziło do ciężkich strat" – zwraca uwagę pracownik naukowy Narodowego Instytutu Studiów Strategicznych i analityk ukraińskiej organizacji pozarządowej „Come Back Alive" Mykoła Bielieskow w tekście pt. „Ukraina musi przejść do aktywnej obrony w 2024 roku" (Atlantic Council, 4 stycznia 2024).

Wyczerpana nieudaną kontrofensywą Ukraina potrzebuje czasu na odbudowanie potencjału i możliwe, że będzie zdolna do rozpoczęcia nowej znaczącej kontrofensywy przeciwko wojskom rosyjskim dopiero w 2025 roku. Podczas gdy długoterminowym celem Ukrainy pozostaje całkowite wyzwolenie kraju spod rosyjskiej okupacji, obecne okoliczności nie sprzyjają odważnym operacjom ofensywnym. Na froncie międzynarodowym zobowiązania pomocowe USA i UE napotkały poważne przeszkody polityczne, podczas gdy wysiłki na rzecz zwiększenia produkcji sprzętu wojskowego i uzbrojenia znacznie opóźniły się w stosunku do harmonogramu. „Mając to na uwadze, strategia wojskowa Ukrainy na 2024 rok powinna koncentrować się na utrzymaniu linii frontu i zapewnieniu stałej kontroli nad około 82 proc. kraju, który pozostaje w ukraińskich rękach. Strategiczne przejście do aktywnej obrony wykorzystałoby obecne mocne strony Ukrainy, jednocześnie kupując cenny czas na przegrupowanie i przezbrojenie przed tym, co prawdopodobnie będzie bardziej korzystne w 2025 roku" – pisze Bielieskow.

eprasa.pl 9676ad31f3

Bardziej defensywna postawa pozwoliłaby Ukrainie wykorzystać palącą potrzebę zwycięstw Moskwy. „W sytuacji, gdy armia rosyjska znajduje się pod ogromną presją polityczną, ukraińscy dowódcy mieliby wiele okazji do stopniowego wykrwawiania sił inwazyjnych Putina, podobnie jak robią to obecnie w Awdijiwce". Równolegle Ukraina powinna dążyć do dalszej degradacji zdolności Rosji do prowadzenia wojny poprzez prowadzenie eskalującej kampanii nalotów na cele daleko za linią frontu na okupowanej Ukrainie i wewnątrz samej Rosji. Podobnie uważa Alexander J. Motyl: „W takich okolicznościach strategia Kijowa jest jasna: robić to, co robi bardzo skutecznie. Oznacza to degradację rosyjskiej marynarki wojennej, sił powietrznych, sieci transportowych i infrastruktury strategicznej oraz zadawanie wysokich strat rosyjskim żołnierzom" („Wojna na Ukrainie w 2024 roku: Co stanie się teraz?", Alexander J. Motyl, The National Interest, 28 grudnia 2023).

Przyjmując strategię aktywnej obrony w 2024 roku, Kijów może osiągnąć podwójny cel, jakim jest zapobieganie wszelkim poważnym rosyjskim postępom i tworzenie warunków, które zdecydowanie faworyzują Ukrainę coraz bardziej w wojnie na wyniszczenie. To przygotowałoby grunt pod powrót do działań ofensywnych w 2025 roku. „Przyjęcie aktywnej obrony w 2024 roku nie uniemożliwi Ukrainie prowadzenia konkretnych działań ofensywnych. Najbardziej prawdopodobnym celem ukraińskich operacji ofensywnych w nadchodzącym roku będzie okupowany przez Rosję Półwysep Krymski […] Systematyczne niszczenie rosyjskiej logistyki i potencjału wojskowego na Krymie w 2024 roku pozwoliłoby osiągnąć dwa ważne cele. Po pierwsze, pomogłoby to zabezpieczyć swobodę żeglugi dla żeglugi handlowej na Morzu Czarnym i wykorzystać niedawne postępy Ukrainy w przełamywaniu rosyjskiej blokady morskiej jej portów. Po drugie, utrudniłoby to Kremlowi wysiłki zmierzające do zaopatrzenia rosyjskiej armii w południowej Ukrainie, potencjalnie tworząc słabe punkty wzdłuż linii frontu wojny lądowej" („Ukraina musi przejść do aktywnej obrony w 2024 roku", Mykoła Bielieskow, Atlantic Council, 4 stycznia 2024).

▶ Zachód musi wciąż pomagać

W wywiadzie dla „The New York Magazine" John Nagl, ekspert ds. strategii wojskowej i wykładowca w US Army War College, mówi, że Ukraina odniosła uderzający sukces, ale Rosja ma po swojej stronie czterokrotnie większe zasoby mobilizacyjne i zapasy broni. Dlatego Rosja już co najmniej nie przegrała. „Konflikt zbliża się do zamrożenia. W nowoczesnej wojnie bardzo trudno jest przełamać przygotowaną obronę" – uważa Nagl. Skuteczność każdej strategii w 2024 roku będzie w dużej mierze zależeć od poziomu wsparcia zapewnianego przez partnerów Ukrainy. Sukces w bitwie na Morzu Czarnym pokazał siłę zachodniej broni w połączeniu z umiejętnościami i pomysłowością ukraińskiego wojska. Dalsze przełomy na Krymie i na morzu w 2024 roku będą zależeć od gotowości partnerów Ukrainy do dostarczenia niezbędnych pocisków dalekiego zasięgu i innej broni. „Jeśli chodzi o dostawy broni, priorytetami będą ogromne ilości amunicji artyleryjskiej wraz z systemami walki elektronicznej, dronami uderzeniowymi, dodatkowymi zdolnościami obrony powietrznej i pociskami dalekiego zasięgu. Gorąco oczekiwane przybycie myśliwców F-16 w nadchodzących miesiącach również znacząco zwiększy zdolność Ukrainy do odmawiania Rosji kontroli nad niebem" – wylicza Bielieskow. Ukraina potrzebuje znacznie więcej artylerii, czołgów i broni rakietowej – dodaje Ołeksandr Kowalenko, analityk wojskowy z Ukraińskiego Centrum Studiów nad Bezpieczeństwem, podkreślając, że sukces ukraińskich sił zbrojnych w 2024 roku będzie bezpośrednio zależał od dostaw zachodniego uzbrojenia.

Jednak „większość zachodnich komentatorów zdaje się zakładać najgorsze i że pomoc USA całkowicie wygaśnie" – pisze Motyl. Jego zdaniem taki scenariusz jest jednak nieprawdopodobny. „Biały Dom musi nadal finansować Ukrainę, a Kongres musi ograniczyć napływ imigrantów. Pomimo przepychanek i bicia się w pierś, kompromis jest prawie nieunikniony, ponieważ żadna ze stron nie chce stracić Ukrainy ani ponieść fiaska w powstrzymaniu zalewu imigrantów w roku wyborczym. Pytanie tylko, czy finansowanie zostanie wznowione za kilka tygodni czy miesięcy" („Wojna na Ukrainie w 2024 roku: Co stanie się teraz?", Alexander J. Motyl, The National Interest, 28 grudnia 2023). „Jeśli ta pomoc wojskowa nadejdzie, Ukraina będzie w stanie wdrożyć strategię aktywnej obrony w nadchodzącym roku, jednocześnie przygotowując się do przyszłych ofensyw. Przygotowania te powinny obejmować rozszerzone programy szkoleniowe dla ukraińskich żołnierzy w krajach NATO. Podczas gdy dziesiątki tysięcy ukraińskich żołnierzy przeszło już szkolenie w ciągu pierwszych dwóch lat wojny, niepowodzenia na linii frontu w drugiej połowie 2023 roku ujawniły niedociągnięcia tych wysiłków. Najwyraźniej potrzeba znacznie więcej czasu, aby zapewnić ukraińskim żołnierzom wiedzę wojskową i umiejętności wymagane do odniesienia sukcesu na nowoczesnym polu bitwy" („Ukraina musi przejść do aktywnej obrony w 2024 roku", Mykoła Bielieskow, Atlantic Council, 4 stycznia 2024).

▶ Ukraina musi odzyskać swe ziemie

Wezwania do przyjęcia przez Ukrainę strategii obronnej w nadchodzącym roku są dalekie od optymi-

eprasa.pl 9476ad31f3

zmu, który panował na początku 2023 roku po głośnych ukraińskich zwycięstwach w Charkowie i Chersoniu. Podczas gdy niektórzy obserwatorzy nieuchronnie uznają to stanowisko za pesymistyczne, a nawet defetystyczne, odzwierciedla ono obecne realia wojny i stanowi najbardziej prawdopodobną drogę do przyszłego sukcesu – podkreśla autor analizy na stronie Atlantic Council. Zamrożenie rosyjskiej wojny na Ukrainie na zasadach zbliżonych do obecnych ogromnie sprzyja Rosji i zwiększa ryzyko oraz koszty dla Ukrainy i Zachodu związane z powstrzymaniem, nie mówiąc już o pokonaniu, przyszłej rosyjskiej próby realizacji celów Putina siłą – uważają analitycy Institute for the Study of War.

„Obecne linie nie są rozsądnym punktem wyjścia do negocjacji z Rosją, nawet jeśli Putin poważnie traktowałby negocjacje w sprawie zawieszenia broni na tych liniach. Są one raczej niezbędnym punktem wyjścia do dalszego wyzwalania strategicznie i gospodarczo ważnych ziem ukraińskich, bez których cel wolnej, niezależnej i bezpiecznej Ukrainy, zdolnej do obrony i płacenia za siebie, jest prawdopodobnie niemożliwy. […] Ukraina musiałaby bronić się na obecnych liniach frontu w przypadku ponownej inwazji Rosji po okresie odbudowy. Zbyt wiele dużych skupisk ludności, ośrodków przemysłowych i ważnych centrów obronnych znajduje się zbyt blisko obecnych linii, by Ukraina mogła wymienić przestrzeń na czas. Główne obszary miejskie z całkowitą przedwojenną populacją przekraczającą 5 milionów (nieco ponad 11 proc. całkowitej przedwojennej populacji Ukrainy) znajdują się w promieniu 160 kilometrów od obecnych linii frontu. Należą do nich kluczowe dla ludności i przemysłu miasta Zaporoże i Dniepr; Odessa i Mikołajów, które są jedynymi pozostałymi portami Ukrainy i mają kluczowe znaczenie dla zdolności Ukrainy do eksportu zboża i innych towarów; oraz miasta Słowiańsk, Kramatorsk i Kostiantynówka, które są zarówno zaludnione, jak i stanowią główny wschodni bastion obronny Ukrainy. Charków pozostaje zaledwie 32 kilometry od rosyjskiej granicy, ale obecnie jest również zagrożony przez rosyjskie linie około 110 kilometrów na wschód i południowy wschód" („Ziemie, które Ukraina musi wyzwolić", Frederick W. Kagan, George Barros, Noel Mikkelsen, and Daniel Mealie, Institute for the Study of War (ISW), 31 grudnia 2023).

Zadaniem stojącym przed Ukrainą i Zachodem jest zatem przygotowanie się po zakończeniu tego konfliktu do konfrontacji z Rosją wciąż zdeterminowaną do osiągnięcia swoich pierwotnych celów, prawdopodobnie wzmocnioną w tej determinacji chęcią pomszczenia swoich porażek w trakcie tej wojny. Szkody, jakie obecna wojna wyrządza rosyjskiej armii, pomagają zmniejszyć ryzyko szybkiego wznowienia wojny przez Rosję, ale efekt ten jest tymczasowy, a jego czas trwania zależy w dużej mierze od tego, jak bardzo Putin jest zaangażowany w szybką odbudowę rosyjskiego potencjału wojskowego – piszą analitycy ISW. Granica rosyjsko-ukraińska będzie zatem granicą potencjalnie nieuchronnego konfliktu w nieokreślonej przyszłości.

▶ Wielka wojna Putina

Ośmielona zatrzymaniem ukraińskiej kontrofensywy Rosja powróciła bowiem do maksymalistycznych celów wojennych na Ukrainie – pisze Grzegorz Kuczyński w artykule pt. „Ukraina pod presją, Rosja ma czas, Zachód zdecyduje. Prognoza wojenna na 2024 rok" (portal i.pl, 1 stycznia 2024). Putin niedawno południową Ukrainę nazwał „ziemiami rosyjskimi", ukraińskie wybrzeże Morza Czarnego domem „rosyjskiego narodu", a Odessę „rosyjskim miastem". Sugeruje to być może, że projekt Noworosji z 2014 roku i zamiar otwarcia korytarza lądowego do Odessy (odcięcia Ukrainy od Morza Czarnego) na początku 2022 roku powracają do agendy Moskwy. „Prezydent Władimir Putin i wielu kremlowskich urzędników wbiło głęboko w rosyjską świadomość polityczną ideę, że Ukraina nie ma niezależnej tożsamości i nie ma podstaw do dalszego istnienia jako niezależne państwo; że każdy ukraiński rząd, który nie jest całkowicie podporządkowany Moskwie, jest pionkiem Zachodu i zagrożeniem dla Rosji; że ukraińscy przeciwnicy rosyjskich rządów są nazistami zamierzającymi przeprowadzić ludobójstwo na Rosjanach na Ukrainie; i że Rosja ma prawny, moralny i religijny obowiązek wytępienia tych rzekomych zagrożeń i przywrócenia Ukrainie należnego jej miejsca jako historycznie rosyjskiej ziemi. Putin uczynił te argumenty częścią swojej prezydenckiej platformy wyborczej w 2024 roku. Rosyjscy urzędnicy wprowadzają je do programów nauczania w całej Rosji i na okupowanej Ukrainie. To się nie zakończy ani nie zniknie po jakimś wynegocjowanym zawieszeniu broni. W rzeczywistości będzie ono kształtować myśli i prawdopodobną politykę następców Putina przez lata lub dziesięciolecia" („Ziemie, które Ukraina musi wyzwolić", Frederick W. Kagan, George Barros, Noel Mikkelsen, and Daniel Mealie, Institute for the Study of War (ISW), 31 grudnia 2023).

„Putinowi jest podobno obojętne, ilu młodych Rosjan zostanie zmuszonych do śmierci w jego bezsensownej wojnie. Mimo to istnieje coraz więcej dowodów sugerujących, że Rosjanie są coraz bardziej zaniepokojeni wpływem wojny na ich życie i życie ich ojców, synów i mężów na froncie. Według eksperta ds. Rosji, Paula Goble'a, »administracja prezydencka

eprasa.pl 9476ad31f3

otrzymuje obecnie ponad 100 000 listów miesięcznie skierowanych do Putina, które dotyczą negatywnego wpływu wojny na Ukrainie na zwykłych Rosjan«. Kobiety protestują przeciwko brakowi urlopów dla swoich mężczyzn. Żołnierze dezerterują. Liczba ofiar była niezwykle wysoka i prawdopodobnie wzrośnie teraz, gdy Ukraina przyjmuje bardziej defensywną strategię" („Wojna na Ukrainie w 2024 roku: Co stanie się teraz?", Alexander J. Motyl, The National Interest, 28 grudnia 2023). Putin utrzymał wzrost PKB dzięki ogromnym zastrzykom gotówki do sektora wojskowo-przemysłowego, ale nie był w stanie wesprzeć ani utrzymać innych części rosyjskiej gospodarki. W rezultacie rozprzestrzeniają się poważne niedobory produktów (choćby słynna sprawa deficytu jaj), a inflacja szaleje – pisze Kuczyński. Jak zauważa Motyl, „gospodarka konsumencka – w przeciwieństwie do gospodarki zmilitaryzowanej – doświadcza ujemnego wzrostu i bardzo wysokiej inflacji".

„Prawdziwy stan rosyjskiej gospodarki podważa zawarty dawno temu przez Putina pakt społeczny z Rosjanami: że zagwarantuje on wyższy standard życia w zamian za całkowite podporządkowanie się jego kaprysom politycznym. Analitycy coraz częściej wskazują, że gospodarka wojenna, na której opiera się obecnie Putin, nie jest zrównoważona i nie będzie promować zrównoważonego wzrostu gospodarczego. Te problemy niekoniecznie doprowadzą do masowych demonstracji na ulicach lub intryg rosyjskiej elity na rzecz obalenia Putina, zmuszając go i jego otoczenie do zmiany kursu. Kontrola Putina nad osobami znajdującymi się blisko tronu jest zbyt duża" („Ukraina pod presją, Rosja ma czas, Zachód zdecyduje. Prognoza wojenna na 2024 rok", Grzegorz Kuczyński, i.pl, 1 stycznia 2024). Jak jednak zauważa Alexander J. Motyl, „znaczna część rosyjskiej elity jest wyraźnie niezadowolona z wojny Putina. Szczególne miejsce należy się generałom, których druga najlepsza armia na świecie stała się drugą najlepszą armią na Ukrainie. To oni mogli wiedzieć o niefortunnej próbie zamachu stanu Jewgienija Prigożyna w czerwcu, ale zrobili niewiele, by ją powstrzymać".

▶ Cele obu stron

Putin oczywiście wygra wybory prezydenckie 17 marca przytłaczającą większością głosów, ale to zwycięstwo może okazać się pyrrusowe. Reelekcja sprawi, że stanie się jedynym właścicielem wojny i jej ponurych skutków dla zwykłych Rosjan. Czy Putin będzie więc chciał szukać przełomu na froncie? „Pokusa będzie wielka [...] Gdyby spróbował, Ukraina i Zachód powinny zacierać ręce z radości. Faktem jest, że rosyjskie siły zbrojne nie są w stanie przeprowadzić wielkiej ofensywy, a tym bardziej nie są w stanie przeprowadzić jej skutecznie. Ukraina może stracić trochę terytorium, ale rosyjskie straty w ludziach, czołgach i innym sprzęcie będą horrendalne. Nawet Putin i jego propagandyści nie będą w stanie przekonać Rosjan, że taki wynik jest równoznaczny z miażdżącym zwycięstwem. [...] Porażki w wojnach często prowadziły do znaczących zmian – zarówno w Rosji, jak i w innych krajach. Wojna krymska doprowadziła do zniesienia pańszczyzny; wojna rosyjsko-japońska przyniosła demokratyczne reformy; I wojna światowa zakończyła carski reżim; porażka w Afganistanie ułatwiła pierestrojkę. Rosja może łatwo być następna, jeśli Putin zdecyduje, że nadszedł czas na totalny atak w 2024 roku" („Wojna na Ukrainie w 2024 roku: Co stanie się teraz?", Alexander J. Motyl, The National Interest, 28 grudnia 2023).

Póki co Putin otwarcie przygotowuje swój kraj do długiej wojny i jest zachęcany przez rosnące oznaki słabości wśród zachodnich sojuszników Ukrainy. Aby pokonać kremlowskiego dyktatora i położyć kres zagrożeniu ze strony odradzającego się rosyjskiego imperializmu, Ukraina i jej międzynarodowi partnerzy muszą przestać myśleć w kategoriach pojedynczych ofensyw i przyjąć bardziej długoterminowe podejście do tego historycznego zadania – podkreśla Mykoła Bielieskow.

„Ukraina wystarczająco silna, by odstraszyć i pokonać przyszłą rosyjską agresję, z gospodarką wystarczająco silną, by prosperować bez dużej pomocy zagranicznej, to jedyny rezultat wojny, który Stany Zjednoczone i Zachód powinny zaakceptować. Zaufanie rosyjskim obietnicom byłoby głupotą. Pozostawienie gospodarki Ukrainy poważnie uszkodzonej spowodowałoby długoterminowy i duży drenaż zachodnich finansów. Dyskusje na temat wywierania nacisku na Ukrainę, by ta poszła na terytorialne ustępstwa w zamian za zawieszenie broni lub rozejm, koncentrowały się dotychczas głównie na rzekomej nieprzejednanej postawie ukraińskiego prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który, jak się twierdzi, musi zostać zmuszony do zaakceptowania faktu, że Ukraina musi oddać część swojego terytorium. Argument ten ignoruje pytanie, które powinno być kluczowe dla każdej takiej dyskusji: jakie są konkretne konsekwencje wojskowe, gospodarcze i finansowe, które te poświęcenia terytorialne miałyby dla długoterminowego bezpieczeństwa i rentowności Ukrainy? Poważna ocena tego pytania pokazuje, że istnieją realne powody militarne i ekonomiczne dla Ukrainy, aby spróbować wyzwolić całe terytorium okupowane obecnie przez Rosję i że w każdym razie obecne linie nie mogą być podstawą jakiejkolwiek ugody zdalnie akceptowalnej dla Ukrainy lub Zachodu" – czytamy w konkluzjach raportu ISW pt. „Ziemie, które Ukraina musi wyzwolić". ■

eprasa.pl 9476ad31f3



WSPIERAJ MEDIA
Strefy Wolnego Słowa
i wykup prenumeratę



Gazeta Polska codziennie
www.GPCodziennie.pl



GAZETA POLSKA
www.GazetaPolska.pl



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO
www.Panstwo.net

STREFA WOLNEGO SŁOWA

#CzytajMądrze

ZAMÓW NA **prenumerata.swsmedia.pl**

Najświeższe informacje z kraju i ze świata przeczytasz na naszych stronach

niezależna.pl
www.niezalezna.pl

FilaryBiznesu.PL
www.filarybiznesu.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa

Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

www.fundacjaniezaleznemedia.pl

epi-asa.pl 9476ad31f3



Marcin Wolski

Historia jest mężczyzną?

Trzeba przyznać – historię mieliśmy niełatwą, ale przynajmniej nie zabrakło nam szczęścia do historyków. Gall, choć Anonim, był erudytą i utalentowanym literatem posługującym się równie biegle prozą, jak i mową wiązaną. Błogosławiony Wincenty Kadłubek był nie tylko erudytą, który z pełną świadomością dopisał Polakom 2 tys. lat historii (wraz ze zwycięstwami nad Aleksandrem i Cezarem), lecz także wykorzystał legendę św. Stanisława jako program polityczny zjednoczenia Polski. Janko z Czarnkowa jak mało kto poznał teorię i technikę władzy i poniósł tego konsekwencje z przywłaszczeniem regaliów Kazimierza Wielkiego. Wielkością samą w sobie był Jan Długosz – człowiek instytucja, najsłabszy może jako wychowawca synów królewskich – jeden awanturnik, drugi lubieżnik, ale przynajmniej trzeci – święty. Historyk krytyczny wobec źródeł, stylista wyborny niepozbawiony profetyzmu, zwłaszcza gdy prorokował powrót Polski nad Odrę i Bałtyk. Maciej Miechowita to jego godny kontynuator, a zarazem pierwszy kronikarz, który opublikował swe dzieło drukiem – chociaż pierwsze wydanie skonfiskowała mu cenzura. Wybitnym literatem okazał się Łukasz Górnicki ze swym słynnym „Dworzaninem", a Marcin Bielski rozszerzył perspektywę historii Polski o światowy kontekst…

Kolejne pokolenia mogły do tej konstrukcji dokładać swoje cegły i cegiełki, nieraz tak ważne jak „Śpiewy historyczne" Ursyna Niemcewicza krążące w rękopiśmiennych odpisach w latach niewoli. Cały XIX wiek to próba zrozumienia przyczyn upadku Polski i gorączkowe poszukiwanie recept na przyszłość. Literatura miesza się z historiografią, nauka z polityką. Nasze „stracone stulecie" rozświetlają gwiazdy Joachima Lelewela i Michała Bobrzyńskiego oraz – na swój sposób – krakowskich stańczyków, na czele z Szujskim. Trudno przecenić dokonania Kubali, Kalinki, Korzona, potęgę syntez Brücknera, Konopczyńskiego czy odkrywcze jak na swe czasy prace Feldmana czy Wojciechowskiego.

A Jan Kucharzewski, polski premier, autor fundamentalnego „Od białego caratu do czerwonego"), a Pobóg Malinowski dostępny dla mego pokolenia w drugoobiegowych samizdatach? A dzisiejszy ulubiony cel wszelkiego lewactwa Wojciech Roszkowski, czyli Andrzej Albert… Nie można też zapomnieć o tych twórcach stanowiących pas transmisyjny pomiędzy pracowniami historyków ze społeczeństwem – popularyzatorach i publicystach, poczynając od Wacława Gąsiorowskiego („królobójcy!") przez Jasienicę, Łojka, Brandysa, Łysiaka…

Miałem wyjątkową szansę wzrastać wśród tych gigantów. Uczęszczałem bowiem na UW, gdzie w murach Instytutu Historycznego funkcjonowały legendy – arystokratyczny Aleksander Gieysztor, kostyczny i diablo wymagający Stefan Kieniewicz (o którym mówiono, że powstanie styczniowe wybuchło specjalnie po to, żeby mógł o nim pisać), chudy w bereciku mistrz od wojskowości Stanisław Herbst, tęgawy i genialny Benedykt Zientara, jednoręki baron Manteuffel, ojciec naszej mediewistyki Marian Małowist, żywiołowo inteligentny Henryk Samsonowicz – późniejszy rektor i minister… Przymykam oczy i widzę ich wszystkich na stromych schodach instytutu, na seminariach (wykłady – młody idiota – opuszczałem), na objazdach naukowych czy w burzliwych dniach marcowych strajków i manifestacji. Ludzki pomost między przeszłością a przyszłością. W zniewolonych czasach strażnicy prawdy, którą odważali się nam przekazywać. Słyszę ich powiedzonka, słowa klucze do zrozumienia dziejów, zawodowe wskazówki, które zapamiętam do końca życia.

Dziś na naszych oczach młodszy o lata świetlne od tych dzieci międzywojnia śmiało na skałę należącą do Klio wdziera się Andrzej Nowak. Pełen szacunku do przeszłości, a zarazem mistrz w umiejętności przekazu w sposób nowoczesny, chwytający za serca i umysły. Wart Orła Białego i wszystkich innych wyróżnień. A w dodatku obdarzający mnie przyjaźnią!

Pamiętam, jak przed wyborami roku 2015 zanim jeszcze pojawiła się kandydatura Andrzeja Dudy, lobowaliśmy za Profesorem. Poszedłem nawet zasięgnąć w tej sprawie opinii „Naczelnika". „Za dobry" – stwierdził krótko pan Jarosław. „Szkoda go na tę funkcję, napisał dopiero pierwszy tom swego opus magnum, gdyby był przynajmniej w połowie…".

Pisz szybko, Andrzeju, chcemy doczekać końca i dowiedzieć się, jak to się wszystko skończy! ■

eprasa.pl 9476ad31f3

Tomasz Sakiewicz

Kapitalizm z ludzką twarzą

Ostatnie lata wywróciły nasze postrzeganie działalności wolnego rynku. Pewne paradygmaty nie uległy zmianie, ale pojawiły się nowe, które trzeba uwzględnić nie tylko ze względu na nacisk społeczny, lecz także na efektywność ekonomiczną.

Jest prawdą, że przedsiębiorstwa dużo lepiej działają, gdy płacą niższe podatki. Ta racja generalnie nie została podważona, ale życie uzupełniło ją o wiele koniecznych reguł nieznanych ojcom liberalizmu.

Bezpieczeństwo ważniejsze od podatków: są kraje o niezłym systemie podatkowym, które jednak słabo się rozwijają. Powód: brak bezpieczeństwa dla biznesu. Zagrożenie zewnętrzne – wojną, embargiem energetycznym itd. – i zagrożenia wewnętrzne – układy mafijne, niestabilność rynku, wysoka przestępczość, korupcja – dużo bardziej odstraszają niż wysokie podatki. Silne, stabilne państwo jest gwarantem dla biznesu, że inwestowane pieniądze nie przepadną. Poza tym silne państwo o jasnych regułach prawnych daje pewność co do sytuacji inwestora, zarówno wielkiego, jak i małego. Czy istnieje jakiś złoty środek między budową bezpiecznego państwa a wysokością podatków? Nie istnieje. Każda sytuacja stwarza innego rodzaju wymagania. Jeśli coś można jednak radzić rządzącym, to najpierw bezpieczeństwo, potem niskie podatki, pamiętając o tym, że im niższe, tym jednak lepiej. To oznacza też konieczność najbardziej efektywnych wydatków na bezpieczeństwo.

Ale osiem lat rządów PiS przewróciło jeszcze jeden paradygmat ekonomiczny: że polityka socjalna to ustępstwo wobec wyborców zawsze dołujące gospodarkę. Program 500 plus miał przeciwdziałać nędzy, szczególnie wśród dzieci. To w ogromnej mierze się udało. Główne przeciwwskazania dla tego programu to zniechęcenie jego największych beneficjentów do aktywności zawodowej i obciążenie budżetu wydatkami, które generują wyższe podatki. Tak w zasadzie widzi to klasyczna ekonomia liberalna. Obydwa paradygmaty okazały się w tym wypadku nietrafne. Gospodarka nabrała rozpędu, a osoby objęte programem zwiększyły swoją aktywność. Przyczyn było kilka, ale jedna z nich jest niezwykle interesująca. Osoby wyrwane z radykalnej biedy zaczęły lepiej planować swoją pracę, przeciwstawiać się patologiom na tym rynku, a to uruchomiło nowe procesy gospodarcze. Dodatkowo pieniądze z programu 500 plus naoliwiły wewnętrzny rynek i przyspieszyły wzrost gospodarczy. Nastąpiła kumulacja prorozwojowych zjawisk zmieniających zarówno rynek pracy, jak i strukturę gospodarki.

Jak zdefiniować zjawisko, które paraliżowało gospodarkę, a które zostało zlikwidowane przez program 500 plus i jemu podobne? Depresja społeczna albo depresja ekonomiczna. O nazwie można dyskutować. Jest faktem, że bardzo głodnemu człowiekowi nie należy najpierw podawać wędki, lecz choćby kromkę chleba. Inaczej wędki nie utrzyma. Co gorsza, nie uwierzy w sukces połowu.

Człowiek nie jest maszyną. Zachodzą w nim procesy dużo bardziej skomplikowane niż gra rynkowa. Często podejmuje decyzje wyglądające na irracjonalne z punktu widzenia ekonomii, ale głęboko osadzone w strukturze psychiki. Uwzględnienie tego daje nie tylko ludzką wdzięczność, lecz także nierzadko zwiększa ekonomiczną efektywność działań. ■

CZY ISTNIEJE JAKIŚ ZŁOTY ŚRODEK MIĘDZY BUDOWĄ BEZPIECZNEGO PAŃSTWA A WYSOKOŚCIĄ PODATKÓW? NIE ISTNIEJE. KAŻDA SYTUACJA STWARZA INNEGO RODZAJU WYMAGANIA. JEŚLI COŚ MOŻNA JEDNAK RADZIĆ RZĄDZĄCYM, TO NAJPIERW BEZPIECZEŃSTWO, POTEM NISKIE PODATKI, PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE IM NIŻSZE, TYM JEDNAK LEPIEJ.

eprasa.pl 9476ad31f3

Zamów prenumeratę mediów Strefy Wolnego Słowa

bezpośrednio do Twojej placówki Poczty Polskiej

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Szanowni Czytelnicy!

Wspólnie z **Pocztą Polską SA** oraz **Garmond Press SA** umożliwiliśmy zamawianie i odbiór prenumeraty dziennika **„Gazeta Polska Codziennie“**, tygodnika **„Gazeta Polska“** lub miesięcznika **„Niezależna Gazeta Polska Nowe Państwo“** w placówkach Poczty Polskiej w całej Polsce.

Przy pomocy strony internetowej www.poczyta.pl (zakładka prenumerata prasy- zamówienie https://www.poczyta.pl/prenumerata#prasa) można złożyć zamówienie wybranej prenumeraty z odbiorem w wybranej placówce pocztowej.

Prenumerata prasy będzie dostarczana do każdej z placówek **Poczty Polskiej** w godzinach porannych, w tym samym dniu. Z możliwością odbioru przez klienta w dniu wydania każdego tytułu, nawet w przypadku dzienników, jak tylko placówka pocztowa zostanie otwarta. Bez względu na miejsce zamieszkania.

Dane kontaktowe do firmy Garmond Press SA w celu zamówienia prenumeraty naszych gazet z odbiorem w placówkach Poczty Polskiej: Nr infolinii: **12 422 14 85** lub **22 837 30 08**

Zamów na **www.poczyta.pl/prenumerata#prasa**

eprasa.pl 9476ad31f3